

Marcin Wolski

Wilk w owczarni

Tom III cyklu „Pies w studni”

Czymże jest czas? Rzeką bez powrotu, podążającą od źródła ku swemu przeznaczeniu? A może bieży on niczym światło we wszystkich kierunkach, w każdej chwili stwarzając nowe światy, w których dzieje się to, co w naszym nigdy się nie zdarzyło? I przenikają się te byty alternatywne jako nóż tnący wodę, a niekiedy łączą ze sobą, ale my o tym najczęściej nic nie wiemy. Jak straceńcy pędzimy w jednym czółnie, bez sternika, bez wiosel czy żagla, prosto w kpiel burzy, gdy tymczasem obok są wody spokojne, na których szczęśliwszy nasz wariant zażywa wywczasu i bezpiecznej rozkoszy. Raz tedy będąc bezmyślnym baranem, w innej wersji jesteśmy jako czarna owca, a w jeszcze innej – wilkiem w owczarni...

Tekst anonimowego autora z początku XVII wieku, odkryty za pomocą skanera rentgenowskiego pod powierzchnią obrazu przedstawiającego Raj; pędzla nieznanego malarza ze szkoły włoskiej.

Chociaż wychodziłem z kliniki doktora Masona z opinią pacjenta całkowicie wyleczonego, moja ukochana Monika nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić mi na szybki powrót do dawnej aktywności. Zresztą, wyznam szczerze, nie paliłem się do niej wcale. Interesy korporacji szły dostatecznie dobrze, bym mógł zadowalać się jedynie przeglądaniem finansowych sprawozdań, a do tego wystarczały telekonferencje i internet. Dzięki Bogu Aldo Gurbiani i jego moralna przemiana dawno przestały wzbudzać fascynacje paparazzich czy tabloidów, tak więc nie interesował się mną nawet przysłowiowy pies z kulawą nogą.

Niestety, chociaż ja sam uważałem się za zdrowego, moja żona obawiała się nawrotu choroby i z ogromnym niepokojem reagowała na moje zwidy, sny czy omamy. Choćby takie jak ów incydent podczas opuszczania szpitala. Ja byłem przekonany, że widziałem w windzie gadającego kota ludzkich rozmiarów, Monika upierała się, że był to jedynie albański posługacz, co prawda z wąsami, ale bez ogona.

Odrzuciła moją propozycję dalszej rekonwalescencji na jachcie, twierdząc, że kołysanie może źle wpłynąć na mój błędnik, i wybrała normandzką wieżę na Sycylii, którą Aldo Gurbiani nabył jeszcze w poprzednim wcieleniu, nie bardzo wiadomo po co. Posłużyła mu do zaledwie dwóch orgii, ale i tak podpadł miejscowej mafii, pruderyjnej w sprawach seksu grupowego niczym stara zakonnica.

Skądinąd polubiłem moją Bramę Wiatrów, jak dawno temu nazywali to miejsce Saraceni. Kiedy noc była bezchmurna, można było z zębatego szczytu baszty oglądać światła Palermo, gdy natomiast dzień przynosił skwar, kamienne mury – pamiętające króla Rogera i cesarza Barbarossę – dawały i chłód, i spokój, i nadzwyczajną ciszę. Dogodne położenie sprawiało, że łatwo było wybierać się stąd na plażę czy zwiedzać zabytki lub sanktuaria ze słynną grotą św. Rozalii na górze ponad Mondello, gdzie każdy mógł nabrać błogosławionej wody, leczącej głównie niepłodność, choć moja ukochana małżonka uważała, że pomaga ona również na stawy, raka i hemoroidy. A trudno polemizować z byłą pielęgniarką.

Wspominam o tym wszystkim, aby upewnić czytelnika, że moja wizyta w podziemiach klasztoru ojców kapucynów nie była w trakcie onych sycylijskich wojaży czymś szczególnym, nagłym kaprysem czy nieprzewidywalnym przypadkiem. Wynikała raczej z uważnego studiowania przewodnika pod kątem miejsc godnych obejrzenia.

Uczciwie przyznaję – Monika nie chciała tam iść. Moja żona nienawidzi wszelkich wzmianek o śmierci, nie pozwala mi w swoim towarzystwie oglądać filmów o zombi, wampirach, żywych trupach, toteż pomysł wizytowania labiryntu, w którym zgromadzono osiem tysięcy zwłok, lepiej lub gorzej zasuszonych, przejmował ją grozą.

– Zostanę na górze – stwierdziła kategorycznie – a ty idź, skoro cię to podnieca, nekrofilu!

Oczywiście o podnieceniu nie mogło być mowy, zwłaszcza że w całej kolekcji sympatyczne wrażenie sprawiało jedynie pewne święte dziecko, które chociaż zmarło ponad pół wieku temu, nie ulegało rozkładowi, podobno bez żadnych zabiegów mumifikatorskich. Czemu więc tam poszedłem? Może dlatego, że najstarsze ciała umarłaków pochodziły z miłego memu sercu XVII wieku. I to pomimo iż wszelkie konfabulacje na temat mego wcześniejszego wcielenia utożsamianego z Alfredo Derossim, zwanym il Cane, uznałem za rojenia mego zmagającego się z nowotworem umysłu. Nie było przecież żadnych dowodów, że ktoś taki jak il Cane w ogóle istniał, więcej: to co z jego przygód utrwaliłem w opowieściach *Pies w studni* czy *Kot w windzie*, drastycznie różniło się od historii Włoch znanej z podręczników. Poza tym, czy można żyć równocześnie w dwóch epokach?

A jednak ciągle natrafiam na miejsca, sprzęty i dzieła sztuki dziwnie mi znajome. I nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego podczas wizyty w katedrze Monreale na moment wzrok mi się zmącił i zobaczyłem siebie jako uczestnika czyjegoś ślubu, ubranego w kubrak z wykrochmaloną kryzą... Zamrugałem powiekami – wrażenie znikło. Podobnego uczucia *déjà vu* doznałem, widząc szarą bryłę kościoła ojców kapucynów. Skądś znałem tę świątynię. Czy jako il Cane mogłem być na Sycylii?

Cóż za bzdura!

Zszedłem do katakumb, o tej porze prawie zupełnie pustych, i zaraz pożałowałem tego kroku. Dopadła mnie tam jakaś dziwna duszność, nogi uginały się pode mną. Postanowiłem zawrócić. I w tym momencie ziemia zakolebała mi się pod nogami. Wielki Boże, ja mdleję?!

Czy jednak efektem owego mdlenia mógł być narastający grzmot, a także podnoszący się kurz?...

Trzęsienia ziemi nie są na Sycylii czymś niezwykłym. Pamięć o tragedii, która sto lat temu zmiotła z powierzchni wyspy portową Messynę, ciągle jest tu żywa. Szukałem wzrokiem jakiejś futryny, w której można się zaprzeć, ale nie widziałem już nic, tym bardziej że zgasło światło. Z półek zaczęły spadać umarłaki, jeden dosłownie wskoczył mi na plecy. Runąłem na ziemię. W głowie kołatał mi się cytat: „I powstaną zmarli z grobów...” Czyżbym doczekał końca świata?

Wstrząsy skończyły się równie nagle, jak się zaczęły. Włączyło się oświetlenie awaryjne. Zsunąłem z siebie truposza i zacząłem się niezdarnie podnosić. I w tym momencie zauważyłem, że zasuszone zwłoki mnicha, a może miejskiego notabla, pękły. Równiutko. Na szwie. Widać było, że kiedyś dawno ktoś przeciął je od mostka w dół, a następnie zszył

dratwą. W jakim celu?

Może wzorem starożytnych Egipcjan usuwano denatom wnętrzości, aby ich gnicie nie przyspieszało ogólnego rozkładu ciała. Odsunąłem nieboszczyka, chcąc wydostać się z podziemi. Coś w środku błysnęło złociście. Górę wzięła ciekawość. Pokonując obrzydzenie, wsunąłem rękę w wysuszoną jamę ciała i zmacałem grzbiet jakiejś książki. Do licha, czyżby jako wypełniacza wnętrza pobożnego zakonnika użyto literatury? Jeszcze chwila, a miałem przed oczami gruby foliał rozmiaru A4. Na okładce widniał jedynie wytłoczony złotem inicjał AD, który przepelnił mnie dziwnym drżeniem. Chciałem otworzyć księgę, ale usłyszałem nawoływania przewodnika. Co mnie skłoniło, aby po złodziejsku schować dzieło pod koszulę i obrócić pęknięte ciało na plecy? Jakaś gorsza część mej natury? Nie wiem.

– Nic się panu nie stało? – dopytywał się braciszek, który wreszcie do mnie dotarł.

– Na szczęście nie.

– No to dzięki Bogu.

O tym znalezisku nie powiedziałem nawet Monice. Zresztą, wolumin otworzyłem dopiero w domu. Okazało się, że nie jest to księga, lecz pamiętnik czy raczej notatnik, bo tu i ówdzie trafiały się rysunki, oprawny w skórę, pisany wyraźnym pismem, które mimo staromodnej kaligrafii było dla mnie zaskakująco czytelne.

Moje wspomnienia. Część II – głosił napis na stronie tytułowej, a poniżej autor zanotował znany cytat z Wulgaty: „Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom”. Nie było ani daty, ani nazwiska piszącego. Znalazłem je dopiero u kresu pamiętnika (dzieła nie zapisano do końca i z jakiegoś powodu kilkanaście kart pozostało czystych). Widniał tam zamaszysty podpis: Alfredo Derossi.

Część I

Il dottore

Opuściwszy przed świtem targaną paroksyzmami politycznej gorączki Rosettinę, gdzie czekać mógł mnie stryk bądź stos, przy czym wybór rodzaju śmierci nie przynależał do mnie, lecz najprędzej do świątobliwego *fra* Giuseppe, ruszyłem ku północy, spodziewając się najdalej w Pawii napotkać szpicę sił hiszpańskich pod wodzą hrabiego Lodovica Malficante, mego przyjaciela i protektora. Miałem lat siedemnaście, a jak wiadomo, w tym wieku rany goją się jak, nie przymierzając, na psie, zaś wszelka trauma roztopia się wśród nowych doznań, wrażeń i uczuć.

Nawet sieroctwem swym nie zaprzętałem sobie głowy, młodość bowiem jest porą, kiedy znajomości i przyjaźnie zawiera się równie łatwo, jak łapie francę, świerzb czy inną opryszczkę. Nade wszystko rozpieła mnie nieposkromiona ciekawość świata, o którym sporom słyszał, mając takich preceptorów jak *capitano* Massimo, a jeszcze więcej czytał, pilnie wertując inkunabuły z biblioteki don Filippo. Jednak krom najbliższej okolicy niczego dopotąd nie widziałem.

A świat musiał być okrutnie ciekaw. Nieraz w tawernach wokół Laguna Esmeralda z wypiekami na gębie przysłuchiwałem się bajaniom majtków, co świeżo z okrętów zesli. Łacno można było ich rozpoznać od inszych, bo chód mieli chwiejny, nie odgadniesz – bardziej w wyniku długotrwałego kołysania ich korabi, czy raczej trunków, które wlewali w siebie z osobliwym zapamiętaniem. Chłonałem tedy ich opowieści o złotych miastach za oceanem, w tem o najslynniejszym zwanym El Dorado, gdzie mury były postawione ze złotych cegieł, a dachy kryto srebrnymi dachówkami, a także o szczepie walecznych amazonek, walecznych olbrzymek, na co dzień chadzających całkiem nago, które obcinały sobie lewą pierś, by lepiej strzelać z łuku. Zapytałem jednego z tych obieżyświatów, czy osobiście widział takową. Odparł, że i owszem, a nawet za złotego florena (co zdaje się ceną przesadnie hojną) wychędożył owo żeńskie monstrum w *bordello* w Pernambuco, doświadczając wrażeń tak niezwykłych, że od tej pory jedynie z mężczyznami sodomie umiał

czynić, a i to nie ze wszystkimi. I tu w pośladek znacząco mnie uszczypnął.

– A co z amazonkami mańkutami? – zapytałem dociekliwie. – Czy takowe obcinają sobie prawą pierś?

Brak reakcji na uszczypnięcie i kłopotliwe pytanie chyba zdenerwowało żeglarza, bo miast wyczerpującej informacji dostałem odeń fangę w nos.

Inni podróżnicy, co z bliższego i dalszego Orientu przybywali, prawili niestworzone rzeczy o Indiach, gdzie zwykle krowy uważają za święte, także o Kitajcu sławnym z jedwabiu i z tego, że tamtejsze kobiety mają nóżki mniejsze niż pacholątka, a przyrodzenie usytuowane w poprzek. W to ostatnie zresztą nie wierzę, podobnie bowiem powiada się o Żydówkach, a – jak później doświadczyłem tego nieraz – jest to kłamstwo wierutne i na dodatek antysemityczne. Co się zaś tyczy nówek, to faktycznie Chinki miewają je maleńkie (bom jedną taką zakonserwowaną w beczce z octem oglądał), ale zdeformowane i wiele paskudniejsza niż świńskie raciczki, które w tłusty czwartek wieszają się w rosettyńskich drzwiach kuchennych celem odgonienia złych mocy.

Osobiście w onych czasach w żadne złe moce nie wierzyłem, mniemając, iż istnieją wyłącznie źli ludzie, a diabeł jest jedynie figurą retoryczną.

O sancta simplicitas!

Aliści, co będę wybiegać daleko w przód, kiedy jeszcze na dobre mej opowieści nie zacząłem.

Wiele mil od mego miasta nie odjechałem, kiedy mój Bucefał (nazwany tak na cześć rumaka Aleksandra Macedońskiego) kuleć począł, doznając z każdym przebytem metrem boleści niepomiernej. Stanąwszy w oliwkowym gaju, obejrzałem jego kopyto oraz pęcinę i zauważyłem wszelkie cechy ochwatu. Pozostało mi jedynie skłąć darczyńcę, czyli mego zacnego opiekuna don Filippo, i iść dalej pieszo, bo rychło biedna szkapa nawet jako luzak iść nie mogła. Przedałem ją w oberży na mięso, a nie mając dość środków na nabycie innego wierzchowca, kontynuowałem podróż *per pedes*.

Przed wieczorem dotarłem do rzeczulki bystro po kamykach pomykającej i nie chcąc nóg moczyć ani butów zezuwać, jak linoskoczek dając susy z kamienia na kamień, pokonałem oną wątłą przeszkodę.

– Brawo, młodzieńcze! Sam Cezar nie uczyniłby tego lepiej. Co prawda boski Juliusz posuwał się dokładnie w przeciwnym niż ty kierunku.

Uniosłem głowę i ujrzałem mówiącego te słowa.

Nie wyglądał raczej na zbója porywającego takich jak ja młodzianków, by sprzedać ich do Sambułu lub samej Aleksandrii w celu paskudnym, przeciwnie, miał wszelkie cechy człowieka mądrego i umiarkowanego. Nie, żeby był urodziwy – o nie, cechowała go nieprawdopodobna wręcz brzydota, która jednak wespół z dobrocią i inteligencją rozświecającymi go od wnętrza czyniła go prawie przystojnym.

Można powiedzieć, że wszystko miał za duże lub za małe. Nos rozmiarów berdysza kontrastował z malutkimi ustami, na pierwszy rzut oka uchodzącymi za zbyt wąskie, by

przełknąć jakikolwiek pokarm krom mamałygi. Oczy miał wielkie, sowie, ale uszka znów tak małe, jakby od dzieciны pożyczone. Z przydługich rękawów kaftana wysuwały się jego dłonie, też osobliwie maciupkie, nie pasując zupełnie do krzepkich ramion mogących współgrać jedynie ze stopami, ogromnymi, zda się siedmiomilowymi. Dodajmy do tego pochyłe plecy, lekko uniesione prawe ramię, a uzyskamy obraz prawie kompletny. Ach nie! Zapomniałem o włosach! No cóż, samotny podróżny nie miał ich wcale. Dotyczyło to również rzęs, brwi, brody, a także, o czym miałem się przekonać z czasem, także regionów intymnych. „Pod pewnymi względami jestem jak żaba – wyjaśnił wówczas, reagując na moje zmieszanie – twarda żaba”.

W odróżnieniu jednak od oślizgłych płazów okrywająca go skóra była czerstwa, zdrowa, dobrze ogorzała słońcem, co nie pozwalało określić wieku uczonego męża. Z późniejszych osobistych enuncjacji wynikało, że musi mieć co najmniej siedemdziesiątkę, choć czasami chodziło mi po głowie, że może być jeszcze starszy. O bitwie pod Lepanto mówił tak, jakby ją obserwował, stojąc u boku Juana d’Austrii, jednakowoż równie dokładnie opisywał ostatni szturm Konstantynopola w 1454, a przecież ludzie (wyjąwszy biblijnych patriarchów) nie żyją 200 lat. Zarazem w jego nieproporcjonalnym, pomarszczonym ciele ciągle ukrywał się duch i kondycja młodzika mogącego iść w zawody z niejednym człekiem młodszym odeń o połowę.

Rzecz jasna, piszę o tym wszystkim po latach, poznawszy *il dottore* lepiej niż jakiegokolwiek innego człeka, choć niekiedy mam wrażenie, że nie poznałem go w ogóle. W końcu ani ja, ani nikt z postronnych ludzi nie odkrył jego osobistego imienia, tak jakby ów uczoney mąż nie był w dzieciństwie Gianim, Beppo czy *bambino*, nie nosił też przydomka, którym mogłyby go wzywać kobiety lub wyzywać rywale... *Il dottore* – to musiało wystarczyć. Sądzę, że i tym tytułem wezwie go archanioł na Sąd Ostateczny.

Ale dość dygresji. Pamiętam ten obraz z malarską precyzją: rzeczulka pomiędzy kamykami ciurkająca, ja unieruchomiony słowami, *il dottore zaś napowalonym pniu*, snadź wcześniej podmytym przez wiosenną powódź, posilający się owocami.

– Może się poczęstujesz, młodzieńcze? – Wyciągnął ku mnie winną kiść. Postanowiłem skorzystać z propozycji, bo głód już odzywał się w mych trzewiach tem donośniej, że w gospodzie, w której skazałem mego Rosynanta na okrutny los, wiejskiej kielbasy nie tknąłem ani kęsa.

Zbliżyłem się tedy do niego, zastanawiając się, czemu przywołał wspomnienie Juliusza Cezara. O tym, że właśnie przekroczyłem rzeczkę Rubikon, miałem dowiedzieć się we właściwym czasie.

– Widzę, że masz za sobą ciężki dzień, młodzieńcze – powiedział podróżny, spoglądając na mnie z uśmiechem. – Ucieczka skoro świt z Rosettiny, utrata wierzchowca i napotkanie mnie to całkiem sporo doznań jak na kilkanaście godzin.

„Skąd on to wie? Musi szpieg!” – przemknęło mi przez myśl i spałem się cały, iżby do ucieczki się rzucić, ale mężczyzna zareagował jeszcze szybciej, tak jakby czytał w mych myślach.

– Nie, nie jestem szpiegiem ani łapaczem ludzi, jeno skromnym *il dottore*, a to, co rzekłem o tobie, wynika z krótkiej obserwacji. Strój masz dojazdy konnej, a konia ci brak, znużonyś drogą, ale opalonyś średnio, co by wskazywało, iż zgoła niedawno opuściłeś miejskie mury. Szata i dłonie wskazują człowieka z miasta, z domu zasobnego, choć bez przesady. Podróżujesz sam, na północ, boczną drogą, co zdradza zbiega – a skąd uciekać może taki młody człowiek, jak nie z Rosettiny, z której ostatnio złe wieści niczym czarne kruki wylatują na cały świat?

Wyraziłem podziw dla jego przenikliwości, co skwitował krótkim „dziękuję”, po czym spytał, czy nie zechciałbym mu towarzyszyć, bo spragniony jest miłego towarzystwa, a na popasanie w którymś z miast dysponujących intelektualną elitą czasu nie ma.

– Będzie to dla mnie zaszczytem – odparłem, zastanawiając się nad sposobem onego podróżowania, ale *il dottore* tylko w dłonie klasnął.

Odpowiedziało mu rzenie koni i zza drzew wyłoniła się karoca całkiem grzeczna, zaprzężona w dwa mocne siwki. Powożona była przez najbardziej osobliwą dwójkę stangretów, jaką kiedykolwiek miałem okazję oglądać. Pierwszym był odziany na czerwono karzeł, o gębie koloru bezgwiazdnej nocy na dnie studni, drugim jasnowłosy olbrzym, w czarnej oponczy, jakby z północnych sag pożyczony, gdzie jeno wiatr, lód i zorza polarna.

– Gog i Magog – przedstawił ich podróżny, podkreślając to szerokim gestem, co obaj skwitowali uśmiechem bez słów. Wkrótce miałem się dowiedzieć, że jeden z nich jest głuchym, a drugi niemową.

Magog wystawił obok drzwiczek mały stołeczek, po którym wdrapał się *il dottore* i wyciągnął ku mnie rękę.

– Wchodź śmiało, Alfredzie.

Wskoczyłem szybko, bez posługiwania się stołeczkiem, tak oszołomiony, że nie zwróciłem uwagi, że Mistrz (tak zacząłem się do niego zwracać) wypowiedział moje imię, którego jako żywo mu nie podawałem.

Wewnątrz powozu znalazłem dwa wygodne siedziska wyjątkowej miękkości oraz całe mnóstwo ksiąg. *Il dottore* wskazał mi miejsce, gdzie miałem spocząć, sam zaś, wykazując

brak jakiegokolwiek dalszego zainteresowania gościem, nałożył okulary i sięgnął po jakiś wolumin, przy czym wraz z rozpoczęciem lektury cały Boży świat przestał go obchodzić.

Kołysanie sprawiło, iż zapadłem w sen, śniła mi się piękna Beatrycze, potem moja ciotka Giovannina, a w końcu zdało mi się, że powóz nasz odrywa się od ziemi i wjeżdża na gościniec, będący w istocie Drogą Mleczną, by galopować po niej daleko poza granice naszej ubogiej wyobraźni.

Kiedy się ocknąłem, dzień wstał już jasny. *Il dottore* nadal czytał, tylko konie musiano w międzyczasie zmienić, bo przedtem kare, teraz były siwojabłkowe i podążały dalej bez najmniejszych objawów zmęczenia. Jak się dowiedziałem, karzeł Gog, być może z racji swego czarnoafrykańskiego pochodzenia, miał wzrok pozwalający widzieć mu w nocy jak za dnia, co umożliwiało mu powożenie o każdej porze.

Naturalnie, nie miałem naoczas pojęcia, że przyjmując zaproszenie *il dottore*, bezapelacyjnie odmieniam swoje życie, wstępując na ścieżkę niebezpieczną, choć fascynującą.

Kimże byłem wcześniej? Chłopakiem z Rosettiny, z wykształceniem niepełnym, jakie może zapewnić prowincjonalne jezuickie kolegium, młodziankiem o słabej znajomości życia, chowałem się bowiem pod kloszem, między domownikami, bliskimi i przyjaciółmi, i do czasu gdy z ciekawości wybrałem się z młodym hrabią Malficante do Montana Rossa, iżby podglądać zabawę możnych w sabat, co stało się powodem wielkich kłopotów, wierzyłem, iż cały świat jest dobry, miły i sprawiedliwy. Dodam jeszcze, że moja eksperienca męska ograniczała się do dwóch jednorazowych spotkań z kobietami, z których jedna była czarownicą, druga kurtyzana. Wszelako w pierwszej dobie spędzonej w karocy nie przypuszczałem, że spotkanie *il dottore* może być czymś więcej niż przelotną przygodą.

Zastanawiałem się za to, co sprawiło, że podobnie jak ja, wybrał się w podróż bocznymi drogami i gnał przed siebie, jakby gonili go wszyscy diabli? Czyżby tak jak ja, uchodził przed wrogami?

Słyszałem, iż w królestwie Neapolu ostatnimi czasy zaczęto polowania na czarowników i czarownice. Byłżeby jednym z nich? Wszelako na uciekiniera nie wyglądał. Nigdy bowiem nie spoglądał w tył, jeno stale do przodu, w miasteczkach nie bał się wchodzić między tłum ani rozpytywać o pewne zdarzenia i ludzi – sens tej pytaniny nieprędko miałem pojąć.

Koło południa stanęliśmy znów nad rzeką, gdzie Mistrz kazał mi się wykąpać; kiedy sam to zrobił, nie wiem, w każdym razie zapachu żadnego nie wydzielał. Gog zanurkował w okoliczne krzaki i powrócił po pięciu pacierzach, niosąc dwie dzikie kaczkę z ukręconymi łbami. Rychło smakowity zapach poszedł od ogniska.

Ponieważ nie widziałem, żeby posługiwał się łukiem czy jakimś innym śmiercionośnym narzędziem, zapytałem *il dottore*, jak jego sługa złowił oba ptaki?

– Same przyszły – odparł. – Gog ma sporo cech świętego Franciszka, wszelkie zwierzątko po dobroci lezie do niego.

– Tyle że święty Franciszek nie ukreśliłby nigdy łba kaczce – zauważyłem.

– Jesteś pewien? – *Il dottore* popatrzył na mnie przenikliwie. – Cóż, w pewnym hagiograficznym żywocie czytałem o gołąbkach, które, skubiąc się nawzajem w locie, same wskakiwały do zupy świętego, kiedy ten złożony chorobą leżał, przed spożyciem rosołu się wzbraniając.

W trakcie posiłku Mistrz zrobił mały *examen*, badając, jak mi się zdawało, stan mej wiedzy, mówiliśmy bowiem wiele, przeskakując od astronomii do literatury i od sztuk pięknych do algebry.

– Wiesz dostatecznie sporo, aby podejrzewać, że nic nie wiesz – orzekł na koniec. – Ale popracujemy nad tym.

Uznałem to zapewnienie za gołosłowne, bo nie zamierzałem długo z nim przebywać. Miałem oczywisty zamiar, kiedy tylko znajdziemy się podle Pawii, opuścić jego skądinąd miłe towarzystwo i dołączyć do hrabiego Lodovica. Pomimo pewnego wykształcenia – predestynującego do roli urzędnika, bakałarza bądź księdza – śniła mi się bowiem kariera rycerska, nie kojarząca się durnemu młodzikowi z brudem, potem i krwią, najczęściej własną, jeno ze sławą, poważaniem i uwielbieniem pięknych kobiet.

Marzenia te rozwiały się czwartego dnia naszej wspólnej podróży w pewnym przydrożnym zajeździe, mającym na szyldzie nieudolnie wymalowanego czarnego konia, który równie dobrze mógł być czarnym kotem, skąd Mistrz wyszedł chmurny i mocno zafrasowany.

– Szukają cię, Alfredo Derossi – rzekł poważnie. – Twoi rosettyńscy wrogowie rozpuścili wici między braciszkami dominikanami, a ci zachęcają wszelkie męty, iżby, pojmanny cię, odstawiły do Rosettiny celem przesłuchania w sprawie diabelskich orgii. Nie zapowiada to niczego dobrego. Powiedz mi przeto, jak na spowiedzi świętej, o co tam poszło, a masz moje słowo, iż cokolwiek wyznasz, nie wydam cię inkwizytorom.

Opowiedziałem tedy o mej nocnej wyprawie z młodym hrabią Malficante do Montana Rossa, gdzie byliśmy świadkami występnych igraszek, które przy złej woli, a takiej *fra* Giuseppe władającemu *de facto* miastem nie brakowało, uznać by można za diabelski sabat. Nie tając niczego, wspomniałem też o mym wszetecznym upojeniu w

ramionach słodkiej Beatrycze – ćwierć wielkiej damy, ćwierć wiedźmy, ćwierć kurwy, a ćwierć – co tu ukrywać – świętej.

Mistrz wysłuchał mnie, nie przerywając, po czym stwierdził, że dla własnego bezpieczeństwa winienem przynajmniej rok pozostać w ukryciu, bo nawet jeśli nakaz mego pochwylenia cofnięty zostanie, nikt, kto raz powziął zamiar mego ujęcia, tego nie zauważy.

– Z listem gończym jest jak z pomówieniem – stwierdził. – Reputację zepsuć łatwo, naprawić trudno i przypomina to artystyczne cerowanie utraconej cnoty. Nawet w obozie cesarskim bezpieczny nie będziesz, bo wyznaczono za twoją głowę całkiem sporą sumkę, a nie ma takiej fortecy, do której nie wszedłby i osioł, byle obładowany złotem.

– Co mam tedy czynić? – zapytałem, z trudem tając przerażenie.

– Ostań ze mną. A ja cię uczynię niewidzialnym.

Pierwej pomyślałem, że zastosuje jakąś miksturę tajemną, a miał ze sobą w bagażu moc flasz, puzderek i alembików, która bądź uczyni mnie niewidzialnym, bądź nada mej twarzy widok odrażającego wyrzutka, choćby trędowatego doświadczonego ciężką leprą, on jednak wybrał prostszą metodę. Kazał Magogowi ogolić mnie gładko na gębie, włosy pięknie ufryzować (co się udało pysznie – rękę olbrzym miał delikatną niczym grecka masażystka), potem lico moje trochę pobielić, wargi ukarminować, na koniec w stroje niewieście oblec. Tym sposobem uczynili ze mnie kobietę, jeśli przywabiającą czyjkolwiek wzrok, to zalotników, a nie dominikańskich inkwizytorów.

Kiedy zapytałem Mistrza, skąd ma tak piękne damskie szatki, odparł krótko, że do niedawna towarzyszyła mu w wędrówkach umiłowana córka.

– I co się z nią stało? Pomarła? – zapytałem.

– Gorzej. – Westchnął ciężko.

– Do klasztoru wstąpiła?

– Jeszcze gorzej. Wyszła za jakiegoś bogatego durnia i niańczy mu bachory, miast poświęcić się jak ja nauce i przygodzie.

Miałem wielką ochotę zapytać o jej matkę, ale jakoś głupio mi było, poza tem poznając bliżej *il dottore* i jego niezwykle możliwości, nie zdziwiłbym się, gdyby urodził ją sam, ewentualnie do spółki z Magogiem.

Tedy podróżując z nimi przez następne miesiące, słuchałem pilnie nauk Mistrza i zgłębiałem różne księgi, znane mi dotąd głównie ze słyszenia: Arystotela, Platona, ale również Paracelsusa, wyklęte przez kościół pisma Kopernika, a dla równowagi *Malleus Maleficarum* (czyli po naszymu *Młot na czarownice*), dzieło spisane ponad sto lat temu przez dwóch dominikańskich braciszków Jacoba Sprengera i Heinricha Kramera, przejmujące grozą

każdego próbującego posunąć się w swych badaniach i przemyśleniach poza naukę dopuszczalną przez Kościół.

Przez ten czas zadawałem sobie wiele pytań. Na przykład o wiarę mego preceptora. Nigdzie w karocy nie widziałem religijnych symboli, z drugiej strony il *dottore na co* dzień pozdrawiał ludzi katolickim pozdrowieniem, zdejmował nakrycie głowy przed kościołem, nie unikał księży ani nie gustował w szczególnie plugawych anegdotach na ich temat. Nie klął jak inni, chętnie poniewierający cześć Najświętszej Panienki lub Boże Ciało. Inna sprawa, że nie słyszał, żeby klął kiedykolwiek.

Bywały chwile, kiedy pomykając jego karetą, miałem odczucie, iż towarzyszę samemu diabłu, wszelako nie zdarzyło się, by kogokolwiek, włącznie ze mną, wodził na pokuszenie. Dziś sędzę, że miał on jedynie głęboką urazę do ziemskiego Kościoła i jego oficjów, szczególnie po intensywnych kontaktach, w efekcie których pozostały na jego ciele ślady od smagań, rozciągania i zrywania paznokci. W Hiszpanii palono go nawet na stosie, co – gdyby nie to, że wyszedł z tej opresji cało – nie byłoby specjalną sensacją, boć pali się tam więcej fałszywych przechrztów i kaczerzy niż drewna opałowego. Czemu też nie ma się co dziwować – zimy, krom Asturii, bywają na półwyspie lekkie, natomiast fakt, że przeżył, przeszedł do historii iberyjskiej rozrywki. W czasie odbywającego się w mieście Pampeluna *auto da fé*, którego miał być ozdobą, zerwała się burza z piorunami, woda zalała jego stos, a piorun grzmotnął w trybunę honorową, zabijając biskupa, z pochodzenia, jak mówiono, podobnie jak Torquemada, Izraelitę, na koniec zaś poryw wiatru przerzucił ogień na stajnie pobliskiego *Plaza de Toros*, uwalniając 50 byków do korridy sposobionych, które runęły w tłum, powodując powszechną panikę i zamęt tak wielki, że nikt nie przeszkodził ukrytemu w tłumie Gogowi więzów swego pana przeciąć, do powozu omdlałego zanieść i galopem miasto opuścić.

Tymczasem zeszliliśmy z apenińskich wyżyn i jasne się stało, że podążamy ku Wenecji, nim jednak udało się nam do Serenissimy dotrzeć, czekała nas przeprawa przez rzekę Pad. Biorąc po uwagę nagrodę wyznaczoną za moją skórę, wedle Mistrza tak wygórowaną, jakbym był świętym Bartłomiejem, i wzmożone kontrole na moście, groziło mi niebezpieczeństwo dekonspiracji.

Zaproponowałem zatem, iż oddalę się od powozu il *dottore* i pokonam rzekę wplaw, jako że pływak zawołany, który ni wirów, ni zdrażliwych nurtów się nie obawia. Zawieziono mnie w miejsce odpowiednio ustronne, gdzie odczekawszy czas jakiś, aż się powóz oddali, zacząłem się rozdziewać, kiedy posłyszałem dźwięczny głos.

– Hola, mościa panno! Jeśli zamierzasz tu kąpiele zażywać, to ostrzegam, iż miejsce to niebezpieczne wielce i sporo śmiałków rok w rok połyka niczym Skylla nienasycona pospołu z Charybdą.

Można by powiedzieć, że mam szczęście do mężczyzn nad rzeką, gdyby ich zamiary zawsze pozostawały tak czyste jak mego mistrza. Tym razem pojawił się człek młody, ledwie kilka lat ode mnie starszy, postawy rezolutnej, o ostrym wejrzeniu i nieco dwuznacznym uśmiešku, który plątał się mu pod wąsem.

Powinienem się w tym momencie spłonić, ale nie bardzo wiedziałem, jak to się robi, przeto tylko skłoniłem się uprzejmie i pośpiesznie narzuciłem ledwie zdjętą opończę.

– Do kroćset – prawil dalej nieznajomy kawaler – zdawało mi się, że znam wszystkie urodziwe damy z sąsiedztwa, a ciebie, pani, nie miałem przyjemności poznać. Nazywam się Achille Petacci delia Revere, a ciebie jak zowią?

– Alfreda... – wyksztusiłem możliwie jak najcieńszym głosem, wysilając cały swój dowcip na wymyślenie nazwiska i jedyne, co mi przyszło do głowy, to wspomnienie bezpieczeństwa kundla, którego napotkał pięć minut temu. – ... Il Cane. Tak! Alfreda il Cane.

– Jakżeś znalazła się, pani, sama z dala od gościńca? – kontynuował swą indagację młody człowiek.

– Założyłam się o złotego dukata z memi siostrami, że samojedna przepłynę rzekę.

– Dalibóg, wielka rezolutka, a zarazem ryzykantka z waćpanny. Jednak radzę losu nie kusić, jeno z mej propozycji skorzystać.

– A jaka to propozycja?

– Kilkaset stóp w górę rzeki mam łódź, którą łącno przeprowię waćpannę na drugi brzeg.

– Ile to będzie kosztować?

– Najwyżej buziaka.

Przystalem na ten układ, nie przypuszczając, że termin buziak może być rozciągliwy jak pantaloney, które nałożnice sułtańskie noszą. Ledwieśmy się od brzegu oddalili, Achille, miast ku drugiej stronie płynąć, skierował łódź na lesisty ostrów, pożerając mnie wzrokiem i komplementy prawiać. W mig pojąłem, ku czemu zmierza.

– Obiecał pan mnie na drugi brzeg odstawić... – zacząłem płaczliwie, ale ten gwałtownik, nie przejmując się memi protestami, wiosła porzucił i ku mnie się przysunął, jedną ręką kibić obłapiając, drugą próbując między nogi wrazić, na co rzecz jasna nie mogłem pozwolić nie

tylko z powodu poczucia przyzwoitości.

Strzeliłem więc pana Petacci delia Revere w pysk, aż runął w wodę i nim krztusząc się i parszcząc wypłynął na powierzchnię, oddaliłem się szybko z nurtem Padu, puszcżając mimo uszu błagania i prośby, bym ostał i nie był sprawcą jego śmierci fizycznej i duchowej, albowiem zobaczywszy mnie, zachorzał z miłości.

Na drugim brzegu rychło doczekałem karocy il *dottore*, który stwierdził, że miałem rację, wybierając drogę wpław, ponieważ na moście kontrolowano ich starannie, szukając zwłaszcza ludzi, w czym walnie pomagały wielkie psy przez księcia Ferrary z Północy sprowadzone.

Miałem nadzieję, że zdarzenie pozostanie w mej biografii jedynie zabawnym incydentem, choć – jak twierdził mój mistrz – panowie delia Revere należeli do ludzi, z którymi nie warto zadzierać. Stary Galeazzo Petacci był kondotierem, odpowiedzialnym za śmierć wielu niewinnych istot, który od zwykłego *siccara*, przez stanowisko *capitano trupy* najemników wysługujących się różnym panom, doszedł do pozycji barona z tytułem szambelana dworu papieskiego. Jego syn, jeśli choć w części odziedziczył charakter ojca, musiał być łotrem spod ciemnej gwiazdy, a już na pewno – co zresztą udowodnił właśnie – rozpustnikiem.

Wenecja. W późniejszych latach wiele razy odwiedzał to niezwykle miasto wśród lagun, wszelako najsilniejsze pozostaje pierwsze wrażenie. Po kres życia będę pamiętać chwilę, kiedy, po minięciu kępy drzew, z pokładu naszej łodzi płynącej od strony Chioggi ujrzałem nagle ten cud wyrastający zuchwale z gliniastego podłoża ponad wodną taflę – las, wieże i dzwonnice, z natłokiem domostw napierających jedno na drugie w wielowiekowym mocowaniu, z tysiącem łodzi, galer i korabi uwijających się po lagunie niby robotne pszczoły wokół gigantycznego ula.

Kwaterę wzięliśmy pod kościoła San Paolo, wzniesionego, jak mówią, jeszcze w VIII wieku, kiedy Wenecja, ostatnie *refugium* mieszkańców pobliskiego lądu umykających przed barbarzyńcami na bagniste wysepki, dopiero rozpoczynała swój marsz ku wielkości. Krótki spacerek dzielił nas od wzniesionego niedawno, a już słynnego mostu Rialto, osobliwej kamiennej konstrukcji, która zastąpiła wcześniejszy most z drewna o środkowej części zwodzonej. Most tamten miał swoje lata, kiedy podczas karnawałowej parady, którą tak uwielbiają Wenecjanie, zawałił się pod ciężarem zgromadzonej na nim gawiedzi. Uczyniłem

nawet szkic węglem onej tragedii. Obraz owego zdarzenia namalowałem też temperą, ale parę lat później. Czerpiąc inspiracje z Rafaelowego *Pożaru Borgo*, próbowałem oddać chwilę, w której łamie się nie tylko most, ale również dobry nastrój notabli obserwujących z pałacowych okien rewię łodzi na Canal Grande. Naszkicowałem także panikę dam i kawalerów w gondolach płynących, kiedy cała konstrukcja waliła się im na łeb, owe rozpaczliwe zabiegi gapiów i przekupniów, iżby nie runąć do wody, a także ostatnie ruchy tonących. I choć wysiłałem swą wyobraźnię i naturalny dar zręcznej dłoni, czyż mogłem oddać w pełni ruch, krzyki, a także zapach kurzu, ryb, soli i śmierci?

– Sądzę, że urodziłeś się za wcześnie, Alfredo – powiedział Mistrz, kiedy z westchnieniem, zdradzającym poczucie niespełnienia, pokazałem mu moje rysunki. – Kiedyś twe marzenia utrwalania bieżącej chwili i oglądania jej powtórnie staną się możliwe i łatwe.

Uznałem tę opowieść za żart, zapominając, że kiedy il *dottore* wygłasza profecje, nigdy nie żartuje.

Nie miałem pojęcia, jak długo zabawimy w Wenecji. Każdego dnia mój Mistrz przyprawiał sobie siwą brodę i pejsy, przebierając się w szaty uczonego Żyda, po czym wędrował na północny skraj miasta, gdzie mieściła się miejscowa juderia, niekiedy nazywana Ghettem od cegielni, która ongiś tam stała. Co tam czynił i czego szukał – naonczas nie wiedziałem. Nie chcąc marnować czasu, po dwóch pierwszych dniach, kiedym biegał w damskich szatkach i w asyście Magoga (iżby natrętów przeganiał) po kościołach arcydzieł sztuki pełnych i oglądał z zewnątrz pałace, postanowiłem doskonalić się w kunszcie malarskim i podjąć pracę w warsztacie któregoś z weneckich mistrzów. Tam zresztą zamierzałem nie korzystać dłużej z przebrania.

Znalezienie właściwego nauczyciela okazało się trudniejsze, niż mniemałem, czasy bowiem wielkich artystów tego miasta minęły, pomarli Veronese i Tintoretto, a nie narodzili się nowi, tak jakby wszelka energia twórcza opuściła gród świętego Marka, a cały geniusz pędzla i ołówka przeniósł się poza Alpy, głównie do chłodnych Niderlandów. Miejscowi artyści (czy raczej należałoby rzec: rzemieślnicy) zajmowali się przeważnie kopiowaniem dawnych mistrzów na potrzeby bogatych wojażerów lub koncentrowali się na sporządzaniu portretu w jeden dzień, czego inaczej określić się nie da innym słowem jak partanina. Ale czy byli gorsi od Markusa van Tarna z Rosettiny, którego *maestrem oprócz mnie* nazywał jedynie jego niewidomy model? Markus jako malarz był przede wszystkim teoretykiem, niedbałym o szczegóły. Zdarzało mu się namalować konia z pięcioma nogami lub proporce łopocące w przeciwnym kierunku niż wiał wiatr. Ale opowiadał pięknie, toteż słuchałem jego nauk ochoczo, chłonąc nade wszystko atmosferę pracowni – pełnej gęsich piór, pędzli, ołówek z

cumberlandzkiego grafitu dostarczanych z północy, wiewiórczych skórek potrzebnych do wyrobu pędzelków, którymi wykonuje się miniatury. A zapach warsztatu twórcy – ta fantastyczna zawiesina oleju lnianego, białka, esencji z orzechów włoskich, klejów rozmaitych, gipsu sztukatorskiego, terpentyny, lawendy, sadzy i kredy, żywicy i pokostu... W Wenecji ową mieszaninę uzupełniał jeszcze niezapomniany smród kanałów i ryb. Chyba że wiał wiatr od morza, to wtedy przeważała w bukiecie wilgoć i sól. Sądzę, iż właśnie z powodu tych wrażeń równo dwa tygodnie cierpliwie terminowałem u jednego miejscowego artysty na Guidecca, doskonaląc się w sztuce mieszania farb, a także w kompozycji i perspektywie, w czym *maestro* Bernardo był dosyć biegły. Najbiegły okazał się jednak w sporządzaniu plugawych miniatur służących wywołaniu podniecenia. Wyjątkowo chętnie kupowali je u niego nadwątleni wiekiem notable, a osobliwie często wyższej rangi duchowni. Sam dostałem do skopiowania jedno takie urocze paskudztwo, na którym Wenera pieściła oralnie małego Amorka, nie bacząc, iż od strony reszki posuwał malca równocześnie muskularny Mars. Wyznam, że owa lubieżna tematyka źle na mnie wpłynęła, bo zapragnąłem naraz kontaktu z ciepłym kobiecym ciałem, mimo że dopotąd korzystanie z płatnej miłości napełniało mnie obrzydzeniem. Zaczęły męczyć mnie sprośne sny i już prawie byłem gotów wyruszyć na poszukiwanie jakiejś kurtyzany, kiedy na kwatere powrócił *il dottore* czymś niezwykle poruszony.

– Czas nam ruszać, bo każda chwila droga! – zawołał. – Pakuj się, Alfredo.

– Ale dokąd mamy podążać? – zapytałem.

– Na północny zachód, za Alpy – powtórzył i pobiegł przynaglic swoje sługi.

Powiedział, że za Alpy, zrazu jednak puściliśmy się prosto na zachód, przez Vicenę i Weronę, miasto słynne z kochanków Romea i Julietty, o których z dawna krążyły u nas liczne smutne opowieści, ale dopiero Angielczyk Szekspir nadał im formę scenicznej tragedii. Co prawda miejscowi twierdzili, że wszystko w onej historii było inaczej, albowiem młodzi pobrali się, zwaśnione rody zawarły pokój wieczysty, po czym wszyscy żyli długo i nudno. Julia doczekała się dziesiątki dzieciaków, a jurny Romeo trykał wszystko w okolicy, co stało na dwóch nogach, z wyjątkiem być może bocianów (acz te stanie na jednej nodze preferują, więc może dlatego), tak że jego przyjaciele domagali się, aby pobliską Lombardię „Rombardlą” nazwać, tyle bowiem bękartów z korzenia Montekich tam się narodziło. Ale może było to jedynie podłe pomówienie.

Czas dłuższy posuwaliśmy się szybko i bez trudności, wszelako zaraz za Mediolanem zrobiło się niespokojnie, po okolicy grasowały luźne kupy maruderów i podróżni celem bezpieczeństwa łączyli się w karawany, starając się w miarę możliwości nocować po miastach i

klasztorach, a nie w szczerym polu. Inna sprawa, mój *il dottore* nie obawiał się byle opryszka – jego dwaj słudzy w walce starczyliby za drużynę zbrojnych, nadto dysponował on przedziwnymi sposobami mogącymi zniechęcić napastników. Raz, kiedy kole Werony opadli nas żebracy, prysnął im z ukrytego w rękawie mieszka jakąś miksturą, po której jedni zgola padli, inni poczęli kichać, oczy trzeć, tracąc z miejsca jakąkolwiek chęć do napaści. Nie obawiał się też kradzieży – woził ze sobą skrzynkę metalową, w której swe najbardziej sekretne utensylia chował, i raz, kiedy o złoczyńcach była mowa, a jam akurat wrócił znad rzeki bosso, zaproponował, iżbym dotknął wieka onej szkatuły. Wyciągnąłem rękę, dotknąłem i jakby we mnie żywy ogień uderzył, drzenie przeszło wszystkie moje członki i na ziemię padłem niczym rażony gromem.

– Co to było, Mistrzu? – wyksztusiłem, ledwie przytomność mi wróciła.

– Żywioł gromu – rzekł i wyjaśnił, że posiadał umiejętność gromadzenia energii, która właściwa jest piorunom, ale także kryje się w sierści kotów i w bursztynie z północy, przez starożytnych Greków *elektronem* zwanym. – Domniemywam, że podobną moc wykorzystywali starożytni Żydzi ku ochronie Arki Przymierza.

Kiedy wyraziłem podziw dla zmyślnego urządzenia, stwierdził z zaskakująco mocnym przekonaniem, że nadejdą czasy, kiedy ludzie ujarzmią moce natury, wykorzystując nagromadzone w niej siły ku swemu pożytkowi.

– Gdybyż znaleziono sposób na uwięzienie błyskawic i spowolnienie ich wyładowań – marzył – noce w miastach mogłyby stać się jasne jak w dzień.

– Byłby to czyn podobny kradzieży ognia bogom przez Prometeusza! – zawołałem. – Ale nie sądzę, że spodobałby się Najwyższemu.

Il dottore uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Skoro Najwyższy zdecydował się obdarować nas rozumem, musiał założyć, że z czasem zechcemy poznać niektóre z jego tajemnic. Dzięki Chińczykom już nauczyliśmy się korzystać z prochu, a przecież od starożytnych Greków wiemy o innym wynalazku, który, gdyby dało się go umiejętnie zaprzęgnąć do pracy, mógłby odmienić świat.

– O czym Mistrz mówi?

– O parze wodnej. Już egipscy kapłani potrafili ją tak wykorzystywać, iżby otwierała drzwi świątyń. Gdyby można ją produkować w wielkich ilościach i zarazem zapobiec jednorazowemu jej trwonieniu, myślę że można by tworzyć powozy bez koni, poruszające się po lądzie, wodzie i w powietrzu.

– Nie może być!

– Patrz dalej, Alfredzie! Patrz dalej niż ci, którzy uważali, że linia horyzontu jest

ostateczną krawędzią niebios. Nie uchylaj się przed odwagą myślenia! Spójrz na Słońce, dawcę ciepła i światła. Nikt nie wie, skąd bieżę swe niewyczerpane paliwo. Ale jestem pewien, że kiedyś poznamy i tę tajemnicę. Choć czasami strachanie bierze, co ludzie źli mogliby z taką mocą uczynić.

W głowie mi się mąciło od podobnych opowieści, wykładanych wszelako tak logicznie, tak przekonywająco, że trudno było się im oprzeć.

Jednego długo nie mogłem dociec: skąd *il dottore o tym wszystkim wiedział? Sam mówić* o swej edukacji się nie kwapił, a mnie wypytywać go nie wypadało.

Z pewnością wiele podróżował. Wiem, że dotarł nawet do Kitaju, po drodze przebywał w pełnych tajemnic Indiach, wspinał się też na dach świata, gdzie w klasztorach jest kultywowana, ponoć nieprzerwanie, wiedza z czasów pradawnych...

Ale co było ostatecznym celem jego poszukiwań? Pogodziłem się z myślą, że zachowując cierpliwość, z czasem poznam wszystko, że zbiorę zasoby jego mądrości niczym skarby morskie, które odpływ pozostawia na plaży, zrazu całe wodą zakryte, potem mniej i mniej...

Tymczasem pewnego wieczoru stanęliśmy w mieście, której nazwy nie pomnę, gdzie rozdzielone głębokim wąwozem sąsiadowały ze sobą dwa klasztory, męski i żeński. Myślałem, aby szybko powrócić do męskiej postaci, niestety braciszek, któregośmy z gościńca zabrali, uparł się, że osobiście przedstawi „miłą panienkę” matce przełożonej, pewien, iż ta niechybnie udzieli mi gościny. Opierałem się, ale nieoczekiwanie *il dottore* stwierdził, że noc u mniszek dobrze zrobi dorastającej dziewczynie. Poza tym w osadzie żadnej oberży nie było, a bandy maruderów włączące się po okolicy zniechęcały skutecznie do noclegu pod gołym niebem.

Poszedłem tedy między służebniczki pańskie, pełen bojaźni na myśl o zdemaskowaniu. Przeorysza prześwidrowała mnie wzrokiem tak przenikliwym, jakby chciała zbadać, co jadłem na śniadanie. Jednak, nie domyśliwszy się mistyfikacji, zaofiarowała mi wspólną celę z nowicjuską o imieniu Claretta, dziewczęciem z wyglądu najwyżej szesnastoletnim, później dowiedziałem się, że liczy sobie już dwadzieścia dwie wiosny, wszelako osobiście tak mało urodziwym, iż z mej strony żadne niebezpieczeństwo nie mogło jej zagrażać.

Jeśli ktoś uzna, że jestem wybredny, to wspomnę jedynie, że lico mniszki pokryte było trądzikiem, do tego miała zajęczą wargę i kosmatą brodawkę na nosie. Przyjąłem tę okoliczność z radością, bom do grzesznej działalności się nie kwapił. I tak powracający w snach obraz Beatrycze wystarczająco plamił moją hipotekę brzydkich uczynków, nie wspominając o pościeli.

Noc zapadła smolista, dzięki przeciągom w klasztornych krużgankach dość chłodna. Korzystając z przywilejów przynależnych podróżnej, zaraz po wieczery zostałem zwolniony z obowiązkowych modlitw, czuwań i śpiewów. Przeto spokojnie mogłem się i umyć, i zlec w łożu, a nawet w sen zapaść. Na krótko jednak.

Tup, tup, tup, pac, pac, szast, szast... Co się dzieje?

Nie działo się nic szczególnego, to tylko wróciła z jutrzni Claretta i krążyła ożywiona po celi, zrzucając wierzchni przyodziewek. Czekałem, aż spać pójdzie, bo nie ma nic gorszego niż z pierwszego snu wyrwanie, ona wszelako wskoczyła nie do swej, chłodnej, a do mojej wygrzanej pościeli i powtarzając cokolwiek na przydechu: „Siostrzyczko, siostrzyczko”, usiłowała się do mnie przytulić. Odwróciłem się plecami, mniemając, że słowa nowicjuszki wynikają jedynie z dobrze pojętych obowiązków gospodyni. Byłem w błędzie. Claretta bowiem na przytulaniu nie poprzestała, jeno moją koszulę poddarła i całym swoim nieco tłustawym ciałem do mych pleców przywarła, tak że poczułem i grudki stwardniałych sutek, i krzaczysko łona włochatego niczym pałacowe pieski, maltańczykami zwane. Niedobrze! Uciekać, nie uciekać...? A jak krzyku narobi? Z dwojga złego postanowiłem poddać się swobodnemu biegowi zdarzeń.

Szybko poczułem oddech Clarety na karku, potem pocałunki w uszy, które mam wrażliwe na podobieństwo listków osikowych, wreszcie doszło do udanej próby obrócenia mnie na drugą stronę. Towarzyszył temu tekst: „Aleś ty płaska, siostrzyczko”. Potem napalona dziewczka dotarła do Derossiego juniora i jeśli ją to znalezisko zdziwiło, nie pokazała tego po sobie. Powtórzywszy tylko jeszcze raz słowa „siostrzyczko, siostrzyczko”, ucapiła owego nieboraka sprawnie, wykonując ruchy najbardziej przypominające łuskanie bobu.

Ponieważ pachniała wcale przyjemnie, a dzięki ciemności jej szpetoty najwyżej mogłem się domyślać, moje ciało stało się zadziwiająco powolne jej zabiegom. Mój żuraw uniósł się do góry jak przebiśnieg z pierwszym tchnieniem wiosny.

Nadal powtarzając „siostrzyczko, siostrzyczko”, tak jakby zignorowała wszelkie dowody mej męskości, zsunęła się niżej pod prześcieradłem, mlaszcząc niczym niedźwiedź, który się do barci dobrał, ale że była bardzo niecierpliwa, zaraz poniechała owego smakowania, tylko jak barbarzyński jeździec dosiadła mnie na oklep i ruszyła galopem w szaloną wędrówkę, stopami uderzając mnie w boki celem przyśpieszenia biegu i nadania mu większej płynności.

Z jej zaślinionych ust wydobywały się dźwięki dziwaczne, ni to śpiewy, ni zawodzenia, a gdy bardziej zaczął się w nie wsłuchiwać, bojaźń mnie ogarnęła okrutna, albowiem rozpoznałem w nich nabożne psalmy i litanie co – biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich je

wykonywano – zakrawało na ciężką profanację. Inna sprawa że być może mniszka nie znała innych tekstów bardziej do tej chwili pasujących. Ale przecież mogła milczeć.

Coraz bardziej zdyszani wypadliśmy wreszcie, niczym konie w hipodromie, na ostatnią prostą i razem z okrzykiem, w jej wypadku *Salve Regina!*, w moim jeno „uff!”, minęliśmy pospołu linię końcową, po której ona popadła w stan rozmarzenia, a ja natychmiast zasnąłem.

Rankiem mniszki nie było śladu. Na prześcieradle też nie znalazłem żadnych widomych oznak walki, co dowodziło, że albo mi się to wszystko przyśniło, albowiem też nie był pierwszym rumakiem ujeżdżanym przez chutliwą siostrzyczkę.

Spotkaliśmy się w refektarzu na śniadaniu. Aliści niczego poznać po sobie nie dała. Oczki miała spuszczone, rączki złożone, a lekki rumieniec na jej jagodach przypisać można było rannemu rześkiemu zefirowi dmuchającemu od strony Alp. Potem zniknęła tak szybko, żeśmy się nawet nie pożegnali. Przyjąłem to z ulgą. Drogi mieliśmy do zrobienia szmat, il *dottore* śpieszył się tak bardzo, że popasaliśmy dopiero w wieczór i wtedy okazało się, że w dywanach mamy jakowyś nadbagaż. Przybiegł Magog z Gogiem i, gestykulując żywo, odegrali nam prawdziwą pantomimę, szczególnie karzeł wykonywać jął ruchy, jakby chciał kogoś dźgać kindżalem.

Mistrz kazał rozwinąć dywany i wtedy niby Kleopatra z dramatu wspomnianego już Szekspira wypadła z nich Claretta, zmęczona, ale roześmiana.

– Dla Boga, co tu robisz, waćpanno? – zawołałem.

– Jadę z wami – odparła rezolutnie. – Albowiem pragnę, byś się ze mną ożenił.

Pobladłem, bo od myśli o żeniactwie (zwłaszcza z kimś takim jak ona) byłem dość odległy. Co gorsza, nie wiedziałem, co rzec. Chwilę trwaliśmy tak w wielce niezręcznej sytuacji, jak lalki marionetki, kiedy im się nitki splączą. I wtedy ozwał się il *dottore*.

– Muszę cię zmartwić, nadobna panienko, albowiem Alfredo nie może się z tobą ożenić...

– Przecież nie jest kobietą!

– ...Nie może się z tobą ożenić, jest już żonaty bowiem i w ojczystej Rosettinie ostawił ślubną małżonkę z dzieckiem na ręku.

Błogosławione kłamstwo mego Mistrza!

Były wprawdzie i łzy, i złorzeczenia – „Co ja zrobię, zhańbiona, uwiedziona!”. Ale najgorsze minęło. Mistrz w ramach rekompensaty za wielce problematyczne zhańbienie dał Claretcie sakiewkę i konika luzaka, na którym do domu mogła wrócić, co później nie omieszkiał mi wypomnieć, potrącając raty ze skromnego kieszonkowego, które mi wypłacał.

Już w Piemontcie, w małym kościółku kole drogi, którą pędziliśmy tak szybko, jakby ściągał nas cały tabun nienasyconych mniszek, odnalazłem kapłana gotowego mnie wypowiadać, co uczynił z ochotą, a nawet o pewne grzeszne szczegóły drobiazgowo mnie wypytywał, dziwując się wielce.

– Nie może być, żeby takich rzeczy dokonywała mniszka. I to u nas...?

– Nie u was, jeno w Lombardii.

– Aaa, chyba że w Lombardii – skwitował me wyznania, zalecając w ramach pokuty przez dwa tygodnie ćwiczyć się dyscypliną z rana i wieczora, iżby więcej takim pokusom nie ulegać.

Myślałem, że na tym się historia skończy, bo mendoweszki, którym przy okazji klauzurowych igraszek podłapał, il *dottore* przegnał jakąś znamienitą „egipcjańską maścią” – niestety omyliłem się srodze.

Tymczasem zapuściliśmy się w góry prawdziwie wysokie, nieba sięgające, na szczytach śniegiem pokryte i wiewla można by opowiadać o naszych wysiłkach, które ponosiliśmy, iżby je w najkrótszym czasie przekroczyć, co z bożą pomocą udało się bez strat. Nasze konie okazały się dzielniejsze od słoni Hannibala, z których – jak powiadają – prawie wszystkie podczas mozolnej przeprawy pomały i do bitwy ostał się tylko jeden. Co jakiś czas wszelako i nasze chabety dochodziły do kresu swych możliwości, stawały w miejscu, rżąc i pianę z pyska tocząc. Wtedy musieliśmy z wozu wychodzić, pchać karocę i ciągnąć zaprzęg.

Mój Mistrz każdą wolną chwilę wykorzystywał, by poić mnie coraz nowemi dawkami z krynicy wiedzy, którą było on sam. Głowiłem się ciągle, skąd on ją zaczerpnął? Niepodobieństwem było, iżby do wszystkiego doszedł samojeden. Wprawdzie nigdy nie wspominał o swoich bezpośrednich mentorach, wszelako wiem, że korespondował z najtęższymi umysłami epoki, w miastach oczekiwała go poczta – a pomiędzy tymi, od których pisma dostawał, był i astronom Kepler, i niejaki Galileo Galilei, i pochodzący z północnych krain Tycho de Brahe, i Angielczyk Bacon, o którym mówiono, iż to on jest właściwym autorem sztuk Szekspira, a ten to ino *aktor*, który tylko na scenę dramaty podaje. Różni do niego pisywali – jedni już uznani, inni u progu sławy, inni wreszcie, którzy rozgłosu nie zyskali, a często tylko narażali się na śmiech szydery, wszelako mój Mistrz prawie za każdym razem potrafił dobyć z ich prac coś niepomiernie ważnego. Przez dłuższy czas sądziłem, że para się alchemią, miał bowiem zawsze dość złota, ale nie pochodziło ono z procesu transmutacji, w który osobiście nigdy nie wierzył.

– Wiesz, ile cennego kruszcu kryje ziemia – tłumaczył – i nie mówię tu o złotodajnych piaskach królestwa Mali, jeno o tym, co w obliczu wojen i katastrof ludzie powierzali matce

ziemi, o tych wszystkich garnkach pełnych monet, zawiniątkach z rodzinnymi srebrami, diademami i kielichami w ściany piwnic wmurowanymi. A grobowce? Zawsze zastanawia mnie, czemu wielcy tego świata tak bardzo pragną zabierać bogactwa tego świata do królestwa duchów... Nie sądzę jednak, Alfredo, że masz do czynienia z pospolitym rabusiem. Korzystam z tych zasobów tylko naocznas, kiedy jestem w prawdziwej potrzebie. – Tu pokazał mi metalowe urządzenie, które pozwalało mu, chociaż nie wiem na jakiej zasadzie, wykrywać wszelkie dobra pod ziemią ukryte, oczywiście jeśli nie leżały zbyt głęboko. – Tak udało mi się odkryć groby etruskie w Toskanii, a także sporo skarbów pochowanych w trakcie najazdów barbarzyńców w V wieku. A gdybym jeszcze odkrył legendarny grób Attyli, spełniłbym marzenie mego życia.

Postawiłem uszy.

– Jakież to marzenie?

– Wykupiłbym od padyszacha piękną wyspę na ciepłym morzu i zgromadził tam najtęższych uczonych z całego świata, iżby w nastroju spokoju i dostatku mogli prowadzić eksperymenty, analizować stare księgi i deliberować nad lepszym ułożeniem świata.

Nie kwestionowałem tej wizji, chociaż nie wydawała mi się szczególnie rozsądna. Mimo młodego wieku pamiętałem opowieści kapitana Massimo, że wszelkie mądrale w większej kupie są swarliwe i zazdrosne, a całą energię zużywają, chętniej ze sobą walcząc, niż współpracując.

– Nie masz większych durniów niż zawodowi mędracy – powtarzał mi także ojciec Filippo i nie sądzę, żeby był to wyłącznie zabawnie brzmiący paradoks.

Tymczasem przekroczyliśmy przełęcz San Bernardino, słynną z psów wielkich, które, jak powiadają miejscowi, potrafią człeka przysypanego śniegiem odnaleźć, i otwały się przed nami doliny przez Helwetów zamieszkałe, a my, lubo gnaliśmy i tak na łeb na szyję, jeszcze przyspieszyliśmy. Nad jeziorem Lemán w Montreux Mistrz mój ostawił nasz zaprzęg jako zbyt powolny pod opieką swych niemotów i razem ze mną na rumakach puścił się w alpejską dolinę z zapamiętałością, jakby miał tam znaleźć źródło wiecznej młodości albo jaki inny skarb.

Co go tak gnało? Nie wspominał, ale jego lico pociemniało z frasunku, a bruzda na czole zapadała się jeszcze bardziej. Co jakiś czas zachodził do oberży, rozpytywał też o coś po plebaniach, a potem na koń siadał i pędził, wlokąc mnie za sobą.

Gdybyście chcieli szukać wad mego Mistrza, właśnie owa niechęć do odpowiadania na pytania dotyczące jego zamiarów mogła irytować najbardziej. Później pojąłem, że w tym

szaleństwie kryła się metoda pozwalająca bezpiecznie dochodzić do celu, bez ryzykowania, że ktokolwiek ze złej woli, bądź jedynie z głupoty, temu zamierzeniu przeszkodzi.

Tamtego dnia kole południa rumaki nasze przekroczyły kamieniste koryto rzeki, potem, idąc traktem, wspięły się na pagórek, zdobny figurą świętego Krzysztofa, patrona podróżnych, dowodząca, iż jesteśmy na ziemiach, które oparły się herezji Kalwina obracającej się przeciwko świętym i błogosławionym Kościoła. Zaraz otworzył się szeroki widok na miasteczko w dolinie, rzekłbyś anielską ręką wzniesione. Nieduże, harmonijne, w przejrzystym powietrzu wyglądające nad wyraz schludnie – zameczek na skale, spiczaste wieże paru kościołów, pola równe, z mnogością ogrodów, chaty ochędożone, a obejścia czyste, jak to bywa u Helwetów, któren to lud na zewnątrz swych kantonów bitny, wewnątrz niezwykłą estymą porządek i skrętność darzy.

Należy dodać, iż dzień był słoneczny, mimo późnej wiosny chłodny owym orzeźwiającym chłodem gór. W zaroślach tryliły ptaki, a szum wodospadu podkreślał jeszcze harmonię tego obrazka, wręcz proszącego się o pędzel, blejtram, płótno i wprawną rękę. Wspomnianą kompozycję łamał jedynie słup ciemnego dymu dobywający się z miejsca, w którym, wedle wszelkich zasad urbanistycznych, winien się znajdować rynek.

– Przybyliśmy za późno! – jęknął il *dottore*.

Co to miało znaczyć? Bramy zastaliśmy rozwarte i niestrzeżone, ulice wręcz wyludnione, dopiero postępując dalej, ujrzeliśmy cizbę zgromadzoną w uliczkach ku rynkowi prowadzących. Dopiero beznogi żebrak, którego zauważyliśmy w dziurze obok rynsztoka, jak na podobieństwo karalucha daremnie próbuje się z niej wydostać, zapytany, co tu się dzieje, wyszczerzył ku nam radośnie szczerbatą szczękę:

– Żydków, Żydków pałą!

Myślałem: pójdziemy końcówkę onego widowiska oglądać, ale Mistrz z konia zsiadł i wdał się z łachmaniarzem w pogawędkę.

– Wielu pałą?

– Trzech. – Łachmaniarz uniósł ku nam dłoń, i której ostały się jedynie trzy paluchy, a gdyby nie liczyć okaleczonego kciuka, jedynie dwa.

– Co im zarzucono?

– Dzieciak piekarzy Sylvio dwie niedziele temu zniknął. Wszyscy mówią, że na macę go przerobili. Na mękach Żydki przyznały się nadto do profanowania hostii i zatrucia studni. Po prawdzie nikt od tego nie umarł, bo truciznę mieli słabą...

– A szczątki dzieciaka znaleziono?

– Nie. Ukryły psiewiary!

– Tak myślałem. – Głos *il dottore* stał się posępny i zrezygnowany – Wiesz, kim byli straceni?

– Dwaj to miejscowi, lichwą się trudnili, a trzeci wędrowiec i łazęga, przyjęty przed miesiącem przez nich na gościnę, choć niektórzy twierdzą, że to medyk i mag. W każdym razie z pochwyconych okazusza największy. Nie przyznał się do niczego. Ale i tak wysłano go do piekła.

Il dottore nie powiedział nic więcej, jeno konia nawrócił, ostawiając żebraka w dziurze, w której wprzód tkwił, i tak jak żeśmy niezatrzymywani wjechali, podobnie opuściliśmy to urocze miasteczko.

– Znowu pudło – usłyszałem pomruk pod nosem mego preceptora.

– Słucham, Mistrzu?

– Cała droga na próżno! Żyd, którego dziś spalono na stosie na większą chwałę Pańską, nie był tym, którego szukam. Tamten z pewnością nie dałby się schwytać, a tym bardziej zabić.

Potem zamilkł, ale gdy stanęliśmy odpocząć nad strumieniem, usłyszałem znów, jak powtarza do siebie:

– Wszędy to samo. Wszędy to samo.

Ośmieliłem się zapytać:

– Czemu, Mistrzu, nie chciałeś oglądać kaźni?

Pytałem go cicho, bardzo spokojnie, a on w odpowiedzi prawie krzyknął:

– Bo się brzydzę! Bo wstydzę się z przynależności do gatunku ludzkiego, gdy ten dopuszcza się podobnych okropieństw.

– Jednakoż, jeśli oskarżeni popełnili przypisywaną im zbrodnię, należała się im kara.

– Jeśli popełnili. W tem cała rzecz.

– Przecież się przyznali.

– Kochany Alfredzie, zapewniam cię, iż wzięty na tortury przyznałbyś się nawet, że jesteś wielbłądem – odparł impulsywnie. – A podobne zarzuty wobec naszych starszych braci w wierze słyszę ciągle, jak Europa długa i szeroka. Niech tylko przyjdzie nieurodzaj, morowe powietrze czy przegrana wojna, zaraz potrzeba winnego. I winni się znajdują.

– A chłopak, który zaginął, zupełnie się nie liczy?

– Nie wiemy, co się z nim naprawdę stało. Może po prostu uciekł z domu albo, jeśli był gładki, handlarze żywym towarem z Bałkanów kupili go na janczara lub eunucha. Są i inne bardziej odrażające możliwości, ale wolę ich nie wspominać.

Nie ustępowałem:

– Wszelako don Filippo opowiadał mi, że wiek temu działała w Italii sekta Judajczyków, która naprawdę dokonywała rytualnych mordów.

– Tego nie zaneguję, bo podobną opowieść również i ja słyszałem. Nadto jestem zdania, że w każdej najgorszej nawet bredni musi kryć się jądro prawdy, więc tak jak prawdą jest, iż szczątków skazanych dodawano do zaprawy, dzięki której wznoszono katedry, tak być może kiedyś jacyś Żydzi splamili się zbrodnią dzieciobójstwa. Wszelako każdy przypadek godzi się rozpatrywać indywidualnie, nie rozciągając odpowiedzialności zbiorowej na plemię bądź naród.

Dyskutowalibyśmy i dłużej, ale kurz podniósł się na gościńcu i wypadła gromada zbrojnych, okrążając nas ze wszystkich stron.

– To oni – usłyszałem skrzeczący głos żebraka przytroczonego do jednej z kulbak.

– Brać ich! – wrzasnął dowodzący oddziałkiem jasnowłosy młodzik, zwany przez swych podkomendnych *capitano*, niewiele ode mnie starszy, ale już tłusty, o wielkim kałdunie, który ledwie mieścił się pod szmelcowanym pancerzykiem.

Pochwyciło mnie zaraz parę łapsk. Ale nim rzucono mnie na ziemię, iżby skrępować, usłyszałem spokojny głos il *dottore*.

– Miarkujcie się, bracia. Zali chcecie podnieść rękę na przyjaciela Jego Świątobliwości i sługę arcykatolickiego króla Hiszpanii?

Łapy napastników cofnęły się.

– Niby to wy? – Z głosu młodzika wyparowała dotychczasowa hardość.

– A ja! I jeśli rozstąpicie się, tak bym mógł do sakwy sięgnąć pokażę wam pismo biskupa Rzymu i list żelazny króla Filipa, którego z bladaczki wyleczył.

– Jesteś medykiem, panie? – Niepewność młodego pana przemieniła się w szacunek, który po chwili wzrósł jeszcze bardziej na widok pierścienia i listu z pieczęciami Stolicy Piotrowej.

– Zowią mnie il *dottore*.

– Wspomniano mi o ludziach, którzy wjechali do miasta i śpiesznie zawrócili, o egzekucji usłyszawszy. Tedy, jako odpowiedzialny za spokój w tej rubieży, musiałem sprawdzić, czy to nie jacyś współknowacze traconych niegodziwców.

– Zali ja wyglądam na Żydowina? – Zaśmiał się Mistrz. – A może mam suknię podkasać i nienaruszone przyrodzenie wam pokazać...?

– Nie trzeba, nie trzeba – powiedział pośpiesznie *capitano*.

Skomlącego żebraka rzucił w przydrożne krzaki, wilkom na pożarcie, po czym zaproponował nam wspólną wieczerzę w zamczku, który miał niedaleko.

Ja, który jestem nieufny, wykręciłbym się, ale *il dottore* przyjął to z wdzięczną radością. Podejrzewał, i słusznie, że tłusty młodzian nie kieruje się wyłącznie gościnnością.

Przecucia nie zawiodły Mistrza – pod koniec uczyty gospodarz począł uskarżać się na rozmaite dolegliwości, które mimo młodego wieku dokuczały mu ponoć okrutnie. *Il dottore* zbadał go w łóżnicy, po czym zalecił zioła i ograniczenie spożywania pewnych potraw szczególnie tłustych, zaś zakończył badania stwierdzeniem że jeśli Hiacyntus nie zastosuje się do jego rad i nie będzie przyjmował zalecanych mu leków, rychło pomrze na wątrobę, tak jak przed rokiem jego czcigodny ojciec.

– Ale może się mylę... – zakończył łaskawie, widząc bladeść wypęłzającą na tłuste policzki kapitana.

Nie mogłem zasnąć i kiedy Mistrz zapytał dlaczego odparłem, że nie mogę wyjść ze zdumienia nad oną diagnozą. Zali postawił ją w ciemno?

– Nigdy tego nie robię – odparł *il dottore* – ale w jego wypadku miałem wystarczająco wiele podstaw.

Tu wspomniał smrodliwy oddech Hiacyntusa, gazy, które co i rusz popuszczał, a co do śmierci ojca, zauważył jego brak pośród domowników i zwyczajnie zapytał rękodajnego, na co i kiedy umarł starszy pan.

Mówiliśmy szeptem w kompletnej ciemności. To, że mrok panował, pozwoliło mi na większą zuchwałość. Spytałem Mistrza, w jakim celu pragnął spotkać się z owym skazanym na spalenie osobnikiem i skąd nagle wie, że stracony nie jest tym człowiekiem, którego szukał?

– Słyszałeś o Żydzie Wiecznym Tułaczem? – zapytał po krótkim milczeniu.

Potwierdziłem, natychmiast w mej pamięci odżyły przedwieczne opowieści ciotki Giovanniny.

– Co o nim wiesz? – pytał Mistrz.

– Iż był to nikczemnik, który urągał panu Jezusowi, gdy ten z krzyżem na barkach szedł na Golgotę. A Chrystus odrzekł mu: „Ja idę, a ty poczekasz mojego powrotu...”

– Tak, to jedna z licznych wersji – zgodził się *il dottore* – podobnie wiele ma imion. W twoim kraju nazywają go Johannes Buttadeus, w Niemczech Ahaswerus, w Anglii mówi się o nim Kartafilos, a w weneckiej juderii spotkałem rabina, który twierdzi, że kilkadziesiąt lat temu żył tam pod nazwiskiem Salatiel ben Sadi. Mam nawet rachunki z jego podpisami. Podobno odradza się co trzydzieści trzy lata, zawsze w innym miejscu i chodzi po świecie, przestrzegając ludzi przed grzechem i nieszczęściami. Powiadają, iż był w roku 1347 w Genui tuż przed atakiem Czarnej Śmierci, zawleczony tam przez żeglarzy z czarnomorskiej Kaffy, i

w 1454 w Konstantynopolu, kiedy bisurman Mehmet ostateczny szturm miasta przygotowywał. Widziano go także w emiracie Grenady na krótko przed ofensywą Ferdynanda i Izabelli, wieszczącego upadek emiratu i wielkie prześladowania Żydów. Powiadają także, iż spotkał tamże Kolumba i odradzał mu wyprawę za ocean, żeglarz jednak go nie posłuchał, a efekty znają wszyscy.

– Efekty są chyba dobre.

– Zwłaszcza dla Indian – sarknął Mistrz. – A o hiszpańskiej chorobie przywleczonej z Nowego Świata też zapewne słyszałeś?

– Słyszałem, ale nigdy na nią nie zapadł.

– Tedy idźmy dalej. W Paryżu pojawił się w 1572 roku, tuż przed nocą Świętego Bartłomieja, teraz znów wieści o nim dochodziły z czeskiej Pragi, no i właśnie stąd...

– Czy może to być prawda?

– To właśnie chcę ustalić. Choć wielu elementów tej sprawy nie rozumiem. Zadziwia mnie na przykład, czemu nikt nie widzi niekonsekwencji legendy. Dlaczego Tułacz, jeśli pragnie się ukrywać, przybiera zawsze postać Żyda, z racji swej odmienności szczególnie narażonego na prześladowania?

– Może szuka śmierci? – szepnąłem.

– I to kolejny nonsens w owej historii. Dlaczego Jezus Chrystus miałby zrobić go nieśmiertelnym i co trzydzieści trzy lata pozwolił mu odradzać się wciąż na nowo? Powiadają, że za karę, ale przecież jest to, wedle mnie, o wiele większa nagroda niż natychmiastowe pójście do nieba. Oddałbym wszystko, co mam, za takową pokutę. Mój Boże, żyć półtora tysiąca lat i obserwować, jak zmienia się oblicze tego świata, jakież to fascynujące... – Zamilkł na moment i potarł dłońmi twarz, jak człowiek, który właśnie zażył kąpieli. – Możliwe wnioski są dwa: albo odrzucimy całą opowieść jako bajdę zwykłą, albo odłączymy od niej Jezusa Chrystusa i wtedy Wieczny Tułacz okaże się osobą, która w jakiś sposób posiada tajemnicę nieśmiertelności. Jedyłą tajemnicę, która jest naprawdę interesująca dla człowieka.

– A pan, Mistrzu, chce go odszukać i skłonić, by ci ją wyjawiał?!!!

– Na początek chciałbym go zbadać.

– A jeśli chłopci z Valais właśnie przerwali jego długi żywot, wysyłając go w niebyt w formie dymu?

– Nie sądzę – odparł z głębokim przekonaniem. – Po tysiącu sześciuset latach konspiracji nie wpada się aż tak głupio. Ale wybacź, teraz śpijmy, bo rychło wyruszamy do Czech. Przeczucie mówi mi, że tym razem trop będzie właściwy.

Podobno nigdy nie sypia się lepiej niż za młodu. Il *dottore mocno* musiał naszarpać się mego ramienia, aby mnie obudzić, przy czym budząc mnie, zakrył mi usta dłonią, tak abym nie mógł zdradzić się okrzykiem.

.– Słyszysz? – zapytał.

– A co mam słyszeć?

– Wyteż słuch!

Próbowałem. Dobłą chwilę słyszałem jedynie łomot własnego serca. Potem doszedł do tego szum wiatru w kominie, krople bębniące w dach, a potem... Gdzieś spoza grubych murów doszedł mnie krzyk dziecka. Ciekawe. Hiacyntus nie chwalił się nam potomstwem. Może zachorował ktoś z potomstwa służby?

Tylko dlaczego stłumiony głos dochodził jakby spod ziemi...? Zsunąłem bosc stopy na kamienną podłogę, chcąc ruszyć ku drzwiom, ale Mistrz mnie powstrzymał.

– Dokąd to?

– Sprawdzić...

– Jeśli moje podejrzenia są trafne, narazilibyśmy się na zbytne ryzyko.

– Nie, nie, proszę nie... – Rozpaczliwy głosik dziecka przebijał się przez ściany i sklepienia. Ale tylko przez chwilę. Trzasnęły jakieś drzwi i wszystko umilkło. Nasłuchiwaaliśmy dobre pół godziny i wołanie się nie powtórzyło.

Rankiem, byłem podówczas za potrzebą, il *dottore* przewrócił się na dwóch schodkach wiodących do alkowy i zwichnął nogę.

Zastałem go wijącego się z bólu i wzywającego pomocy. Zaraz zjawił się Hiacyntus i jego słudzy, Mistrz jednak odrzucił ich pomoc, twierdząc, że ja nastawię mu kończynę, prosi jednak, aby mógł jeszcze dzień skorzystać z gościnności *il capitano*, bo nie jest w stanie dosięść konia.

– Choćby i tydzień! – zawołał tłuścioch. – Jestem szczęśliwy, mogąc was gościć. Tym bardziej że z okazji odpustu św. Hiacyntusa mają ściągnąć tu do mnie kuzyni i przyjaciele, a wasza obecność uczyni biesiadę jeszcze bardziej znamienitą.

Zająłem się nogą mego preceptora, już po chwili ze zdumieniem konstatując, że nie widzę ni opuchlizny, ni przemieszczeń...

– Nic mi nie jest – szepnął Mistrz, mrugając znacząco. – Potrzebowałem tylko pretekstu, aby ostać tu dłużej.

Później, gdy obandażowanego śludzy wynieśli do ogrodu i pozostawili nas samych w ustronnym zakątku, wyjaśnił, iż nie mógł wyjechać bez wyjaśnienia sprawy płaczącego dzieciaka.

– Intuicja mi podpowiada, iż może być to ów syn piekarzy, główny powód egzekucji w miasteczku, a teraz wielce niewygodny świadek udanej prowokacji.

– Czemuż zatem go więżą, zamiast zgładzić?

– Bo jest potrzebny – stwierdził *il dottore*. – Już na początku zmiarkowałem, iż pan Hiacyntus przejawia nadzwyczaj brzydkie skłonności.

– A ten dzieciak...

– Wiele wskazuje, że zaspokaja jego zwyrodniałe chucie.

Wstrząsnęło mną to odkrycie i zapytałem, czemu tedy nocą nie uwolniliśmy nieszczęsnego dzieciaka?

– Jeśli znasz sposób, jak samodwój z dzieciaczkiem mamy uciec grupie zbrojnych, w górach, w których my jesteśmy obcy, a oni znają je jak własną kieszeń, to czem prędzej go podaj!

– Czemu zatem zostaliśmy?

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Szukam takiego sposobu.

Mogło się wydawać, że tak jak wprzódy mój Mistrz usiłował iść z wiatrem w zawody, tak teraz popadł w stan prawdziwej morskiej ciszy. Wokół nas nie działo się nic, *il dottore* kurował swoją nogę i pał lekami Hiacyntusa, który jak każdy hipochondryk stosował się do zaleceń medyka z perfekcyjnym posłuszeństwem.

Jeśli obmyślał jakieś plany, nie uznał za stosowne mnie wtajemniczać. Mimo, że każdej nocy nasłuchiwałem pilnie, dzieciak z lochu więcej się nie odezwał. Ale musiał tam być – zauważyłem jednego z ciurów noszącego z kuchni do piwnic garnek ze strawą. Z pewnością nie warzono jadła dla szczurów.

Później okazało się, że Hiacyntus wycygał od mego Mistrza odrobinę ziół na bezsenność i zapewne pał nimi uwięzionego nieboraka, tak żeby nie krzyczał po nocy.

Przez czas onej wilegiatury czytałem trochę pism Platona i świętego Akwinaty. Innych zajęć nie miałem. W domu Hiacyntusa nie było żadnej młodej kobiety ani w ogóle kogoś w moim wieku, tępawych pachołków nie liczę, z kim mógłbym porozmawiać.

Goście zjawili się nagle, koło piątku, od razu kupą: dwie kolaski i szóstka konnych. Wszyscy domownicy rzucili się ich witać, a mnie serce zamarło, kiedy na wronym koniku z przodu poczty postrzegłem pana Petacci delia Revere, ożywionego i wielce pewnego siebie. Przez krótką chwilę miałem nadzieję, że nie rozpozna mnie w męskim stroju z włosom podciętym, niestety, z pierwszej kolaski wysiadło kilka kobiet, w tym jedna... O nieba!

Oczy Claretty, spostrzegłszy mnie, zapłonęły gniewem. Natychmiast podbiegła do pana Achille, on pochylił głowę ku niej, a dziewczyna zaczęła mu coś szeptać do ucha, wskazując w moim kierunku. Chciałem cofnąć się głębiej w podcienie, ale Revere spiął konia i dopadł mnie tak szybko, że łeb koński nieomal dotknął mej twarzy.

– Hola, łajdaku! – zawołał. – Nie ujdiesz mi tak łatwo! Oszukałeś mnie, a nadto podstępnie zhańbiłeś moją siostrę...

Płacz Claretty był najlepszym potwierdzeniem oskarżenia.

– Siostrę? – powtórzyłem bezmyślnie, przerażony jak mało kiedy, tem bardziej żem widział, jak Achille sięga po sztylet...

Zarówno wyraz twarzy pana Petacci, jak i jego konia nie zapowiadały niczego dobrego. Szczęściem wmieszał się il *dottore*.

– Wielce czcigodny panie, rozumiem twe oburzenie, ale zamiary mego kuzyna są jak najczystsze.

– Co takiego? – parsknął pan delia Revere. I koń razem z nim.

– Alfredo opowiadał mi o wielkim i czystym afekcie, jaki poczuł do twej pięknej i cnotliwej siostry (tu nawet koń się uśmiechnął), ale pragnął wpierw zajechać do swych rodziców żyjących w Sabaudii po błogosławieństwo, a także po prezent dla dostojnego pana.

– Dla mnie?

– Oczywiście. Jako że nie dorównuje wam stanem i znaczeniem... – (Wyznam, wręcz zatkał mnie ten wyszukany komplement wobec syna bękarta i oprawcy). – wiem, iż umyślił ofiarować ci za twą siostrę tyle złota, ile nadobna białogłowa waży.

– Oni kłamią – zawołała, podchodząc Claretta – a Alfredo jest żonaty.

– Był! – Il *dottore* ze smutkiem wznosił oczy ku niebu. – Jego połowica, zawsze słabego zdrowia, właśnie trzy tygodnie temu pomarła.

Mówi się, że kobieta, czując miętę do mężczyzny, łyknie każdą brednię, tak i z Claretty cały gniew nagle wyparował, zaś jej brat zwrócił się do Mistrza.

– A kiedy miałbym ów prezent zobaczyć?

– Niezwłocznie.

– Masz przy sobie tyle złota? – do rozmowy włączył się Hiacyntus. Z wyrazu jego gęby wynikało, że gdyby podejrzewał nas o posiadanie podobnego skarbu, nie przeżylibyśmy tu pierwszej nocy.

– Mogę mieć – powiedział Mistrz.

– Cóż za śmieszne wykrety!

– Mogę mieć, albowiem jestem także alchemikiem. I jeśli tylko wyrazicie zgodę, jeszcze dziś dokonam procesu transmutacji.

Na dziedzińcu uczyniło się cicho, że słyhać było bzyk wielkich końskich much atakujących spocone wierzchowce.

– Chętnie to obaczymy – powiedział Hiacyntus – wszelako, jeśli kłamiesz...

– Jeśli kłamięcie... – podwoił groźbę Achille, a rumak wsparł ją cichutkim rzeniem – sam św. Michał nie będzie w stanie was ocalić.

– Dajcie mi możliwość wykazania się, szanowni panowie, a obaczycie eksperyment, który widziało jedynie niewielu. – W głosie Mistrza brzmiała zadziwiająca pewność. – Potrzebować będę tylko dobrego paleniska, paru miechów kowalskich, alembiku do rozrobienia tynktury, także gliny do sporządzenia formy. Zazwyczaj wożę to wszystko ze sobą, ale powóz mój ostał w dolinach i nimby tu przybył, wiele czasu musielibyśmy zmitrężyć.

– Dostarczymy wam wszystkiego, co potrzebne. – Hiacyntus zatarł ręce. – Całe życie pragnąłem coś takiego zobaczyć.

Byłem obrotem sprawy mocno zadziwiony, dopotąd bowiem o współczesnych alchemikach, krom może jednego Paracelsusa i Polaka Sędziwoja, *il dottore* wyrażał się pogardliwie, twierdząc, że nikt w czasach nowożytnych tak naprawdę złota nie wyprodukował. A nawet sam wielki al Dżabar, który w VIII wieku wielu znamienitych wynalazków dokonał, przysięgał na łożu śmierci, że ze złotem mu się nie udało...

– A Zosinos z Panapolis? – zapytałem. – Czytałem, że dysponował kamieniem filozoficznym w spadku po dawnych Egipcjanach.

– Tego nie wiem, choć mniemam, że gdyby antyk potrafił przemieniać ołów w złoto, cesarstwo rzymskie trwałoby dopotąd.

A teraz w polowych warunkach on sam chciał dokonać tego, co niewykonalne?

Jako dziecko uwielbiałem biegać na placu na tyłach il Duomo, gdzie zwykli popisywać się iluzjoniści. Od kapitana Massimo wiedziałem, że w ich sztuczkach nie ma żadnych czarów ni magii, jedynie zręczność rąk oraz umiejętne odwracanie uwagi gapiów. Mimo tej wiedzy z ogromnym trudem przychodziło mi ustalanie momentu, kiedy dokonywali manipulacji – kiedy patrzyłem im na ręce, przestawałem zwracać uwagę na oczy, patrząc na oczy, traciłem z pola widzenia dłonie...

Il dottore nie chciał mi zdradzić swych planów. Może i słusznie, jeden niepewny ruch, demaskujące spojrzenie... Udzielił mi zawczasu tylko jednej rady:

– Czyń wszystko tak, jakbyś wierzył, że to, co oglądasz, dzieje się naprawdę.

Rada była niepojęta, eksperyment, nawet jeśli kryła się w nim jakaś sztuczka szarlatańska, przykuwał zmysły w tym stopniu, że nie było czasu, aby się rozpraszać. Mistrz, rozpalwszy palenisko, posadził mnie przy miechach, iżbym zasilał piec powietrzem, w którym, jego zdaniem, znajdował się element podniecający płomień. Zaraz gorąc uczynił się tak ogromny, że musiałem rozebrać się do koszuli, a pot spływał po mnie jak tłuszcz na prosiaku obracającym się na rożnie. Widziałem kątem oka, że Claretta obserwuje mnie cały czas uważnie, oblizując swe wąskie usta. Razem z resztą widzów zasiedli kręgiem kilkanaście łokci od pieca. Ciekawość walczyła z niedowierzaniem.

Kiedy ogień osiągnął prawdziwie piekielną temperaturę, *il dottore* wyciągnął dwa mieszki i wysypał na stół przed zgromadzonych trzy garści monet. Były to miedziaki w fatalnym stanie, brudne, pośniedziałe i połamane, których nie przyjąłby żaden szanujący się lichwiarz. Srebrna moneta (nie mówiąc o złotej) nie zaplątała się tam nawet przez pomyłkę. Mistrz wziął całe to mennicze pospólstwo na łopatkę, po czym wysypał do gara. Następnie, mamrocąc jakieś słowa tajemne, wyciągnął szklaną flaszkę i sypać począł czerwony proszek, który skwierczał w ogniu jak żywa istota rzucona na podlaną tłuszczem patelnię.

– To tynktura, w której istota transmutacji się zawiera – wyjaśnił zebranym. – Niektórzy zwiąż ją kamieniem filozoficznym. Dalej, Alfredo, pracuj miechami, pracuj...

Pracowałem tedy przekonany, że wszystko skończy się naszą sromotną kompromitacją. Wszelako nie minęło czasu wiele, a *il dottore* kazał mi przestać, a następnie uniósł ceramiczne koryto i łać się poczęła do formy złocista strużka, tak jakbyśmy stopili sam kawałek słońca.

– Złoto, złoto! – zawołał pan Petacci, a Hiacyntus podchwycił za nim.

– Polej wodą! – polecił Mistrz.

Poląłem i na moment wszystko znikło w kłębach pary. Potem *il dottore* szczypcami pochwycił sztabkę złota i na stół między widzów rzucił. Nie trzeba było być złotnikiem, by poznać szlachetny kruszec.

– Dalej, dalej... – dopingował *capitano*.

Na jego obleśnej mordzie malowała się bezbrzeżna chciwość, jaka nie przystawała człowiekowi z wysokiego rodu.

– Obawiam się, że to chwilowo niemożliwe.

– Damy ci monet, ile zechcesz! – zapewniali wszyscy, cisnąc się jeden przez drugiego, upojeni wizją nagłego bogactwa.

– Nie w monetach rzecz, a w tynkturze – odparł spokojnie Mistrz – miałem ze sobą tylko jej mały zapas umożliwiający tę prezentację... – Twarze stężały, a w oczach pojawił się gniew. – Ale jeśli zechcecie, pismo do mych sług napiszę i nie upłynie tydzień, a dowiozą mi tyle ingrediencji, ile dusza zapragnie. – Spokornieli. A Hiacyntus zawołał:

– Uczyń, jako mówisz, a dopóty twoje bagaże nie nadejdą, bądź nadal moim miłym gościem. – I tu roześmiał się tubalnie.

„Wpadliśmy z deszczu pod rynnę” – pomyślałem. *Capitano* nie umiał maskować prawdziwych uczuć. Po jego minie sądząc, nie mieliśmy już nigdy opuścić jego posiadłości.

Wyjaśnienie, jak doszło do transmutacji, której byłem świadkiem, okazało się prostsze, niż mogłem przypuszczać. Po powrocie do naszej komnaty *ildottore*, upewniwszy się, iż nikt nas nie podsłuchuje, wręczył mi jeden z owych miedziaków, który mu się ostał w trzosie. Od razu wydał mi się cięższy i bardziej miękki niż zwyczajny habsburski grosz, a gdy skrobnąłem monetę nożem, spod brudu i śniedzi wyjrzało szczere złoto.

– Na Boga, czyżby te miedziaki były... ze złota?

– A jakże inaczej po stopieniu stałyby się złotem? Zawsze wożę ze sobą zapas tak spreparowanych monet.

Niejeden raz pozwalało mi to uchodzić z większych opresji niż obecna.

– Wszelako nadal jesteśmy więźniami – powiedziałem. – I, co gorsza, teraz będą nas pilnować w dwójnasób.

– Spokojnie, Alfredo, zajmij się Clarettą, a resztę ostaw mnie.

Nie miałem najmniejszej ochoty na byłą mniszkę, mimo iż ta wybaczyła mi despekt i wodziła za mną oczyma jak pies za kawałkiem kiełbasy. By zająć się czymś pożytecznym,

malowałem konterfekty domowników, odliczając czas oddzielający nas od niezawodnej wsypy.

Il dottore napisał list i, nie opieczętowawszy nawet, pokazał go Hiacyntusowi, aby ten żadnych podejrzeń nie powziął. Było to tylko parę zdań, w których polecał Gogowi i Magogowi przywieźć jak najrychlej cały zapas podwójnej tynktury. Posłaniec miał zawieźć pismo do Montreux, a następnie służyć naszym ludziom za przewodnika.

Nie miałem pojęcia, na czym polega sedno całego fortelu, bo jako rzekłem, w magiczny proszek nie wierzyłem, ale przekonany byłem, że mój pryncypał doskonale wie, co robi.

Zresztą, nic nie wydawało się mącić spokoju Mistrza, który wylegiwał się do południa, a wieczorami z ożywieniem uczestniczył w biesiadach, prowadząc rozmowy na najrozmaitsze tematy. A bazarzem był przednim i umiał tak gadać, że inni przy stole milkli i z rozdziawionymi gębami wysłuchiwali jego opowieści. Tematy poruszał różne... Na ten przykład o strukturze piekła, tu przytaczał opowieść pewnego człeka, którego ponoć poznał osobiście, a który za przykładem Empedokla wlaźł do krateru Etny w trakcie erupcji, przebywał tam dni kilka, twierdząc, że doszedł aż do piekieł i widział zarówno diabłów przy pracy, jak i obserwował męki potępionych, a ślad po ugryzieniu przez trójgłowego Cerbera miał na pośladku do późnej starości. Innym razem wdał się w dywagacje na temat prorocत्व zawartych w objawieniu Świętego Jana, zwanych Apokalipsą, i zestawiał je z nowszymi prorocत्वami Nostradamusa, z których wiele, jak klęska niezwyciężonej Armady czy rzeź hugenotów w noc św. Bartłomieja, już się potwierdziły, a inne, jak wojna europejska, mająca trwać trzy dziesiątki lat, czy ścięcie brytyjskiego króla katowskim toporem, miały nastąpić, nim pół wieku przeminie.

Na trzeciej z biesiad z nagłą wypłynęła kwestia chorób, a zwłaszcza wielkich epidemii okresowo pustoszących świat. Nie wiem, kto pierwszy podjął ten temat, ale wyznam, że trochę odbierało mi apetyt, gdy *il dottore* z ogromną swadą opowiadać począł o francy przywleczonej przez marynarzy Kolumba, a srożącej się w swej najstraszniejszej postaci przez pół XVI wieku, o postrachu krzyżowców – trądzie, leprą nazywanym, o szkaradnej febrze nachodzącej powracających z tropików i najstraszniejszej ze wszystkich chorób – dżumie, której sama nazwa wymawiana półgłosem budziła bojaźń niepomierną, bo gdy gdzieś już wybuchła, szła na podobieństwo zajadłego żniwiarza, kosząc wszystkich bez różnicy, biednych i możnych, podłych i poczciwych.

Ktoś mówił, że zeszłej jesieni pojawiła się w ottomańskich Multanach, ktoś inny, że na Sardynii, a *capitano* twierdził, że z powodu złego powietrza objęto kwarantanną Oran, Algier, także hiszpańską Ceutę i Melillę...

– Powiadają, że wprzódki szczury zdychać poczynają – wtrącił się ksiądz rodem ze Szwabii, noszący mało poetyczne imię Horst.

– To prawda. Tak było w strasznym roku 1346 – zgodził się *il dottore* i z właściwą sobie erudycją przypomniał wielką zarazę, która srożyła się u początków wojny peloponeskiej, zabierając tak sławnego męża jak Perykles, i tę, co spustoszyła Bizancjum doby Justyniana... Po czym zmienił temat i opowiadać począł o zwierzątkach wielkości szczura, które w Indiach był widział, zdolnych walczyć i zwyciężać z największym nawet wężem.

Tu zaprotestowała Claretta, twierdząc, że porą przedwieczorną nie chce słuchać o wężach i szczurach, bo potem boi się spać w łożu sama.

Zapewne temat rozmowy poszedłby w zapomnienie, gdyby nie rękodajny Baccio, który rankiem następnego dnia znalazł w piwnicy zdechłego szczura; do południa odnaleziono dwa kolejne, a do wieczora siedem.

O świtaniu *il dottore* zbudził mnie i począł prosić o wodę. W pierwszej chwili nie poznałem go. Twarz miał czerwoną, napuchłą, tu i ówdzie widoczne były na jego ciele guzy wielkości orzechów włoskich...

– Nie dotykaj mnie! – przestrzegł.

Pobiegłem do pana Hiacyntusa, w największym zaufaniu mówiąc mu, co się dzieje. Pobladł okrutnie i zaczął krzyczeć, abym z własnego pokoju nie wychodził, a do niego się nie zbliżał. Krzyki jego były tak straszne, że pobudziły wszelkich domowników i gości, którzy jeszcze w nocnej bieliźnie zbierać się na wewnętrznym patio poczęli.

Próżno uspokajałem, mówiąc, iż owszem, *il dottore* zachorzał, ale przy jego medycznej eksperjencji z pewnością sam się uleczy. Słuchano mnie z rosnącym zaniepokojeniem, kiedy drzwi od sypialni otworzyły się i mój jęczący boleśnie Mistrz wyszedł na galeryjkę, w promieniach rannego słońca skąpaną, tak że wszyscy ujrzeni go w całej przerażającej mizerii.

Usiłował coś powiedzieć, ale krwawa piana z gęby mu jeno szła, ściekając na podłogę.

– Księdza! – wychrypiał.

Ale wielebny Horst ducha bojowego misjonarza w sobie nie miał. Bo rozłożywszy szeroko ramiona, krzyknął jeno:

– Ludzie, ratujcie się, albowiem gniew Boży wisi nad nami!

Panikę, która się uczyniła, porównać można li tylko z zawaleniem się mostu Rialto, o którym już pisałem, tyle że choćby rysownik miał rękę szybkością błyskawicy dorównującą, nie zdołałby niczego naszkicować. W trzy pacierze nie było już we dworze nikogo krom nas, jednego na wpół ślepego psa i paru kur, które w niewdzięczności swej zamiast posłużyć za wikt podróżny, między grządkami pouciekały.

Pan Petacci ostawił nawet sztabkę złota pod łóżkiem obok urnału, a Hiacyntus kolekcję sreber i złotych pierścieni, których *il dottore* zakazał brać, albowiem, jak mawiał, „złodziejstwo nie tuczy”. Gąbka i ciepła woda szybko zmyły z jego twarzy kunsztowną charakteryzację.

– Znajdź dzieciaka – zaordynował. – Chyba nikt nie pomyślał, aby go zabrać.

Znalazłem go w lochu najgłębszym, w całkiem przytulną komnatę zamienioną, z kobiercami na kamieniach i tkaninami na ścianach. Były tam także świeczniki wielkie jak w *theatrum* i łoże okrągłe, zapewne wyuzdanym rozrywkom służące. Sylvio spał w jego nogach zwinięty w kłębek jak pędrak. Z powiązаныmi rączkami i stopami, w giezełku białym.

Jeśli miałbym kiedykolwiek malować małego Cheruba, to próżno by szukać lepszego modelu. Buźkę miał krągłą, dobrze odżywioną, a ślady łez niewidoczne. Dopiero gdy zaczął go przyodziewać, ujrzałem, iż jego ciało jest niemiłosiernie skatowane, nosi ślady okrutnych katuszy, przypalań, chłost liczyh, ze szczególnie uszkodzonym otworem wiodącym do wnętrza ciała.

Zgroza jęła mnie straszna, tak że gdybym dorwał pana Hiacyntusa, to rozerwałbym go koźmi, wbił na pał, soląc przy tem i pojąc kwasem oraz wzywając na pomoc wszystkich szatanów ziemi i podziemi.

Dzieciak spał mocno. I nie obudził się nawet po wyniesieniu go z piwnic na światło dzienne.

Il dottore gotów do wymarszu. Zdrowszy niż kiedykolwiek, z twarzą jasną, nogą skoczną i uśmiechem szyderyczym przywodzącym na myśl uczniaka, który wywiódł w pole swego preceptora.

Wstąpiliśmy na ścieżkę wspinającą się stromo w górę. I w pierwszej chwili pomyślałem, iż Mistrz mój rozum postradał, ale on wskazał jedynie siodlastą przełęcz pomiędzy górami i rzekł:

– Tam nas czekać będą.

Pojąłem, że mówił o Gogu i Magogu – swych ekstraordynaryjnych sługach.

Siłam czasu jako młodziak spędził w Montana Rosa, wspinając się po okolicznych wzgórzach i dokazując wśród stromych skałek, tak że chodzenie po górach nie było dla mnie pierwszozną. Jednak droga, którą obraliśmy, zwłaszcza z niesionym na plecach cherubinkiem, skalą trudności przekraczała wszystko, czego doświadczył do tej pory. Nim minęliśmy położony na skraju posiadłości domek owczarzy z białego łupka uczyniony, byłem nielicho zziązany, a kiedy wspięliśmy się na odkryte zbocze ponad winnicą, poty były ze mnie takie, jakbym właśnie z kąpieli wyszedł.

– Nie dam rady, Mistrzu! – jęknąłem.

Il dottore tylko oczy przymrużył i, osłoniwszy je przed słońcem, w dolinę za nami popatrzył.

– Jakiś kurz na drodze widzę, może pomiarkowali, że w pole ich wyprowadziłem, i zawrócili.

Zapewne kłamał. Ale taka mnie energia porwała, że przez kolejny kwadrans targałem swe brzemię bez słowa. Szczęściem las nas ogarnął ze swym zielonym chłodem, a ścieżka stała się ledwie postrzegalna, tak że powątpiewać zacząłem, czy to jeszcze ludzki dukt, czy może jedynie szlak dzikiej zwierzyny ku wodopojowi podążającej.

– Jest Mistrz pewien, że dobrze idziemy? – zapytałem trwożnie.

– I owszem – odparł. – Od niepamiętnych czasów pielgrzymi z południowego zachodu podążają tędy ku opactwu Sankt Gallen.

Tymczasem z prawej strony jezioro otworzyło się przed nami połyskliwe, a z lewej począł dobiegać huk dziwny a miarowy, jak się okazało łoskot wody spadającej urwistą kaskadą. Złożyłem na trawie Sylvia, a sam podskoczyłem pod ową lodowatą strugę, gasząc pragnienie i zażywając ochłody.

Il dottore, świetnie na tę ekspedycję przygotowany, dobył i sakwy pełną suchej kiełbasy i kilka jajec na twardo ugotowanych. Dłuższą chwilę pożywialiśmy się w milczeniu.

– Jesteście pewni, że ścigać nas zaczną?

– Nie od razu. Teraz strach wielki głuszy w nich wszelką racjonalną myśl, ale za parę dni powrócą niestety do rozumu. Tyle że my będziemy już wtedy daleko. – I dodał jeszcze jedno zdanie, które – jak wiele jego maksym – na zawsze zapadło w mej głowie: – Pamiętaj synu: w każdej sytuacji zimna krew jest lepsza niż poddanie się emocjom i instynktowi tłuszczy.

Wiele razy w mem życiu maksyma ta ratowała mi życie...

W tym momencie Sylvio, snadź czuły na pyłki kwietne, kichnął i się obudził.

Ponieważ nie był kształcon przez *il dottore*, poczuwszy brak więzów, bezzwłocznie na równe nogi się poderwał i byłby umknął jak królik w zarośla, ale Mistrz, niczym pies, co kłapięciem zębów muchę unicestwia, ucapił go za kostkę i powstrzymał.

– Nie bijcie! – krzyknął malec.

– Nikt cię bić nie będzie – powiedział *il dottore* nadzwyczaj łagodnie, ale jego paskudne oblicze nie wzbudziło zaufania w cherubinku.

– A co mi robić będziesz?

– Nic – padła odpowiedź. – Kiedy tylko będę miał sposobność, rodzicom cię odeślę.

Już myślałem, że z wdzięczności do nóg mu przypadnie i pod kolana obejmie, ale pomarkotniał.

– Wolałbym nie.

Zadziwiły mnie te słowa i zacząłem zastanawiać się, czy przypadkiem rola występnej zabawki nie była chłopczkowi miłsza nad żywot w domu rodzinnym, alem nie miał czasu na deliberacje, bo ów, pobudzony zapachem jadła, zapytał:

– Zali mógłbym się i ja pożywić?

– Bierz i jedz – powiedział Mistrz.

Głodny być musiał, bo spałaszował całe pęto kielbasy i już po wino sięgał, ale kazałem mu się wodą ukontentować.

– Na picie trunków czas jeszcze mieć będziesz.

Patrząc na niego, zauważałem przedziwne połączenie dzieciństwa (mógł mieć bowiem dziesięć albo jedenaście lat) i dorosłości, jaką nadzwyczaj szybko osiągają miastowi przekupnie czy złodziejscy uczniowie, którzy różne smaki życia poznają tyle przedwcześnie, co na sposób uproszczony.

– A co z nimi? – W pewnym momencie malec przestał jeść, a wskazał w dolinę. – Ścigać nas nie będą?

– Nie sędzę – odparłem. – Myślą, że zaraza nas dopadła.

– Ale nie dopadła?

– Przecie widzisz.

Dalsza droga z Sylvio drepcącym u mego boku szła nam o wiele raźniej, za jeziorem ścieżka poszła ku chmurom, wśród turni i koło lodowcowego jeziora, ale przed wieczorem osiągnęliśmy przełęcz i wreszcie poczęliśmy schodzić w dolinę.

Na nocleg zalegliśmy w smrodliwym, ale przytulnym szałasie pasterskim, cabaną zwanym. O świcie zaś zeszlśmy w doliny, gdzie czekała nas podwoda – wygodna kolasa, a w niej Gog i Magog. Chwała Najwyższemu. Mogliśmy tedy podążyć prostą drogą ku gwarным miastom niemieckim, gdzie nikt nas nie pytał, z czym i po co przybywamy.

Ale nawet wtedy nie dowiedziałem się, co jest celem podróży i wcale nie jestem pewien, czy il *dottore* to wiedział, albowiem zdawał się bardziej ścigać mirażę, niż podejmować jakieś konkretne przedsięwzięcia. Po zejściu z gór dotarliśmy po tygodniu drogi do rozpostartej nad brzegami Renu Bazylei, skąd, nie śpiesząc się zbytnio, pośpieszyliśmy ku Paryżowi, ostawiając po drodze w pewnym niedużym klasztorze Sylvia (bardzo się przed tym bronił) i mniemając, iż wszelkie niebezpieczne termina pozostawiamy daleko za sobą. Przynajmniej jam tak sądził, uważając złudnie, iż takie kreatury jak Hiacyntus, Claretta i jej brat nie

powrócą do nas więcej, chyba jako postacie ze złego snu, nie tyle straszne, ile groteskowe niby kukły z teatrzyku marionetek. Do pradawnej Lutecji dotarliśmy, nie przystając nigdzie dłużej, tak jakby zamki i miasta z przesławnym Dijon na czele nie stanowiły obiektu godnego zainteresowania.

Choć gdym już stanął nad brzegiem Sekwany i ujrzał paryską Notre Dame, chwilę później Luwr i ponurą Bastylię, uznałem, iż może rzeczywiście nie warto było zatrzymywać się po drodze.

Część II

Labirynthos

Lat parę, które zbiegło mi w Paryżu, wspominać mogę jak jeden szybki, barwny sen, nagłym krzykiem przerwany. Powiadają ludzie, że czas około dwudziestki jest dla mężczyzny najpiękniejszym okresem życia, i mają zapewne rację. Dni bywają wówczas długie, a noce krótkie, acz esencjonalne. Zwłaszcza gdy dodatkowo jest się pięknym i bogatym. Ani o jedno, ani o drugie nie mogłem mieć do Opatrzności pretensji.

Co prawda Paryż tamtej doby był miastem dopiero podnoszącym się z bratobójczych wojen, w którym katolik rzezał hugenota lub na odwrót, a wzajemne palenie się na stosach stanowiło główną formę dyskursu publicznego.

Błogosławiony czas pokoju i rządu Henryka z Nawarry, a zwłaszcza jego ministra Maximiliena Sully de Béthune, który pozwalał kwitnąć interesom, naukom wszelakim, a także miłostkom, o które w wielkim mieście łatwiej niż gdzie indziej!

Smakowałem tedy wszelkich dań życia, nie przejmując się, iż mogę złapać od owego ucztowania jakąś niestrawność albo inszą wstydliwą chorobę. Kontynuowałem lekcję rysunku u kilku mistrzów, chadzałem na co ciekawsze wykłady na Sorbonę, a gdy nadarzyła

się okazja, polowałem na młode służące spragnione uczuć i obłapywać, albowiem do płatnej miłości nigdy większej predylekcji nie miał.

Co prawda – jak mawiał Mistrz – „każda miłość jest płatna, jeno płacenie odbywa się w mniej lub bardziej wykwintnej formie”. Nie wiem, czy był to wynik jego przemyśleń, czy też eksperyencji, o której nic zgoła nie wiedziałem, jako że przy powierzchowności il *dottore* trudno wyobrazić sobie jakąś dziewczkę, która z afektu straciłaby dla niego głowę, chyba że po pijanemu w piwnicy w ciemną, bezksiężycową noc.

Zresztą, w onych latach kobiety nie interesowały go zupełnie, albowiem doświadczenia alchemiczne i spotkania z podobnymi mu dziwakami pochłaniały go bez reszty.

Czasem wyrzucam sobie, iż tak mało czasu z nim spędzałem, że mógłbym się dowiedzieć od niego znacznie więcej. Inna sprawa – do prawdziwych tajemnic zaczął dopuszczać mnie późno, ledwie uchylając drzwi do komnat pełnych skarbów jak ów sezam z Orientu, o którym opowiadał mi, gdy był dzieckiem, kapitan Massimo.

Ale, jak mówiłem, byłem młody, a świat otaczający w swym olśniewającym bogactwie taki ciekawy, że trudno było się oprzeć jego urokom.

Agnes poznałem w kościele, bo gdzie indziej może zawierać znajomości człowiek znikąd, nieśmiały Italczyk bez znajomości, którego do pałaców wpuszczać mogą jedynie jako tragarza mebli czy posłańca z listem, a i on – czas nie dają mu wejść dalej niż do kuchni.

Zobaczyłem ją, jak wychodzi ze świątyni w towarzystwie swego męża – pokurcza o twarzy starej, stoczonej rozpustą małpy przywiezionej z Indii, na oko jeszcze przez pana Vasco da Gamę, wiek temu.

To znaczy męża zrazu nie dostrzegłem, albowiem cały świat wypełniły mi oczy fijołkowe, rozbłyskające poniżej czepka, spod którego wymykały się niesforne pukle jej włosów, osobliwie złociste i gęste.

Posłała mi spojrzenie zgoła nieprzypadkowe. Ciekawe, bez wzgardy, za pomocą której zazwyczaj dobrze urodzeni wyznaczają ludziom z gminu właściwe im miejsce. Trwało to ledwie mgnienie, bo zaraz szybko ukryła twarz za wachlarzem. Ale wystarczyło. Takie spojrzenia warte są złota całego świata, idą bowiem do głowy jak młode rosettyńskie wino, a ci, których porazi ów nadzwyczajny błysk, nie zapominają go nigdy i zapewne wspominają nawet na łożu śmierci, wyczekując na zimne oblicze Thanatosa. To tłumaczy, dlaczego dopiero po chwili ujrzałem u jej boku małżonka, przy niej wydającego się karłem, wszelako unoszącego się ponad ziemią na obłoczku pychy i pewności siebie, jakie dają urodzenie, fortuna i młoda żona.

Wszystko to trwało krócej niż jedna zdrowaśka. Kolaska, do której wsiedli, znikła, a tłum zamknął się za nią jak wody Morza Czerwonego po przejściu Mojżesza i udaremnił mi gonitwę. Tydzień trwało, aż udało mi się ustalić, kto zacz.

Sporządziłem w tym celu kilka portrecików owego męża małpiszona i rozpytując ostrożnie, dowiedziałem się, iż jest to diuk Vendôme, daleki Najjaśniejszego Pana kuzyn, od czasu wojen religijnych w niełasce u samego monarchy, aliści nadal możny i wpływowy, choćby przez koneksje z arcybiskupem Paryża. Liczył sobie podówczas sześćdziesiąt sześć lat, co już samo w sobie stanowiło diabelską liczbę, ale występne życie sprawiło, iż wyglądał dużo starzej. Dwie żony go odumarły, nie dając dziedzica, tedy przywiózł sobie nową połowicę z Brabantu czy też Niderlandów, ponoć sierotę, której prawni opiekunowie nie mieli najmniejszych obiekcji, oddając ją w łapy obleśnego starca.

Okrutnie zakochany, jak przydarza się to jedynie niedorostkom, szwendałem się podle jej pałacu, licząc, iż może choć raz wyjrzy z okna, czatowałem też w kościele, ale nie była aż tak pobożna, aby co dnia udawać się na nabożeństwo.

Imaginacja podsuwała mi straszliwe obrazy owego małpiego monstrum całkiem legalnie pastwiącego się nad posągowym ciałem Agnieszki. W gniewie wyobrażałem sobie, że dokonuję zbrodni i uwalniam ją niczym królową z łap smoka, lekceważąc perspektywę własnej kaźni na placu de Greve...

Miłość absorbowwała mnie do tego stopnia, że nie zauważyłem pewnej odmiany w zachowaniu mego dobrodzieja.

Il dottore rzadko uzewnętrzniał emocje. Tym razem jednak czekał na kogoś pilnie, niespokojny i podniecony nie mniej niż ja, pragnący w kościelnej kruchcie choćby otrzeć się o Agnieszkę de Vendôme. Oczekiwany gość zapewne musiał być z Hiszpanii, zauważyłem bowiem, iż mój pryncypał od tygodnia czyta wyłącznie w onym języku. Jednym z dwunastu czy trzynastu, którymi władał.

Nie pytałem, o co chodzi, wiedząc, że primo: *il dottore* takich pytań nie lubi, secundo: nigdy na nie nie odpowiada. Tymczasem któregoś dnia sam zawezwał mnie do swej komnaty i pokazał szerniałe zwoje papirusu usiane znakami pogańskimi, wśród których były dziwne wyobrażenia ptaków i zwierząt, a także mnóstwo kresek, kólek, od których mnogości tylko mętlik w głowie się czynił.

– Zali wiesz, co to jest, Alfredo? – zapytał.

– Mniemam, iż hieroglify egipskie – odparłem.

– Bene – pochwalił mnie. I zapytał, czy domyślam się, co może zawierać spisany niemi tekst?

Roześmiałem się tylko i odparłem, że nie wie tego nikt, albowiem ci, którzy znali taki język, jak i czynione w nim znaki, pomarli setki, a nawet tysiące lat temu.

– Wszelako jeśli człowiek to napisał, człowiek powinien rozczytać – rzekł.

– Tylko musiałby wiedzieć, jak się do tego zabrać.

Mistrz jeno głową pokiwał. Nie wiem, czy zauważył stan mych uczuć i niewielkie zainteresowanie czymkolwiek innym, wszakoż żadnej na ten temat uwagi nie zrobił.

Aby dostać się do pałacu Vendôme, wybrałem najprostszy i najstarszy patent – uwiodłem kucharkę. A nawet gorzej. Podkuchenną. Zwała się Margot, jak obecna królowa Francji, o której powiadają, iż miała więcej kochanków, niż mieści się diabłów na czubku szpilki. Jeszcze wiek temu zabraniano zwykłym śmiertelnikom przybierać imiona władców, wszakże te czasy już minęły, podobnie jak domy Walezjuszy, Tudorów czy Jagiellonów. Pokojówka mogła zwać się Katarzyną, karczmarka Marią, a pies ślepego żebraka – Filipem. Margot przypominała dobrze wyrosnięty placek: była czysta, apetyczna i pachnąca wanilią. Uwiodłem ją cynicznie, poznawszy na targu, dokąd udawała się trzy razy w tygodniu celem nabycia wiktuałów. Mój francuski nie był jeszcze najlepszy, ale dziewczę pochodziło z Sabaudii, której mowa niewiele różni się od dialektów w północnej Italii używanych, więc nie mieliśmy trudności językowych. Ani innych.

Zauważyłem, że wobec kobiet, na których mi nie zależy, żadnego wstydu nie odczuwam, przeciwnie, potrafię gadać jak najęty, sypać komplementami, a gdy do większej bliskości dojdzie, brać się do rzeczy bez zbytecznych ceregieli. Margot trzy razy pozwoliła się do domu odprowadzić, nim wpuściła mnie do alkowy, w której sypiała. Łóżeczko miała tam grzeczne i czyste, a w onych czasach nie było to wcale częste, natomiast, co ujawniło się po zerwaniu szatek, jego użytkowniczką, jak na moje wymagania, okazała się nazbyt pulchna.

Jednakowoż „darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, a wołowi w zad”.

Okoliczności sprzyjały moim zamierzeniom. Od dziewczyny dowiedziałem się, iż jakoweś interesy wezwały pana de Vendôme do swych dóbr. Trudno o korzystniejszy zbieg okoliczności. Na kolejne spotkanie z miłą podkuchenną udałem się zaopatrzony w pewien ziołowy specyfik, sporządzony wedle receptury *ildottore*. Dodany do wina sprowadzał sen głęboki, lecz zdrowy.

Ledwo usnęła, ruszyłem klatką kuchenną ku salonom, dom był obszerny, mroczny, ale z małego saloniku dochodziło migotliwe światło. Ktoś pozostawił także ogień na kominku.

Jednak wściubiwszy głowę przez uchylone drzwi, zorientowałem się, iż jest pusto. Wypalona świeca i odłożona książka wskazywały, że ktoś czytał do późna, a następnie znużony udał się na spoczynek.

Nagle uczulem bolesne ukłucie i pojąłem, iż przystawiono mi do szyi ostrze sztyletu.

– Złodziej? – zapytała pani de Vendôme, ale w jej głosie nie wyczułem ani lęku, ani złości.

– A uwierzy mi pani, jeśli powiem, że nie? – odparłem.

Nacisk klingi zelżał na tyle, bym mógł odwrócić głowę. Agnes w jedwabnym negligżu, na który narzuciła jedynie płaszczyk domowy, nadal trzymała kordiał w ręku, ale jej oczy nie wyrażały strachu, a wyłącznie ciekawość.

– Ach, to pan – powiedziała tonem, jakim zwykło się witać ludzi doskonale znanych od lat. Odłożyła broń i wskazała miejsce na szezlongu podłe ognia. – Niech pan spocznie. – Bez namysłu nalala mi wina, nie zapominając też o sobie. – Ciekawa byłam, kiedy pan mnie wreszcie odnajdzie?

– Nie może być! Wiedziała pani, iż ją szukam?

– Paryż nie jest aż tak wielkim miastem, jak się prowincjuszom wydaje. Pan zaś okazał wielką nieostrożność, rozpytując o mnie i rozdając na prawo i lewo konterfekty diuka de Vendôme. Wyznam, nieźle utrafił, jeśli idzie o urodę i charakter.

Zaśmiała się i rzuciła na stolik jeden z mych rysunków z mężem pawianem. Oczywiście, patrzyłem jedynie na nią i wyznam, że wśród odblasków płomienia w kominku, to jaśniejszych, to przygasających, przypominała niezmierną zjawę. Na dobitkę rozchylony płaszczyk i peniuar odsłaniały więcej, niż zasłaniały, przyprawiając mnie o prawdziwy zawrót głowy.

– Ja tylko... pozwoliłem sobie... – zacząłem bąkać zasromany.

– Ależ proszę się nie tłumaczyć, gdyż sytuacja jest jasna. Pan prowadził swoje śledztwo, ja swoje. Dlatego wiem, że mam do czynienia z młodym asystentem słynnego *il dottore*, utalentowanym malarzem o imieniu Alfredo.

– To prawda.

– Pójdźmy zatem dalej i ustalmy, co nas kieruje ku sobie? Choć wydaje mi się, iż nie bardzo jest co ustalać, bo wiedzieliśmy już wszystko, spotykając się na stopniach kościoła. Pan potrzebuje kochanki, a ja kochanka. Trudno o bardziej przejrzystą sytuację. A w dodatku, wedle mej Margosi, pańska sprawność dorównuje dowcipowi.

Kwatera *il dottore* znajdowała się podówczas na Wyspie Świętego Ludwika, przez średniowiecze służącej wypasowi bydła, teraz gęsto zabudowanej, i mieściła się w wąskiej kamienicy, ściśniętej jak podpłomyk pomiędzy dwoma jeszcze nowszymi domami. Niebo dopiero różowiało, kiedym powracał, pijany miłością, czując ciągle jej smak i jej zapach. Ostałbym chętniej dłużej, ale Agnes uznała, iż przyzwoitość nakazuje, iżbym oddalił się przed świtaniem. Rozumiałem jej racje, a poza tym wolałem nie czekać, by zobaczyć, co będzie, kiedy się Margot obudzi i zorientuje, jakie to igraszki wyczyniałem z jej panią...

Już sam fakt, że drzwi do domu zastałem niezamknięte, wzbudził mój niepokój. Jednak gdy postąpił krok dalej, prawdziwa groza uniosła mi włosy dęba. Poznałem, że odwiedziła nas śmierć, to znaczy najpierw poczułem jej odór, ową mieszaninę zapachu krwi, uryny i fekaliiów zmieszaną z odrobiną strzelniczego prochu. Zapaliłem żagwie podłe bramy i oczom moim ukazał się stos trupów zalegających schody. Sześciu czy siedmiu mężów ubranych dość podle tworzyło tam prawdziwy kurhan śmierci. Pomarli niedawno, ciała bowiem jeszcze na dobre nie ostygły. Roztrzając je, dotarłem do leżącego na spodzie Magoga. Olbrzym, lubo pokłuty licznymi sztychami, żył jeszcze, a pozbawiony brzemienia trupów, westchnął głęboko i – poznavszy mnie – zawołał:

– Ratuj Mistrza!

Pobiegłem po schodach do komnaty *il dottore*. Zastałem tam Goga uzbrojonego jak na nową wojnę stuletnią. Mój preceptor, okrutnie blady, pólleżał na ławie wyściełanej skórą, a zakrwawiony bandaż owijający mu ramię wskazywał, iż i jego dosięgło ostrze napastnika.

– Dachem wszedł – powiedział na mój widok głosem słabym, ale precyzyjnym, wskazując pokręcone ciało leżące w kącie. – Atak w sieni miał jedynie odwrócić naszą uwagę. Zaatakował mnie, kiedy Gog pobiegł wesprzeć Magoga. Szczęściem nie zapomniałem umiejętności rzucania nożem, a i tak zdołał drasnąć mnie w ramię...

– No to chwała Bogu, że nie poważniej – rzekłem, kierując się ku zwłokom. Napastnik, chudy i żyłasty jak stary kogut, musiał liczyć sobie około czterdziestu wiosen i z wyglądu przypominał Maura bądź Turka ogorzałego od słońca Południa. O jego urodzie trudno wszelako się wypowiadać, bo nikt z wybałuszonymi oczami i wyszczerzonymi zębami oraz nożem wbitym w szyję apetycznie nie wygląda.

Il dottore spokojnie odczekał, aż dokonam oględzin, po czym dodał, iż nieważne jest, gdzie został draśnięty, albowiem jest bardziej niż pewien, że ostrze zabójcy zostało zatrute.

Nogi ugięły się pode mną, ale *il dottore* coraz bardziej bełkotliwie jął mnie przekonywać, iż jeśli nie użyto jakiejś trucizny z Ameryki Południowej, to winien przeżyć,

albowiem wzorem Mitrydatesa z Pontu, od wielu lat zwykł przyjmować drobne dawki rozmaitych trucizn celem uodpornienia organizmu.

– W dodatku pozwoliłem ranie się wykrwawić, a Gog zawiązał mi opaskę na ramieniu celem powstrzymania zakażenia reszty ciała. Ergo: liczymy, iż wszystko będzie dobrze – zakończył. I były to ostatnie artykułowane słowa, jakie usłyszałem od niego tej nocy oraz dnia następnego.

Przez kolejne 48 godzin działy się z nim rzeczy straszne: to popadał w zimnicę, osobiście mocną, i trzęsło go pomimo licznych piernatów, pierzyn i butelek z gorącą wodą, to znów buchał gorączką niczym piec kowalski, a my z Gogiem usiłowaliśmy chłodzić go kompresami, to wreszcie poty ogarniały go tak intensywne, że zmienianą garderobę można było wyzymać niczym przyrodziewek wyłowionego z rzeki topielca.

Czy miał świadomość tego, co się z nim dzieje? Wątpię. Większość czasu spał lub bredził w malignie, wypowiadając słowa w nieznanym języku, których sensu za nic pojąć nie mogłem.

W dodatku przez cały ten czas dom wypełniały tłumy ludzi – straż miejska, gwardziści królewscy, a i osobiście pan Sully ze świtą – zdecydowani za wszelką cenę wyjaśnić, kto i z jakiego powodu zamierzał zabić wybitnego naukowca. Łapersdaków, których poszlachtowali Gog z Magogiem, zidentyfikowano jako pospolitych rzezimieszków z rynsztoków Paryża, gotowych za błysk srebra na każdą niegodziwość. Gorzej było z właścicielem zatrutego sztyletu z tolekańskiej stali. Z pewnością był cudzoziemcem, Hiszpanem lub Włochem. Ustalono, iż stanął trzy dni wcześniej w oberży pod Złotym Kurem, a potem krążył po okolicznych spelunkach, wynajmując ludzi do brudnej roboty. Mówił po francusku z obcym akcentem, nikomu się nie przedstawiał, a przeszukanie jego skromnego dobytku pozostawionego w gospodzie nie przyniosło odpowiedzi na pytanie, kim był i kto go nasłał.

Przesłuchano i mnie, pytając, czy mam wrogów – przez głowę przemknęło mi paskudne lico pana de Vendôme, a także rodzeństwo Petacci (tyrania w Rosettinie już upadła), ale wersja, że zamach na Mistrza był jakąś formą odwetu za moje przewiny, wydała mi się tak nieprawdopodobna, że natychmiast zaprzeczyłem.

Trzeciego dnia gorączka opadła, a il *dottore* wrócił do świata żywych. Pozostał mu wprawdzie lekki bezwład lewej połowy ciała i wykrzywienie ust, ale umysł miał znowu precyzyjny, a mowę zrozumiałą.

– Na początek, Alfredo, muszę prosić cię o wybaczenie – powiedział, kiedym siadł u jego łoża. – Okłamałem cię. – Z wyrazu mojej twarzy musiał pojąć, że nie wiem, o czym mówi, toteż próbował się uśmiechnąć, ale z ust poleciała mu tylko strużka śliny. –

Okłamywałem cię od początku. Tworzyłem klimat pościgu, wmawiałem ci, mówiąc o listach gończych z Rosettiny. Sprowokowałem sprawę z panem Petacci i jego rzekomą siostrą...

– Jakże to?

– Achilla znałem już wcześniej i świadczyliśmy sobie rozmaite usługi... A jego siostra? Mimo młodego wieku miała dość burzliwe przygody, w wyniku których zamknięto ją w klasztorze, toteż bliższą znajomość z tobą uznała za miłą losu odmianę...

– Pan Hiacyntus też...?

– Czy też był podstawiony? Ależ nie. Niekiedy w życiu trzeba improwizować. Podobnie jak sprawa owego nieszczęsnego malca Sylvia, któregośmy uwolnili z łap onych zbrojców.

– Nie rozumiem jednak celu...

– Ależ, Freddino, jak możesz nie rozumieć?! Wszystko czyniłem po to, byś trzymał się mnie niczym szkrab sukni pani matki. Trzymał się mnie i podążał za mną, gdziekolwiek się udam, wierząc, iż jedynie w moim towarzystwie możesz być bezpieczny. Jak widzisz – tu dotknął swego zabandażowanego ramienia – jest dokładnie odwrotnie...

– To rozumiem. Nadal wszelako nie pojmuję, Mistrzu, po co ci byłem aż tak potrzebny?

– Potrzebowałem następcy. Od chwili naszego spotkania wydawałeś się osobą idealną do roli, w której zamierzałem cię obsadzić, ale nie mogłem być pewien, że dobrowolnie wyrazisz zgodę.

– Na co zgodę?

– Na zastąpienie mnie, gdy przyjdzie pora. Tym sposobem zmitrężyłem mnóstwo czasu, a teraz, kiedy wypadałoby dać ci pierścień Strażnika, może być za późno. Przecież wiesz tak mało. Właściwie nic.

– To prawda. Nie rozumiem nawet, o czym mówisz, panie.

– Nie dziwota, bo i mnie czasem trudno pojąć własne brzemie. Ale do rzeczy! Słyszałeś może o zakonie aleksandrytów? Nie słyszałeś? I żaden wstyd, albowiem nikt, krom wtajemniczonych, o nim nie słyszał. Pewne odpryski na jego temat krążą w opowieściach o templariuszach, o tajemnicach mistrzów mularskich, o różokrzyżowcach... Głównie są to jednak puste bajdy, skutek niedyskrecji bądź niewczesnych domysłów. A nasz zakon trwa, ponad dziesięć wieków trwa, bez klasztoru, bez przeora... I bez Boga.

To ostatnie trochę mnie przestraszyło, ale Mistrz delikatnie dotknął mego ramienia.

– Nie obawiaj się, Alfredo, iż masz do czynienia z czcicielem szatana czy kompletnym ateistą. Prędzej już agnastykiem. Zresztą byli u nas tacy, co dopuszczali hipotezę ingerencji absolutu w dzieje człowieka, ba, wierzyli w ciało zmartwychwstanie, a nawet zbawienie duszy

i nikt im wyrzutów z tego powodu nie czynił. Jednak prawdziwą naszą religią była wiedza. Na przełomie III i IV wieku, w obliczu coraz silniejszych wpływów chrześcijaństwa, grupa uczonych z Aleksandrii założyła tajny związek, mający ochronić wiedzę – zgromadzoną w antyku i odziedziczoną po egipskich kapłanach, którzy też mieli swych poprzedników... Bardziej przeczuwając, niż przewidując nadejście wieków ciemnych, powołali oni zakon składający się z dwunastu mężów, żyjących w rozproszeniu, którzy w tajemnicy przekazywać mieli swym następcom prawdziwą wiedzę w najcięższych nawet terminach. Każdy po osiągnięciu wieku połowy stulecia winien naznaczyć sukcesora, który w dniu śmierci mistrza zdolny byłby przejąć jego rolę. Być może trudno będzie ci uwierzyć, ale jakimś cudem aleksandryci przetrwali walki z herezjami, wędrówki ludów, szaleństwa władców i dociekliwość Kościoła. Może dlatego że, jak wspomniałem, struktura nasza była luźna. Mężowie tworzący zakon pozostawali w diasporze, starając się nie zdradzać nikomu swych tajemnic, nie zajmować pozycji nazbyt eksponowanych, choć bywali między nami biskupi i opaci, a także uczeni, którzy zyskali poważanie współczesnych i potomnych jak Roger Bacon czy nie tak dawno mistrz Nostradamus...

– Przecież Nostradamus był Żydem!

– Nasz zakon był ponad religiami i rasami. Aż trzy z jego linii były żydowskie, trzy greckie, a jedna arabska. Zasadą było również, iż każdy z aleksandrytów utrzymywał kontakt jeno z dwoma innymi i spotykano się nie częściej niż co dekadę. Nie chwaląc się, to my sprawiliśmy, iż świecka wiedza antyku przetrwała w klasztorze na szkockiej wyspie Iona i w saraceńskiej Hiszpanii czy w Bizancjum.

I, jak widzę, zakon trwa do dziś?

Nie w komplecie. Z dwunastu pierwotnych do naszych czasów dotrwało ledwie sześć linii Strażników. Wojny, zarazy i prześladowania sprawiały, że niektórzy aleksandryci odchodzili, nie pozostawiając ukształtowanych następców, zdarzało się także, że wybrany uczeń nie zdążył zostać zaprzysiężony, czyli nie poznał najgłębszych sekretów. Z linii greckich pierwsza skończyła się w trakcie walk z ikonoklastami, druga podczas szturmów Konstantynopola, jeden z naszych zginął jako templariusz podczas rzezi, którą na początku XIV wieku zgotował wojowniczym mnichom Filip Piękny, innego, maronitę, spalili na stosie sam Torquemada.

– A nie można was jakoś... ponownie rozmnożyć?

– Niestety nie. Założyciele zakonu z sobie wiadomych względów postanowili podzielić posiadaną wiedzę i tak każda linia miała swoją specjalizację, którą przekazywała następcom. Koniec takowej dynastii oznaczał zatem kres przechowywanych przez nią umiejętności. Tak

bezpotomnie przepadła, niestety, ogromna część starożytnej mechaniki, a podobno też aleksandrycy, którzy znali maszyny do liczenia, a także sposób ujarzmienia piorunów... Również z dawnej wiedzy tajemnej pozostały jeno okruchy. Któż dzisiaj uwierzy, że nasi przodkowie mieli rzeczywistą zdolność telepatii i przewidywania przyszłości, potrafili lewitować i bilokować, czyli przebywać w paru miejscach naraz...

– Dlaczego jednak nie zabezpieczono się przed takową zaturą, nie utrwalono całej wiedzy w księgach?

– Czasem utrwalano, ale przeważnie tak zmyślnie szyfrując, że później, jeśli utracono klucz do szyfru, nie dawało się tego odczytać. Pokazywałem ci zresztą pewien papirus...

– Z hieroglifami?

– Właśnie! Gdyby można go odczytać, doprowadziłby nas do miejsca, w którym moglibyśmy ponownie zaczerpnąć z krynicy wiedzy najczystszej, wszelako... – Tu Mistrz westchnął i zmienił temat: – Jednak musisz wiedzieć, że wśród moich braci jeszcze większy lęk przed zaturą wiedzy wywoływała obawa, że wpadnie ona w niepowołane ręce. I bez tego aleksandrycy mieli wiele turbulencji z apostatami.

– Z kim?

– Co jakiś czas któryś z uczniów, wiedziony ambicją, usiłował na posiadanej wiedzy zrobić majątek. Wykorzystać ją do zdobycia władzy lub fortuny. Powiadają, że do takich odstępców należeli czarodziej Merlin czy prorok Mahomet. Byli i pomniejsi, przed którymi trzeba było się bronić nierzadko dość podłymi metodami.

– Czyli jak?

– Na przykład rozpuszczając wiadomość, że zawarli pakt z diabłem. I wtedy wiarołomny apostata kończył szybko na stosie. Nie muszę dodawać, że osobiście potępiał takie metody.

– Nie pojmuję tych obaw, Mistrzu – powiedziałem. – Cóż byłoby złego w tym, jeśliby ludzkość dysponowała umiejętnościami starożytnych?

– A jeśli, drogi Freddino, istnieją tajemnice o wiele głębsze i bardziej przerażające, niż można sobie wyobrazić? Do których wykorzystania ludzkość absolutnie nie dojrzała. Czy wyobrażasz sobie oddanie byle idiocie magicznej laski czarnoksiężnika? Wiesz zapewne o pożarze Biblioteki Aleksandryjskiej?

– Oczywiście, wiem iż zniszczono ją z końcem siódmego stulecia na rozkaz arabskiego najeźdźcy Omara, który stwierdził, że jeśli są w niej informacje zgodne z Koranem, to zdobywcy już je znają, a jeśli sprzeczne, to nie zasługują na przetrwanie...

– Tak, zwykle mowa o roku 642. To jeden z naszych lepszych pomysłów. Nigdy niekwestionowana wersja, którą gorliwie rozpowszechnialiśmy przez wszystkie wieki.

Bardzo widowiskowa i kompletnie nieprawdziwa. Aliści prawda jest inna. Wobec nadciągających muzułmanów ci z dwunastu, którzy byli podówczas w Aleksandrii, podjęli decyzję o spaleniu posiadanych zasobów, aby nie wpadły w ręce Saracenów.

– Cóż za barbarzyństwo!

– Powierzchnownie spoglądając, niewątpliwe barbarzyństwo, ale jeśli jest prawdą, że znajdował się tam Zasób Zakazany. – Tu *il dottore* zawahał się na moment i otarł zroszoną potem twarz. – Wiem, żeś dobrym katolikiem, przeto możesz wzdrygać się, słysząc informacje niezgodne z Księgą Rodzaju. Ale z przekazów aleksandrytów wynika, iż historia świata sięga głębiej niż cztery tysiące lat przed Chrystusem. Osobiście mniemam, że zaczęła się dziesiątki, a nawet setki tysięcy lat wcześniej... Pisał o tym zresztą już Platon.

– W *Kritiaszu*!

– *Bravissimo! Zresztą*, nieomal w każdej kulturze istniały opowiadania o czasach bogów i nadludzkich herosów, wiem, że znasz doskonale mity greckie, historie egipskie czy babilońskie.

– Trochę o tym czytałem.

– Na pierwszy rzut oka opowieści te brzmią jak bajki. Aliści nie przyszło ci do głowy, że bajki nie lęgną się z niczego?

– Mam wierzyć, że Horus, Ozyrys, Zeus czy Wielka Macierz Bogów to postacie autentyczne?

– Jeśli nawet nie całkiem autentyczne, to posiadające pierwowzory z krwi i ciała. Wiele na to wskazuje, iż przed nami żyły tu istoty długowieczne, zdolne latać w powietrzu, ciskać piorunami, ożywiać zmarłych i niszczyć całe miasta niczym Stwórca Sodomę i Gomerę.

– Tylko czy są na to jakieś dowody? – odezwał się we mnie niedowiarek.

– Oczywiście, że są. Można je odnaleźć choćby u wspomnianego przez ciebie Platona.

– Opowieści o Atlantydzie? Naturalnie czytałem o tej wyspie na oceanie, którą dosięgła zagłada. Zawsze jednak zdawało mi się, że jest to opowieść stworzona przez mędrca na zilustrowanie określonych tez.

– A jeśli nie? Jeśli założymy, że jest to zniekształcona treść podania, którą z ust do ust przekazywano z pokolenia na pokolenie... – Na twarzy Mistrza pojawił się zagadkowy uśmiech. – Być może te tajemnice są bliżej, niż myślimy, a ludzkość, wydostawszy się z wieków ciemnych, dojrzeła do chwili, w której mogłaby spożytkować tamtą wiedzę i stać się podobna bogom.. – Wypowiedź musiała go bardzo zmęczyć, bo na moment przymknął oczy i zdawał się zbierać siły.

Siedziałem obok, milcząc, i jedyne, co przychodziło mi do głowy, to refleksja, że przy każdej okazji, kiedy ludzie chcieli dorównać bogom, kończyło się to dla nich źle, o czym uczy choćby historia wieży Babel.

Tymczasem *il dottore* znów otworzył oczy.

– Zapewne chcesz mnie zapytać, czemu mówię ci o tym dopiero teraz i jaki ma to związek z owym krwawym incydem sprzed trzech dni?

Milcząco skłoniłem głowę.

– Coś się dzieje! – powiedział z wyraźnym bólem w głosie. – Wydaje mi się, że ktoś zamierza zlikwidować nasze zgromadzenie. Parę lat temu zmarł stratowany koźmi w paryskim zaułku czcigodny Armand, uczeń Nostradamusa, a jego potencjalny następca zwariował – popełnił samobójstwo, rzucając się z wieży Notre Dame – niewykluczone zresztą, iż ktoś mu w tym pomógł. Z kolei dwa lata temu utopił się w Bosforze czcigodny Georgi Randopulos, ostatni przedstawiciel linii greckiej, o jego uczniu Arystarchu wszelki śluch zaginął, a teraz zabrano się za mnie...

– Ale ktoś mógł to uczynić?

– Istnieje hipoteza o istnieniu Arcystrażnika, kogoś, kto przez wszystkie wieki czuwa nad naszą działalnością...

– Żyd Wieczny Tułacz? To dlatego Mistrz tak usilnie starał się wpaść na jego trop?

– To jedna z hipotez, że Arcystrażnik może ukrywać się pod takim kostiumem. Ale obecnie przychodzi mi do głowy koncepcja inna...

Rozległo się pukanie do drzwi. Gog, doglądający rannego Magoga, poderwał się na równe nogi z króćcami w ręku.

– Spokojnie! – powiedział *il dottore*, – Za dnia odwiedzają nas przyjaciele, złoczyńcom pozostawiając noce.

Nie pomylił się. Przybyszem okazał się młody mnich, którego blade, nieogolone oblicze i poszarpana sutanna wskazywały na długą i forsowną drogę.

– Nazywam się Alonso Ibanez – powiedział, kłaniając się od progu.

– Syn czcigodnego Rodryga! – oczy Mistrza rozbliły się. – Witaj, przyjacielu. Cieszę się, że mogę ujrzyć znakomitego przedstawiciela rodu Iberów. Jak senior Ibanez?

– Ojciec nie żyje – odpowiedział głucho przybysz.

– Cóż się stało?! – *Il dottore* zrobił się bledszy niż wprzódy.

– Dwa tygodnie temu w jego pracowni nastąpiła potężna detonacja jakichś alchemicznych odczynników. Nie było mnie wtedy w domu, ale w liście, który mi pozostawił

w skrytce, znalazłem polecenie, abym w wypadku jakiegoś nieszczęścia bezzwłocznie odszukał pana... Co niniejszym uczyniłem.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Rzadko zdarzało się, by mój Mistrz potrzebował tyle czasu, by zebrać myśli.

– Mój Boże – westchnął wreszcie. – Myślałem, że mamy więcej czasu. Rzeknij jeszcze, jak ci się udało dotrzeć do Paryża?

– Wyjechałem niezwłocznie, nie wracając nawet do domu mej kochanki. Dobrzy mnisi od św. Hieronima dali mi to okrycie. Miałem pieniądze, aby często zmieniać konie... A i tak strzelano do mnie dwakroć, gdym opuszczał Barcelonę, a i w drodze pod Orleanem weszło mi w drogę dwóch obwiesi, choć głowy nie dam, czy nie byli to zwyczajni rabusie. Szczęściem bandoletami władam równie dobrze jak szpadą.

Popatrzyłem na Hiszpana z uznaniem, bo jeśli nawet chełpił się swemi przewagami, czynił to nader przekonująco.

– Zostałeś zaprzysiężony? – zapytał nagle Mistrz, a widząc zakłopotanie na twarzy młodzieńca, dorzucił: – Który stopień wtajemniczenia osiągnąłeś?

– Trzeci.

– Trzeci z jedenastu, o bogowie, ostawiliście mi jeno samych niedorostków.

Niewiele wiedziałem o hierarchii aleksandrytów, toteż mogłem się jedynie domyślać, że ojciec Ibaneza zaczął dopiero wprowadzać syna w ich tajemnice. Kto wie, ile z nich umarło wraz z nim? Ja, niestety, byłem w jeszcze w gorszej sytuacji. Moja edukacja właściwie jeszcze się nie rozpoczęła.

– Dajcie mu wina – zaordynował nagle *il dottore*, Gogowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Podskoczył z dzbanem. – Wyruszyście bezzwłocznie – ciągnął Mistrz tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Gog wam będzie towarzyszył. Miejmy nadzieję, że uratujecie przynajmniej ostatnią dwójkę.

– Czyli kogo? – spytałem.

Mistrz zmarszczył brwi.

– Znam nazwisko tylko jednego, miejsca pobytu drugiego brata mogę się jedynie domyślać. Ale Seton da wam wskazówki, aby dotrzeć do tego ostatniego. A może nawet da wam też pomocnika w osobie swego ucznia, którego ma od lat... jak mu... Lennoksa!

– Seton. Alexander Seton? – Przypomniałem sobie nazwisko szkockiego alchemika, będącego na liście częstych korespondentów *il dottore*.

– Onże sam. Znajdziecie go niechybnie w Pradze gdzie wspólnie z Polakiem Sędziwojem przebywa na służbie u cesarza Rudolfa.

– A ten Sędziwój to też?...

– Powiadają, iż jest najwybitniejszym alchemikiem współczesnej doby, ale ze Strażnikami nie ma nic wspólnego. Być może nawet nie zna funkcji Setona w zakonie, choć powiadają, iż są bliskimi przyjaciółmi, a Szkot ma wobec niego dług wdzięczności, gdyż wspomniany Sędziwój wyciągnął go całkiem niedawno z więzienia w Dreźnie, gdzie książe Chrystian Saski osadził go za długi.

– Mało skuteczny to jakiś alchemik, skoro groszem nie śmierdzi – ocenił Alonso i po raz pierwszy tego dnia uśmiech zagościł na naszych twarzach.

Pragnąłem pożegnać się z Agnes. Nie mogłem dopuścić, aby pomyślała, iż wyjeżdżając bez słowa, straciłem do niej cały afekt. Toteż wykorzystując fakt, że Ibanez dostał cztery godziny czasu na odpoczynek i bezzwłocznie zapadł w sen, ile sił w nogach pośpieszyłem do pałacu hrabiego Vendôme. Odźwiernemu powiedziałem, że mam list do pani Vendôme i że muszę oddać go do rąk własnych.

Nie przekonało go to bynajmniej, szczęściem podniesione głosy zwabiły panią domu, która kazała wpuścić mnie na pokoje.

Nie będę opisywał tych wszystkich pocałunków, pieszczot i łez, które wypełniły bite trzy godziny. Oględnie opowiedziałem mej pani o zamachu na *ildottore* i o *misji zagranicznej*, na którą muszę ruszać co rychlej i to w miarę możliwości *incognito*.

Niezwykle przejęta, obiecała mi pożyczyć na parę dni herbową kolasę, a także uzyczyc mi i Alonsowi damskich fatalaszków, iżbyśmy mogli uchodzić za paryskie elegantki wybierające się w drogę. Potem kazała mi przysiąc na wszystkie świętości, że świętą Genowefą na czele, że wrócę i pozostanę jej wierny, co uczyniłem tym chętniej, iż wiedziałem, że tylko w niewielkim stopniu rzecz ode mnie zależy.

Żegnając mnie, *il dottore* wstał z łoża i wręczył mi parę zapieczętowanych kopert, objaśniając, kiedy i w jakiej sytuacji mam je otworzyć i jak sprawić, aby na czystych kartach ukazał się ukryty tekst.

– Wierzę, synu, że pisane jest ci dokonać rzeczy niezwykłych i obaczyć cuda, o których ja mogłem tylko marzyć! O jedno cię proszę – zachowuj ostrożność i nie wierz zmysłom, albowiem świat taki, jaki widzimy, niekoniecznie musi być prawdziwy.

Mistrz nadrabiał miną, ale wyraźnie czuł się kiepsko, ja zaś podczas całego pożegnania nie mogłem pozbyć się lodowatego ciernia w sercu, którym było przeświadczenie, iż nie zobaczymy się już więcej.

Czy się myliłem?

Na razie należało bezpiecznie opuścić Paryż. Szczęściem Gog znał różne tajne przejścia, dzięki którym niewidziani z ulicy zeszliliśmy ku rzece, tam już czekała umówiona barka, która przewiozła nas na brzeg koło Bastylli, gdzie znajdował się powóz hrabiny. Czy nieznany i niewidzialny wróg zauważył nasz odjazd, nie mam pojęcia. Przez następny tydzień nie dał najmniejszego znaku swego istnienia.

Szło ku jesieni. Zaraz po opuszczeniu Île-de-France złapały nas burze gwałtowne, które po paru dniach przeszły w uciążliwe dżdże, kapuśniaczki i mgły sprawiające, że podróż po tych częściach Europy za sprawą rozmokłych gościńców daleka była od przyjemności podróżowania po krajach Południa. Szczęściem Alonso okazał się kompanem miłym, niewymagającym, za to o wiedzy rozleglejszej niż niejeden profesor Sorbony. Dobiegał trzydziestki i uroda Południowca z niewątpliwą domieszką krwi semickiej, a może saraceńskiej, czyniła go z wyglądu nieco starszym, ale trzeba było posłuchać jego śmiechu, zauważyć błysk oka, gdy dziewczkę nadobną w gospodzie wypatrzył, aby natychmiast rozpoznać młodość, która nie popadła jeszcze w gnuśność wieku statecznego. Ibanez, znakomity matematyk, medyk i astronom, znał nadto kilka (jeśli nie kilkanaście) języków, w tym arabski i hebrajski, dzięki czemu mógł swobodnie czytać w oryginale święte księgi Żydów, co pozwoliło mu zgłębić tajemnice Kabały i Talmudu. Z jego opowieści wynikało, że sporo podróżował, był ze swym ojcem na Nowym Łądzie i oglądał baśniowe krainy Inków i Azteków, owych okrutnych Indian stworzonych zda się przez innego boga, przeżył też trzy lata w niewoli u berberyjskich piratów, gdy lekkomyślnie ku wybrzeżom Afryki się zapędził, z której za trzosa dublonów w złocie wykupił go jego troskliwy ojculek. Niewolę wykorzystał na zgłębienie języka, a także przyswojenie kilkudziesięciu sur Koranu, które obecnie potrafił klepać jak autentyczny syn islamu, przykładnie waląc łbem w dywanik obrócony obowiązkowo w kierunku Mekki.

Miał też ową przyrodzoną ciekawość i żądzę wiedzy, która cechuje nielicznych. W dodatku nie było w nim uncji pychy, gdyż na co dzień hołdował sokratejskiej formule „Wiem, że nic nie wiem”. Najbardziej zaskakujące przy owej intelektualnej ciekawości, przyrodzonym krytycyzmie i otwarciu na świat, czy raczej wszelkie możliwe światy, była równoczesna wiara w Boga. I nie była to wiara powierzchowna i chybotliwa jak u mnie, przeciwnie, mocno ugruntowana, co nie przeszkadzało, że wierząc i kochając Chrystusa, Alonso pozostawał – jak sam mówił – „człowiekiem grzesznym w granicach rozsądku”.

– Wiesz, Alfredo – mówił, kiedy poznaliśmy się bliżej. – Wiesz, co zachwyca mnie w naszej wierze i przekonuje, że jako jedyna jest prawdziwa i że powstała z nauki Syna Bożego? Jest wyjątkowa. Żadna z religii, a poznałem ich sporo, nie proponuje miłowania nieprzyjaciół, chronienia słabych, nie błogosławi ubogim, twierdząc, że ich jest Królestwo Niebieskie. Nie równa niewolnika z panem i kobiety z mężczyzną. Bogowie greccy, przy całej swej wielkości, przypominają ludzi podłych, działających mimo swej mocy wedle najniższych instynktów, wyzuty z jakiegokolwiek nadprzyrodzonej charyzmy. Także Jahwe, taki jakim przedstawiają go Żydzi, jest Bogiem nieludzkim. Okrutnym, mściwym, zawistnym... Allacha muzułmany wychwalają na tysiące sposobów, lecz padają przed nim na twarz. To nie jest Bóg Ojciec miłosierny, wyrozumiały, kochający, który gotów jest poświęcić swego syna, by ten umarł za nasze grzechy. Żadna religia nie daje wolnej woli, możliwości naprawy i zwyciężania zła dobrem. Jak więc nie kochać Jezusa Chrystusa?

Opuściwszy Paryż, kierowaliśmy się na Reims, słynne ze swej gotyckiej katedry, w której od wieków potomkowie Hugona Kapeta przyjmują oleje święte, koronę i scepter, wraz z przedziwną bożą magią pozwalającą im leczyć skrofuły i inne temu podobne dolegliwości poddanych. Stamtąd odesłaliśmy powóz pani de Vendôme i nabyliśmy inny, mniej okazały, acz wygodny, i puściliśmy się w dalszą drogę. W kolejnych dniach przebyliśmy szybko biskupie stolice Metz i Verdun, w Strasburgu przeprawiliśmy się przez rozlany szeroko o tej porze roku Ren, dalej kierując się na Ulm, Ratyzboną i Pasawę. Przekraczając góry między Austrią a Czechami doświadczyliśmy pierwszej śnieżycy, która po naszym zejściu w doliny zamieniła się w obfity deszcz.

Wreszcie po dwóch tygodniach podróży wjechaliśmy do Pragi, miasta, jak na odległy skraj Europy, nadzwyczajnie pięknego i zasobnego. W onych czasach mówiło się, że po Paryżu, Londynie i Madrycie jest to czwarta stolica Europy, gotowa zdetronizować cesarski Wiedeń, jako zbyt blisko pohańskiego imperium położonego i w związku z tym narażony na różne przykre niebezpieczeństwa, z oblężeniem włącznie, nieliczące z godnością stolicy Świętego Cesarstwa. W dodatku cesarz Alfred nie przepadał za ponurym Hoffburgiem, a na praskich Hradczanach czuł się wyśmianicie.

Powiadają, że Praga w istocie są to dwa miasta – pod widomem kryje się bowiem drugie, podziemne, czarów i czartów kryjówka, w których ponoć napotkać można legendarnego człeka z gliny, Golema, ulepionego przez rabina ben Bacalela, który urwał się swemu kreatorowi z postronka, by wieść w podziemiach żywot potwora odżywiającego się ludzką krwią. Za bardzo w to nie wierzę, jako że w kościele św. Wacława pokazują palec i ucho onego olbrzyma przechowywane od chwili, kiedy ów rozkruszył się na kawałki.

W przedwieczornej mgiełce miasto rysowało się na de nieba niesamowicie z nieprawdopodobną liczbą wież i dzwonnicy, tak jakby ich budowniczywie mnogością strzelistych konstrukcji chcieli potwierdzić codzienny bój Boga z szatanem.

Wedle posiadanych informacji alchemik Seton mieszkał w pobliżu Zamku Cesarskiego na Hradczanach, po drugiej stronie Wełtawy, przez którą wiódł piękny kamienny most Karola IV Luksemburskiego. Przeto pozostawiwszy nasz powóz i bagaże w zajęździe opodał kościoła św. Waclawa, skierowaliśmy nasze kroki na drugą stronę rzeki. Znalazłszy się na przedzamczu, od razu poraziła nas imponująca bryła katedry św. Wita, w której obok doczesnych szczątków cesarskich monarchów przechowywany jest język świętego Jana Nepomucena, którego w roku 1393 zamordowano z rozkazu króla Waclawa IV i rzucono w nurt Wełtawy, torturując wprzódy okrutnie. Podanie głosi, że kapłan zginął za odmowę ujawnienia tajemnicy spowiedzi. Ciało świątobliwego męczennika można oglądać do dziś w nienaruszonym stanie, takoz i język, który, jak powiada lud praski, odzywa się w momentach dla narodu czeskiego dramatycznych. Tak było przed kaźnią Jana Husa, a także przed klęską pod Mohaczem, w której poległ Ludwik Jagiellończyk, a ostatnio ów język miał ponoć rzec tajemnicze słowo „biała góra”, którego sensu do dziś nikt pojąć nie potrafi.

Przypisek Aldo Gurbianiego: *Kilkanaście lat później bezprzykładna klęska szlachty czeskiej w bitwie pod Białą Górą u zarania wojny trzydziestoletniej doprowadziła ów bitny lud na krawędź, zagłady.*

Odszukanie domu Alexandra Setona nie nastręczyło większych trudności, aliści wejście do niego okazało się niepodobieństwem. Okiennice zastaliśmy zawarte na głucho, a walenie do drzwi, nad którymi wisiała czarna flaga zwiastująca, iż śmierć musiała nawiedzić to domostwo, nie przyniosło rezultatu. Kołataliśmy jakichś pięć pacierzy, kiedy z wąskiej stromej uliczki wynurzył się starszy Żydowin w wysokiej futrzanej czapie, ponoć znamienity złotnik i sąsiad alchemika. Biorąc Alonsa za swego sefardyjskiego współplemieńca, zaczął rozmawiać z nim po hiszpańsku, jako że znał mowę swych ojców i dziadków, przez królów katolickich wygnanych precz z królestwa Kastylii i Aragonii.

- Próżno kołaczecie, panowie, nie ma tam nikogo.
- A mistrz Alexander? Przybyliśmy do niego aż z Paryża.
- Będzie z dobry miesiąc, jak ów uczony Szkot ducha wyzionął.

Wymieniliśmy z Alonsem porozumiewawcze spojrzenia. Czyżby zdarzyło się to przed zabójstwem Ibaneza i zamachem na il *dottore*?

- Ale cóż mu się stało?! – dopytywał się Hiszpan.

– A czy to wiadomo? – Izraelita raptownie ściszył głos. – Choroba przyszła nagle i skosiła go jak wprawny zniwiarz. Mówiono o skręcie kiszek, ale wielu podejrzewało truciznę. Na dwa dni aresztowano nawet pana Sędziwoja, ale okazało się, że nic na tej śmierci nie skorzystał. Seton miał wyłącznie długie, a jeśli znał alchemiczne tajemnice, to krom resztek tynktury nie zostawił Sędziwojowi niczego. Najwyżej żonę...

– Żonę?

– Tydzień od pogrzebu Setona nie minął, a Polak pojął nadobną wdowę za małżonkę i samodwój wyjechali do Krakowa.

– A jego uczeń? – wtrąciłem się swym nie najlepszym hiszpańskim. – Podobno Seton miał ucznia.

Żyd pogładził się po brodzie.

– A miał. Młodzik to był jeszcze, choć zmyślny... W dniu śmierci alchemika jakby się pod ziemię zapadł, choć szukali go i cesarscy, i inni...

– Jacy inni?

Naraz złotnik stracił całą ochotę do rozmowy.

– Późno już! – powiedział. – Winnicie panowie noclegu poszukać, najlepiej po drugiej stronie rzeki, bo taniej i bezpieczniej. Noc zimna będzie. – To mówiąc, zakręcił się na pięcie i zniknął.

Postąpiliśmy za jego radą, wracając samotrzeć ku mostowi Karola.

Ledwie się tam znaleźliśmy, okazało się, że mamy asystę. Trzech opryszków w ciemnych oponczach wyszło na most za nami, czterech oczekiwało w połowie mostu. Szanse w najwyższym stopniu nierówne. Chciałem dobyć szpady, ale huknął strzał z króciwej i dobiegł mnie głos Goga:

– Do wody.

Anim się zastanawiał. Przesadziłem barierę mostu.

Kula świsnęła mi koło ucha, chybiła jednak. A ja leciałem długo zdjęty strachem czy natrafię na kamienne ostrogi przepraw, czy rzeczne skały, o które pogruchoczę sobie wszystkie kości.

Uderzyłem w wodę, a lodowata topiel zamknęła się nade mną. Po jesiennych deszczach Wełtawa wylała szeroko, nie osłabiając wszelako prądu, który porwał nas, zakręcił raz i drugi... Zabójcy, nie kwapiąc się do kąpieli, prażyli do nas z góry, ale z powodu ciemności i bystrości nurtu chybiali haniebnie. Z drugiej strony, jak długo mogliśmy przeżyć w lodowatej toni?

Na szczęście ponieważ wszyscy trzej byliśmy pływakami doświadczonymi, miast walczyć z nurtem, co byłoby z góry skazane na przegraną, pozwoliliśmy czas jakiś nieść się prądowi, kierując ku gęsto zabudowanemu brzegowi. Naraz ujrzelśmy uchylone okienko na poziomie wody i rękę majtającą ze środka, której towarzyszył poblask świecy. Mając do wyboru śmierć z zimna i ryzyko ewentualnej pułapki, wybraliśmy to drugie.

Jeszcze chwila, a znaleźliśmy się w niewielkiej piwniczce, do której wciągnął nas młodzieniec szczupły i bladawy o ogniste rudy włosach.

– Nazywam się David Lennox – przedstawił się. – Czcigodnego sir Alexandra uczeń i następcą. – To mówiąc, podał nam naręczę odzieży. – Weźcie te płaszcze i otulcie się, bo przemarzniecie ze szczętem.

Gdyśmy, nie mogąc wyjść ze zdumienia, spełnili to polecenie, młodzian wydobył jeszcze spory bukłak miodu pitnego, proponując, abyśmy się rozgrzali. Nie odmówiliśmy.

– Na Boga – powiedział Alonso, ocierając usta – skąd waść wiedziałeś, że przybędziemy, ale również, że znajdziemy się w rzece?!

Widziałem was pod naszym domem, a potem zauważyłem owych hultajów zmawiających się na was. Jeśli mieliście im uciec, to jeno rzeką. Wiedziałem tedy, gdzie czekać... Przebieg nurtów znam dobrze, podobnie jak praskie podziemia, do których was zapraszam... – To mówiąc, pociągnął nas w korytarze kręte, wąskie, pachnące stęchlizną i tajemnicami lat minionych.

– A owi łotrzykowie, którzy chcieli nas dopaść na moście? – spytałem. – Nie znajdą nas tutaj?

– Są to tchórzliwe kanalie, które w nocy nie zapuszczą się do lochów, wierząc we wszystkie bajdy o strzygach, wampirach i golemach zaludniających podziemne miasto. Zresztą, za dnia też zapuszczają się tu niechętnie, mimo że ich *capitano* obiecał sztukę złota za moją głowę!

– To miejscowi?

– Hołota z Moraw.

– Wszelako dowodzi nimi ktoś bystrzejszy?

Dawid spoważniał. Schodziliśmy właśnie w głębsze podziemia, toteż musiał kaganek unieść tak, abyśmy nie roztrzaskali głów o coraz niższy strop, i dopiero wówczas odpowiedział:

– To Italczyk nazywany Zappa, krążący głównie po Bałkanach i najmujący się wielu panom, zbrodzień okrutny, a zarazem niesłychanie sprawny w swym zbójckim rzemiośle. Na

dobitkę wielce ustosunkowany na dworze, tak że jakiegokolwiek próby oskarżania go bez żelaznych dowodów mijają się z celem.

– Ustosunkowany? – wyrwało się Alonsowi.

– Powiadają, że z księciem Juliusem jest w bliskiej komitywie, albowiem dziewczek mu dostarcza, a także kryje co haniebniejsze uczynki.

Małom wtedy wiedział o cesarskim bękarcie, który mimo młodego wieku, ledwie dwudziestki dobiegł, już cieszył się złą sławą dorównującą Cesare Borgii i Władowi Palownikowi.

Dotarliśmy na koniec do piwniczki zacisznej, a głębokiej, w której znalazły się i palenisko, i dwie prycze, a także trochę zapasów żywności i broni. Teraz już rozumiałem, jak Lennokswi udawało się skutecznie ukrywać od miesiąca.

Ponieważ były jeno dwa wyrka, ustaliliśmy, że będziemy czuwać na zmianę. Najpierw Lennox i Gog, a po północy ja z Alonsem.

To postanowiwszy, zasnąłem tak szybko, jakby kto świecę zdmuchnął.

Ustanowić warty to jedno, wypełnić je drugie. Snop porannego światła, który przez jakąś szczelinę w murze padł prosto na mój nos i obudził mnie, uświadomił mi, że przespałem całą noc. Nie tylko ja. Cała czwórka – Gog wtulony we mnie, a Ibanez w Lennoksa – spała słodko jak baranki, czy raczej raki, które z łatwością można było wybrać z saka. Na szczęście nikt się takiego zadania nie podjął.

Obudziwszy się, moi towarzysze jęli dyskutować żywo, co czynić dalej. Alonso zrelacjonował Lennokswi naszą historię, śmierć swego ojca, zamach na *il dottore* i całą niepokojącą teorię spisku. Dawid tylko głową kiwał, mocno przejęty, tem bardziej iż nasze domysły korespondowały z jego podejrzeniami. Przerwałem im, mówiąc, że mam na tę okazję w szkaplerzu na piersi listy *il dottore* niewątpliwie zawierające radę, co czynić. To mówiąc, dobyłem pakunku spod koszuli. Płaskie puzdro ozdobione ryngrafem z wizerunkiem Najświętszej Panny okazało się szczelne, nie dopuszczając do wnętrza ani kropli wilgoci. Wysunąłem tedy listy, wziąłem do ręki pierwszy i odpieczętowałem.

Wewnątrz znajdowała się tylko jedna niezapisana karta.

Dawid westchnął ciężko, ale ja będąc przygotowanym na tę okoliczność, przysunąłem papier do knota świecy na tyle blisko, by zagrzać, a dostatecznie daleko, by nie spalić, i zaraz litery nakreślone przez Mistrza jego śmiałym charakterem bezzwłocznie wylazły na wierzch.

A gdyby jakie nieszczęście przytrafiło się sir Alexandrowi, jego asystent winien znać nazwisko i miejsce pobytu ostatniego z aleksandrytów, zwanego Sycylińczykiem. Udajcie się do niego niezwłocznie...

– Nie może być! – zakrzyknął Lennox, zdumion w najwyższym stopniu. – Don Camillo nie może być w żadnej mierze podejrzanym, gdy idzie o te zamachy...

– I mnie to zdumiewa – ozwał się Alonso. – Don Camillo de Pontevaggio? Słyszałem o nim, że to wielki pan, któren ma wielkie włości, prywatną flotę i wiernie służy koronie hiszpańskiej...

– Wszystko to prawda – rzekłem. – Ale zdajecie sobie, panowie, sprawę, że jeśli z szóstki Strażników pozostał cały tylko jeden, a pozostała piątka nie żyje lub ledwie dycha, to naturalną koleją ten ostatni jest najbardziej podejrzany.

Alonso się wahał, ale Dawid nie wyglądał na przekonanego:

– Mój Mistrz miał inną teorię w tej kwestii. Nigdy nie uwierzył w śmierć Randopulosa.

– Tego Greka z Konstantynopola? Przecie utonął!

– Tak, ale ciało wyłowiono po tak długim czasie, że rozpoznano je wyłącznie po złotych pierścieniach. A jeśli upozorował tylko swą śmierć? Wtenczas mógłby bezkarnie realizować wszelkie nieczne plany.

– Ale to tylko hipoteza. – Alonso, podobnie jak ja, nie był przekonany.

– Mogę mówić ino tyle, ile wiem – Lennox ściszył głos, jak człowiek, któremu słowa z trudem przechodzą przez gardło. – Sir Alexander, nim pomarł, wykrzykiwał jego imię, twierdząc, iż to on go otruł. A o tym, że byli w sporze, wiedziałem od paru lat. Takż w jego śmierć w Bosforze nigdy do końca nie wierzył.

– Ale jak mogło dojść do tego otrucia? – pytałem. – Nie zachowywaliście ostrożności?

– Podejrzewam, że posłużono się winem, które wypijaliśmy do posiłku. Ktoś dostał się do piwnicy (po morderstwie znalazłem wyłamana kratę) i zamienił butelki..

– I tylko mistrz Seton uległ zatruciu? – dziwował się Ibanez.

– Pani Seton nie pije nigdy, a ja... cierpiałem onego dnia okrutnie na rozstrój żołądka. Kiedy sir Alexander już nie żył, wziąłem trochę tego wina i wlałem je do pyszczka kotu. Zdechł zaraz w strasznych konwulsjach. Niestety, kiedy ludzie cesarza szukali onej butelki, gdzieś zniknęła, a ja wcześniej salwowałem się ucieczką.

– Wróćmy do onego Georgi Randopulosa! – powiedziałem. – Czy znany jest wam powód, dla którego mógłby chcieć zgładzić pana Setona, a również innych aleksandrytów?

– Nie – odparł szybko indagowany. – Różnice poglądów na temat natury ludzkiej czy bezpośredniej interwencji Bożej w indywidualne sprawy nie wydają się przyczyną, która mogłaby popchnąć humanistę do podobnych zbrodni. Chociaż... – Tu Lennox się zawahał. – Jedno z ostatnich słów, jakie wydostały się z ust umierającego sir Alexandra, niewątpliwie pod adresem swego zabójcy kierowane, brzmiały: „I tak nie zatrzymasz koła historii, głupcze...”

Cisza głucha nastąpiła, a ja wydobyłem kolejną kopertę *il dottore*. Gog chciał mi usłuźnie podać świecę, ale powstrzymałem go ruchem ręki. Tekst drugiego listu ukryto inną metodą, wymagającą mniej estetycznych rozwiązań. Odwróciłem się tyłem do mych kompanów, aby skromność zachować, następnie połałem list strugą uryny, co sprawiło, że na czystej karcie znów pojawiły się czarne, wyraźne litery.

A jeśliby kontakt z Sycylińczykiem był niemożliwy lub niewskazany, winiście udać się do samego źródła. W kopercie trzeciej znajdziesz manuskrypt egipski, któryś u mnie oglądał. Tam winiście znaleźć wystarczające wskazówki, jak dotrzeć do Labiryntu i tam zaczerpnąć z krynicy utraconej wiedzy.

Nie zwlekając, otworzyłem trzecią kopertę i wszyscy trzej pochyliliśmy się nad starym papierem pełnym dziwnych znaków hieroglifami zwanymi...

– No to krewa – mruknął Dawid. – Nikt ze współczesnych nie jest zdolny odczytać żadnego z tych znaków.

Alonso tymczasem podniósł mokry papier, na którym skreślono list numer dwa i wskazał na jeszcze jedno zdanie, które pojawiło się przy samej dolnej krawędzi:

Beczka świętego Marka.

Ponieważ *il dottore* nie napisał nic więcej, a czwartą kopertę mogliśmy otworzyć wedle adnotacji „dopiero w Afryce”, popatrzyliśmy na siebie i dłuższą chwilę deliberowaliśmy, o co mogło chodzić memu Mistrzowi i jaką to beczkę miał na myśli.

Krążył mi nawet po głowie pomysł, aby powrócić do Paryża i osobiście go o to zapytać, ale nagle Alonso zabrał głos:

– Jedyna beczka, która mi przychodzi do głowy w tym kontekście, to naczynie, w którym przywieziono do Wenecji z Egiptu relikwie św. Marka...

– Beczka? – zdziwiłem się. – Odwiedzając Serenissimę, widziałem w katedrze relikwiarz świętego, ale ma on kształt szkatuły ze złota...

– Myślę o beczce, w której w roku 828 dwaj kupcy, Rustico z Torcello i Buono z Malamocco, dostarczyli do Wenecji zwłoki świętego ewangelisty, u schyłku swego żywota pełniącego funkcję biskupa Aleksandrii, pragnąc uchronić ciało przed pohańbieniem przez Saracenów. Przedsięwzięcie było tym trudniejsze, że zwłoki nie tylko że przez osiem wieków nie uległy żadnemu rozkładowi, to jeszcze wydawały intensywną woń kwiatną. Podanie pomieszczone w *Żywocie większym* głosi, że ciało świętego Marka zostało obłożone wieprzowiną, co z jednej strony przytłumiło zapach, a z drugiej powstrzymało muzułmanów przed staranniejszą penetracją naczynia...

– Tyle że jak po ośmiu wiekach mielibyśmy odnaleźć ową beczkę, o której dalszych losach nie wspomina żadna opowieść? – marudził Lennox.

– Tego nie wiem, ale myślę, że nie pozostaje nic innego, jak udać się do Wenecji i poszukać na miejscu...

W tym momencie do naszych uszu dobiegły jakieś odgłosy, zwielokrotnione echem korytarzy. Ani chybi ktoś zszedł do podziemi i posuwał się w naszym kierunku.

Nie mieliśmy wątpliwości, kim mogą być owi goście. Lennox gestem nakazał nam milczenie, po czym pociągnął nas w korytarzyk, którego wcześniej nie zoczyłem, wąski i tak niski, że w pewnych miejscach trzeba było pełznąć na kolanach lub przeciskać się niczym biblijny wielbłąd przez ucho igielne. Robiło się równocześnie coraz wilgotniej, tak że przychodziło nam brodzić po kostki, potem po kolana. Nie wiem, co poczęlibyśmy bez Dawida. Choć na pierwszy rzut oka robił wrażenie mola książkowego, przewodnikiem był doskonałym.

I troskliwym. Co jakiś czas nakazywał nam przywarować w jakiejś kryjówce, a sam szedł na rozpoznanie. Bywało iż nie było go nawet pół godziny, ale zawsze powracał i mówiąc: „Droga wolna”, prowadził nas dalej.

Kiedyśmy po raz kolejny oczekiwali na naszego przewodnika, usłyszałem szelest za plecami. I złowiłem okiem cień postaci. Gog dobył króciocy, atoli Alonso powstrzymał go, przysuwając palec do ust. Rozwinął jakieś podłużne zawiniątko, dobywając zeń długi przedmiot flet przypominający i garść niewielkich strzał. Pojąłem że jest to sprzęt przywieziony z Indii Wschodnich, śmiertcionośna broń tamtejszych tubylców, dmuchawką zwana. Zaraz mieliśmy się przekonać o jej skuteczności. Hiszpan wzdął policzki jak bania i kiedy cień znów się poruszył, wyraźnie dążąc ku nam – dmuchnął potężnie. Idący ku nam mężczyzna zachwiał się, a po chwili jak rażony gromem padł na ziemię.

Kiedyśmy doszli do niego, był umierający. Widok sprawiał przykry, zwłaszcza że był niewiele starszy od nas. Toczył pianę z ust i wycharczał coś po czesku:

– *Ja ne wrog...*

Co ciekawe, krom kordzika, bardziej przypominającego zabawkę, nie miał przy sobie żadnej broni. Zatem jeno na przeszpiegi szedł...

Dawid okropnie się zdenerwował, kiedy dowiedział się, w jakich byliśmy opalach. Oświetlił twarz zmarłego.

– Rysy gminne, nos zadarty jak to u Bohemianów bywa.

Na twarzy Lennoksa pojawił się grymas, jaki u niektórych wywołuje widok śmierci, zwłaszcza niekoniecznej. Ale nie rzekł nic, jeno splunął i pogratulował Ibanzowi celności oka. Tymczasem ten, w skórzanych rękawiczkach, ostrożnie wyciągał zatrutą strzałę i chował ją do woreczka.

Przyznam się, że o równie porażających truciznach jedynie słyszałem. Nie dziw, że mój respekt dla Hiszpana wzrósł w dwójnasób.

Pozostawiając za sobą zwłoki, poszliśmy dalej. Jak się okazało, do wyjścia pozostało jedynie kilkanaście kroków.

Z podziemi wyszliśmy już za miejskimi wałami. Najęcie trzech wierzchowców nie stanowiło problemu. Co koń wyskoczy puściliśmy się w stronę Budziejowic, a w tydzień później w Linzu spotkaliśmy się z naszym karłem Gogiem, który pomimo ryzyka powrócił do praskiej gospody po nasze manatki i powóz. Jeśli ktoś nas ścigał, czynił to tak umiejętnie, że nie dało się tego zauważyć. Może zresztą nasza gotowość do walki skłoniła go do poniechania pogoni? A może sprawiły to nasze listy? Wysłaliśmy ich parę z miejscowości Tabor – w piśmie do *il dottore* zdałem sprawę z naszych dotychczasowych dokonań i prosiłem o skorygowanie planów wyjazdu do Wenecji, jeśli uzna to za stosowne. Drugi list, podpisany przez Lennoksa, wysłaliśmy do pana Camillo de Pontevaggio na Sycylię. Ostrzegaliśmy w nim przed zamachowcami, tak jakby w głowie nie powstało nam, aby go podejrzewać, obiecując jak najrychlej stawić się pod Palermo, iżby ustalić wspólny plan działania. Wreszcie trzeci bilecik, wielce czuły i miejscami rymowany, skierowałem osobiście do rąk własnych pani Vendôme. Zapewniałem w nim o swych uczuciach, prosząc o ewentualną odpowiedź pod wskazany adres.

Wciągu następnych paru dni pomimo śnieżyc, które omal nie udaremniły nam przeprawy przez Alpy, na samo Boże Narodzenie dotarliśmy szczęśliwie do Wenecji. Kiedy ponownie płynęliśmy łodzią przez lagunę, było chłodno, wietrznie, bezśnieżnie, ale osobiście miło. Były dzwony kościołów zwoływające na pasterkę. I jeśli czegoś mi brakowało, to rodziny, nawet tak

niepełnej, jaką miałem w Rosettinie. Ale cóż, cieszyłem się przynajmniej miłą kompanią i ambitnym celem, chociaż nie przypuszczałem, że przyjdzie mi spędzić w owym mieście na wyspach ponad cztery miesiące.

Okazało się, iż wyjaśnienie zagadki beczki świętego Marka nie było takie łatwe. Więcej powiem: długi czas zdawało się zgoła niemożliwe. Zresztą, nawet gdybyśmy uzyskali potrzebne wskazówki co do wyprawy do Egiptu, czas zimowych burz nie sprzyjał żegludze. Mało kto wypuszczał się na Adriatyk, a parę statków zatoneło u skalistych wybrzeży Dalmacji. Poza tym, dokąd mielibyśmy wyruszyć, nie mając wskazówek co do konkretnego celu podróży? Na temat egipskiego Labiryntu, o którym wspominał *il dottore*, krążyło wiele sprzecznych opowieści. Wedle Pliniusza leżał on około pięćdziesięciu mil od Kairu, w oazie Fajum nad jeziorem Moeris, zasilanym w wodę przez kanał biegnący od głównego koryta Nilu. W późniejszych czasach, kiedy irygacja podupadła, ów kanał zasypały piaski, jezioro wyschło, a o Labiryncie, zwanym Miastem Skarbów, a już szczególnie o wejściu do niego, wszelki śluch zaginął. Szukali go Rzymianie, łacińscy patriarchowie Aleksandrii, później Arabowie i poszukiwacze skarbów. Nadaremnie.

W nowszych epokach jego istnienie uznano za legendę, syntezę kilku opowieści o różnych podziemnych sanktuariach, komorach grobowych faraonów czy naturalnych jaskiniach. Jedno było oczywiste: bez rozszyfrowania hieroglifów szansa odszukania Labiryntu równała się zeru.

Brak postępu w rozwiązaniu naszego problemu nie oznaczał, że przebywając w mieście na lagunie, żałowaliśmy sobie uciech czy płochych rozrywek, tem bardziej iż rychło nadszedł czas karnawału, który w republice obchodzony jest jak nigdzie w świecie, a dodatkowo w znacznej mierze rozgrywa się na wodzie. Jako dziecko zachwyciałem się korowodami i ulicznymi zabawami w Rosettinie, atoli to, co działo się w Wenecji, z wielką galą gondoli na Canal Grande na czele, przekraczało wszystko, co dawało się oglądać gdziekolwiek. Wyjątkowy charakter karnawału weneckiego zawdzięcza maskom. Czyż można wymyślić lepszy sposób nieokiełznanej zabawy niż maskowe szaleństwo, gwarantujące anonimowość uczestnikom uciech, a bywa i orgii, o co nietrudno, gdy nikt nie pyta o stan, urodzenie czy status majątkowy. Oczywiście, gdy kto chciał, biedaka od bogacza dawało się rozróżnić po jakości materiału, z którego uszyto przebranie, oraz po zapachu, jako że nie każdego stać było na pachnidła. Jednak wiedząc o tym i nie żałując dukatów na atłasy i perfumy, mogłem uchodzić za księcia.

Pominę tu parę miłych epizodów dla istoty mej opowieści nieznaczących, nadto wyznam, że jeśli nawet grzeszyłem przeciw szóstemu przykazaniu, czyniłem to bez większego przekonania. Nadal byłem mocno zakochany. Zapewne z wzajemnością.

Po paru tygodniach dostałem list od pani Vendôme czuły nadzwyczajnie, ale zarazem pełen niepokojących informacji. Pisała mi Agnes, że il *dottore* zniknął, dom został sprzedany, a po Mistrzu i jego ogromnym Magogu wszelki ślad zaginał. Czyżby umarli? Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Już raczej mój preceptor ukrył się gdzieś, nie chcąc pozostawać na widoku, jako łatwy cel dla siepaczy, obojętnie, czy nasłał ich Georgi Randopulos, czy ktokolwiek inny.

Siedziałem tedy głównie na kwaterze, strofy do Agnes składając i obrazki z podróży kreśląc.

*Twój obraz mam pod powiekami,
zwiewny, a tak wyraźny przecież,
i tylko coś mnie dusi w krtani
i tylko coś mi płuca gniecie...
I czegoś brak, i czegoś szukam,
wodząc oczami dookoła,*

a do drzwi serca wciąż mi stuka miłość, co lico ma aniola...

Za to Alonso nie wydawał się tęsknić za czymkolwiek – przeciwnie, czuł się jak ryba w wodzie, dokazywał wiele, bałamucąc bogate i piękne damy, których, jak mówiłem, w Wenecji nie brakło.

Jego nastrój nie udzielał się jednakowoż Angielczykowi Lennoksowi. Kobiety wydawały się go nie obchodzić zgoła nic. A mężczyźni? To zagadka! Owszem, wodził swemi wodnistymi oczyma za ognistym Hiszpanem, ale nie słyszałem, żeby wzdychał.

Niewielem wiedział dotąd o sodomitach, poza tem, że najwięksi tytani w naszym malarskim fachu, i Leonardo, i Michelangelo, ulegali owemu grzesznemu pociągowi do osób tej samej płci. Jeśli owe skłonności przydawały ich dziełom geniuszu, źle to wróżyło moim aspiracjom malarskim, albowiem mój pociąg koncentrował się wyłącznie na kobietach.

Gwoli ścisłości dodam, że chyba nie byłem w typie Dawida i nijakich propozycji od niego nie otrzymałem. Zresztą wydawały się go interesować głównie księgi i stare kościoły, pił mało, w kości nie grał, a jak nie czytał, to szedł na samotną przechadzkę. Miły kompan. Choć przy swej powszedniej małomówności, kiedy tylko chciał, potrafił z łatwością nawiązywać kontakty, zwłaszcza takie, które w naszej sprawie przydać się mogły. Umiał

śluhać, a kiedy trzeba schlebiać, tedy gdy tylko wyraził takie życzenie, każde towarzystwo stało przed nim otworem.

Co się zaś tyczy Goga, to obyczajem wielu sług czas wolny poświęcał na sen. Kiedy tylko mógł, związał się w kłębek jak kot i zapadał w letarg. Chociaż nawet śpiąc, a doświadczyłem tego parokroć, pozostawał czujny i budził się w mgnieniu oka gotów do czynu. Zaletą tego spania na zapas było także to, że gdy przychodziła pora działania, mógł niezwykle wytrwale obywać się bez snu, nie poddając się zmęczeniu.

Powróćmy jednak do sprawy beczki świętego Marka.

Udało się nam ustalić, że po sporządzeniu przez bizantyjskich mistrzów wielkiego relikwiarza beczka po świętym (i wieprzowinie) została rozebrana, a klepki rozdrapane przez pątników i kolekcjonerów relikwii cieszyły się nieomal takim powodzeniem jak drzazgi z Krzyża Świętego. Znając kupieckie talenta Wenecjan, jestem przekonany, że z tych wyprzedanych klepek dałoby się zbudować co najmniej tuzin beczek, ale, co ciekawe, ani drewno nie pozostało w Serenissimie.

Kiedy skonstatowaliśmy ten fakt, dopadła nas posępna zaduma, którą przerwał dopiero Lennox wcale rozsądnym pytaniem:

– A obręcze?

Po kolejnej kwerendzie okazało się, że obręcze, wykonane ponoć ze szczerzego złota, pozostawiono w mieście. Kroniki opisywały, że otrzymali je braciszkanie franciszkanie, aliści stare księgi nie wspominały, co z nimi uczynili dalej. Miałem nadzieję, że nie przetopili ich na złote krążki i nie rozdali biednym.

Bracia mniejsi przybyli do Wenegii w drugiej dekadzie XIII wieku i zaraz zaczęli budować kościół, który po przebudowie w XV wieku jest uznawany za jeden z najważniejszych w mieście i nosi nazwę Santa Maria Gloriosa dei Frari.

Wielka ceglana bryła kościoła zajmuje całą pierzeję placu Campo dei Frari, położonego w dzielnicy San Polo, obejmującego większość wielkiej pętli Canal Grande. Odwiedzałem już wcześniej tę świątynię, głównie celem podziwiania obrazów Tycjana, precudnej rzeźby Jana Chrzyciciela dłuta Donatella, a także nagrobka doży Francesco Foscariego. Tym razem wspólnie odwiedziliśmy wszystkie kąty, cierpliwie pytając o złote obręcze św. Marka, ale krom zapisku, że braciszkanie trzymali je „dla światłości”, co było tak wieloznaczne, iż łby nam puchły od mnogości domysłów, nie znaleźliśmy żadnych precyzyjniejszych wskazówek...

Tak zmitrężyliśmy w świątyni parę godzin, zaglądnąc do wszelkich możliwych miejsc, z katakumbami i sagrestią włącznie, nim jakiś głos wewnętrzny kazał mi unieść głowę.

Wnętrze, doskonale oświetlone dzięki wielkiej mnogości okien, tak na koronie nawy głównej, jak w nawach bocznych i poza ołtarzem, wyposażono jeszcze w dwa stare, koliste żyrandole na wiele świec, jakie dziś widuje się już jedynie po starych zamkach. Oba miały szerokie złociste obręcze...

– Na Boga! – dobiegł mnie szept Alonsa.

Sztuka srebra, wręczona zakrystianowi przez Dawida, który już wcześniej zaprzyjaźnił się z oschłym staruchem, sprawiła, że pozwolono nam wspiąć się aż na malowane belki wieńcowe, z których przyjrzelśmy się wyraźniej złocistym kręgom. Z dołu wydawało się, że pokrywają je rysunki, znalazłszy się bliżej, przekonaliśmy się jednak, że rzekome rysunki to staroegipskie hieroglify.

Serca zabiły nam jeszcze mocniej, kiedy okazało się, że na drugiej obręczy znajdują się greckie litery.

– Cóż to może być? – zastanawiał się Alonso.

– Słownik – powiedział bez dłuższego zastanowienia Dawid Lennox. Olśnienie czy owoc dłuższych przemyśleń?

W każdym razie uznaliśmy to za możliwe – *il dottore* z pewnością wiedział, co pisał, a jeśli w istocie znakom egipskim odpowiadały greckie litery, mieliśmy klucz do jednej z największych tajemnic starożytności. Jednakże, aby tego dokonać, musieliśmy posiadać oba kręgi. Rysunek, nawet gdyby pozwolono nam dokładnie skopiować tekst ze złotej wstęgi, zawsze skażony byłby jakimś błędem.

– Go więc robimy? – zastanawiał się głośno Lennox.

– Ukradniemy! – zaproponowałem.

– Relikwię?! toż klątwa spadnie na głowy nasze i naszych dzieci – jęknął Alonso.

– Kiedy uda się odczytać ewentualny słownik, zwrócimy obręcze – zapewniłem, choć bez większego przekonania. – Poza tym, o ile wiem, żaden z nas nie ma dzieci.

To ich przekonało. Do operacji przygotowaliśmy się długo i starannie. A okoliczności nam sprzyjały. Jeszcze w karnawale Dawid zapoznał był w kościele pewnego jezuitę rodem z Krakowa, o popularnym w Polsce imieniu Stanisław. Mnich miał niewiele ponad trzydziestkę i, jak twierdził, dolegliwości płucne sprawiły, że zakon go na południe delegował, tedy od trzech lat różne posługi duchowne na terenie Italii wykonywał, marząc, aby z misją jaką dalej w świat wyruszyć i najchętniej za wiarę w dzikiej krainie ducha oddać. W to ostatnie nie bardzo wierzył, albowiem księżyk ów rozkoszami podniebienia nie gardził, a o inszych skłonnościach przez skromność opowiadać nie będę. Im bliżej postu, tym częściej Lennox oddawał się z bratem Stanisławem teologicznym dysputom, gdy tymczasem nieoczekiwana

szansa rychłego męczeństwa stanęła z nagłą przed młodym jezuitą. Oto zajechał do Wenecji ze swą swiłą pewien litewski wielmoża (nazywać będę go Skirgiełłą, albowiem nie sadzę, że byłby rad, gdybym ujawnił jego prawdziwe nazwisko) wybierający się z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Przepędził w mieście całą końcówkę karnawału i, trzeba trafu, spowiednik jego którejś nocy, nie bardzo trzeźwy, musiał poślizgnąć się i wpaść do kanału, bo rankiem martwego go wyłowiono. Arystokrata pilnie począł rozpytywać o jakiego księdza, bo pielgrzymka bez spowiednika to jak żur bez kiełbasy, więc gdy brat Stanisław zgłosił swą gotowość pojechania choćby na kraj świata, z radością został na służbę przyjęty.

Skorzystaliśmy na tym i my. Powołując się na hrabiego Malficante, za kuzyna którego podałem się dość bezczelnie, udało nam się zbliżyć do wielmoży, a nawet służyć za *cicerone* w wyprawach do Murano, Burano, Torricelli czy Chioggi. Skirgiełło był to wielki pan o imponującej sylwetce leśnego tura, a zarazem pełen dowcipu i ogłady, którą z zagranicznej edukacji wyniósł. W dodatku wbrew temu, co się zwykło mówić o Litwinach, jego ogromne bogactwo szło w parze z przedziwną delikatnością i niezwykłą ciekawością spraw tego świata, a także tolerancją wobec różnych przekonań religijnych, co w obecnej Europie bardziej należy do rzadkości niż reguły.

Postawny jak dąb z sarmackiego matecznika, brodaty, nosił się z turecka, charakterystycznie podgalał włosy i przy każdej okazji podkreślał sumiastego wąsa.

Chętnie opowiadał o sobie, nie kryjąc przyszłych zamiarów. Popadłszy w trakcie ostatniej wojny moskiewskiej króla Stefana w ogromne tarapaty, ślubował Chrystusowi i Najświętszej Paniencie, lubo że z urodzenia kalwin, iż w wypadku ocalenia życia ruszy na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Jakoż nagła odsiecz, bardziej za sprawą dzielności jego towarzyszy niż mocy nadprzyrodzonych, przyniosła mu wolność i zdrowie. Wszelako, będąc człowiekiem honoru, postanowił swe śluby wypełnić. Lat kilka się do tego zbierał i obecnie przestąpił do działania. Moja biegłość, jeśli idzie o sporządzanie rysunków, medyczne umiejętności Lennoksa i znajomość arabskiego, którą chwalił się Alonso, sprawiły, iż uznał naszą użyteczność w podróży i przyjął do kompanii, biorąc na pokład wynajętego galeonu, którym planował dotrzeć do Cypru. Skirgiełło zamierzał wprawdzie wprzód odwiedzić Ziemię Świętą, a dopiero potem udać się nad Nil, ale po paru rozmowach gotów był odwrócić kolejność, nie przejmując się napomnieniami młodego jezuitę, który wprawdzie uważał pielgrzymowanie do Grobu Pańskiego za chwalebne, ale już interesowanie się spuścizną starożytnego pogaństwa, w dodatku w państwie rządzone przez muzułmańskich mameluków za mocno ryzykowne. Od chwili, gdy od weneckiego prowincjała odpowiednie zgody otrzymał, ojciec Stanisław poczuł się nieomal przywódcą wyprawy i w tym charakterze

do podróży z nami się sposobił. Na szczęście młody Litwin uważał, że kapłan bardziej ma służyć rozgrzeszaniu występnych uczynków niż zapobieganiu im i dobitnie uświadomił to jezuitcie.

Wynajęty statek, który pod kapitanom Ostrellim (Maltańczykiem i urodzenia) siła podróży po morzu Śródziemnym tudzież Euksyńskim odbył, stał w Malamocco, u wyjścia na Adriatyk i czekał jedynie, aż pogoda się poprawi, co przewidywano z końcem marca.

Kolejną kwestią, która stała przed nami, było zapewnienie sobie alibi na czas rabunku. W tym celu ostatniego wieczora, przed wyruszeniem w daleką podróż, już po zamknięciu kościoła zaprosiliśmy zakrystiana na wino do tawerny zaraz za Szkołą Świętego Rocha i siedzieliśmy tam aż do północks, co mogło potwierdzić mnóstwo świadków. W tym czasie swoją wielką rolę odegrał Gog. I próżno by szukać kogoś, kto mógłby być bardziej niż on sposobny do tego dzieła.

Co się tyczy pochodzenia Murzynów, istnieją dwie teorie. Jedna głosi, iż są to spaleni etiopskim słońcem potomkowie Chama, którego przeklął ojciec Noe, drudzy zaś twierdzą, że pochodzą od małp, które jakiś dobrotliwy misjonarz ochrzcił przez pomyłkę, obdarzając nieśmiertelną duszą. Co do tej drugiej wersji, mam znaczne wątpliwości, wiadomo bowiem, że czarnoskórzy Negrzy żyli na świecie długo przed narodzeniem Jezu Chrysta i działalności jego apostołów i misjonarzy.

Tak czy owak Gog z ludu Pigmejów miał mnóstwo cech małpich, zwłaszcza jeśli idzie o zwierzęcą zręczność wpinania się po drzewach, murach, linach, a także przeciskania się przez otwory tak wąskie, że zdawało się to wręcz niemożliwe.

Zajęty biesiadowaniem z zakrystianem, mogłem sobie tylko wyobrazić, jakim sposobem sługa *il dottore* wykonał swoje zadanie: jak po ścianie dzwonnicy, tureckiemu minaretowi podobnej, wspiął się na dach, wybił jedno z okienek nawy głównej, jak przepchnął się przez maswerk, opuścił na poprzeczne belki rozpierające nawy, a potem przeskoczył na żyrandol. Lubo niemowa pokazał nam później gestami, jak bardzo obawiał się, że konstrukcja zarwie się pod jego ciężarem i runie na posadzkę, aliści łańcuch wytrzymał. Nie poraziła Goga również kara boska, gdy z pomocą dłutka odrywał obręcz od żelaznego koła. Powtórzył ten zabieg z drugim świecznikiem, po czym okręciwszy się złotą taśmą niczym mumia egipska za pomocą liny powrócił tą samą drogą, którą przybył.

Galeon pana Skirgiełły wyszedł w morze o świcie 16 kwietnia. Ale jeśli by ktoś z Wenecjan zechciał go skontrolować, nie znalazłby niczego. Razem z Gogiem i jego złotymi bandażami czekaliśmy w małej łódeczce za Lido, ukryci we mgle, która dopiero koło południa zaczęła się podnosić.

– Kobieta – wyjaśnił magnatowi moje spóźnienie Lennox.

Pan Skirgiełło tylko się uśmiechnął, bo choć był człkiem pobożnym, gorący temperament Wenecjanek znał nie tylko z opowieści.

Na nieco sztywno poruszającego się Goga nikt nie zwrócił uwagi.

Przez pierwsze trzy dni huśtało paskudnie, toteż bardzo chorzy przeważnie polegiwaliśmy na kojach i ani w głowie były nam lingwistyczne dociekania. Morze uspokoiło się dopiero, kiedy dotarliśmy do Zary (przez miejscowych posługujących się jednym z południowosłowiańskich dialektów Zadarem nazywanej), gdzie ostać musieliśmy przez pięć dni z racji przeciwnego wiatru, określanego przez mych ziomków *sirocco*, skutecznie uniemożliwiającego żeglugę na południe.

Nasz dobrodziej zszedł na ląd, miasto i fortalicje zwiedzać, gdzie był goszczon przez miejscowego biskupa, nam natomiast wreszcie nadarzyła się sposobność zbadania złotych obręczy, czy raczej taśm, ongiś na prawdziwe obręcze zespalające beczki ze świętym nałożonych. Kto i po co je nałożył? Alonso podejrzewał któregoś z ostatnich egipskich Aleksandrytów, pragnących zapewne, aby tajemnica starożytnego pisma nie poszła w zapomnienie. Ale dlaczego w Europie nikt nie odebrał przesyłki? Cóż, początek IX stulecia był kresem ogromnego zamieszania i chaosu, rozpadało się imperium Karola Wielkiego, a na domeny jego sukcesorów ruszyły watahy Węgrów i Waregów. Może adresat w międzyczasie pomarł albo nie mógł dostać się do Wenecji? Zastanawialiśmy się również, czemu złote pasy nie wzbudziły podejrzeń Saracenów, ale Alonso odnalazł drobiny smolistej farby w zagłębieniach dowodzące, że w trakcie pamiętnej podróży owe obręcze pomalowano na jakiś odrażający kolor, a skrobać nikt jakoś się nie poważył.

Pierwszych trudności nastęczyła próba dopasowania kręgow. Po rozwinięciu ten z greckimi literami okazał się o dwa cale krótszy i wyglądało, że nasza „konceptja słownikowa” upadnie, na szczęście Lennox zauważył, że pas „grecki” został zawinięty i sklepany, ale po wyprostowaniu pasował idealnie do egipskiego. Mając obie obręcze równej długości, mogliśmy próbować je dopasować, nakładając na bęben upleciony z wikliny. Na obu obręczach znajdowały się po 24 znaki odpowiadające 24 literom klasycznej greki. Niestety, ci, którzy sporządzali taśmy, nie zadbali, aby początek jednej był tożsamy z początkiem drugiej. Tak więc nieco bezradnie kręciliśmy obiema obręczami, aż Alonso zwrócił uwagę na znak przypominający tarczę słoneczną, a następnie zaproponował umieszczenie pod nim greckiej litery Rho. Przypomniało mi się, co Mistrz opowiadał o roli Słońca w wierzeniach starożytnych Egipcjan i o tem, iż imię Ramzes oznacza syna Słońca, *ergo Ra* może znaczyć samo Słońce. Niewiele wiedzieliśmy o piśmie starożytnych

Egipcjan. Uznaliśmy jednak, że skoro papirus będący w posiadaniu *il dottore* został sporządzony w języku greckim, na dodatek sposobem uproszczonym, alfabetycznym, właśnie on musi naszym „słownikiem”.

Znalazłszy odnośniki hieroglificzne dla wszystkich liter, sięgnęliśmy po starożytny papirus. Jego odczytanie okazało się łatwiejsze, niż przypuszczaliśmy.

Chwalenie się nie należy do cnót, jednak nie mogę nie napisać, że gdy pan Skirgiełło powrócił z Zary, a wiatr pozwolił wreszcie na podniesienie kotwicy, znaleźliśmy już pełny tekst manuskryptu ze zbiorów *il dottore* i wiedzieliśmy, dokąd powinniśmy się udać i czego tam szukać.

Dalsza podróż szła nam wyśmienicie. Przepędziwszy jeden dzień w uroczej Raguzie, wśród rybaków wystawiających na targu swe morskie trofea, w połowie kwietnia minęliśmy wyspę Korcyrę, a późną nocą jej siostrzycę, górzystą Kefalonię, podle której leży Itaka, domena przemądrego Ulissesa. Następne dwa dni popasaliśmy Zante, zwanej po grecku Zakynthos, z której zamków i klasztorów widać wybrzeża pobliskiego Peloponezu i tamtejszej Arkadii. Ostalibyśmy i dłużej ale drugiej nocy naszego wywczasu zatrzęsa się ziemia, co podobno jest tam zjawiskiem częstym i z tego powodu miejscowi budują domy bardzo niskie o lekkich dachach. Wstrząsy tubylcy uznali za słabe, nam jednak starczyło wrażeń i powróciliśmy na nasz korab. W parę dni później minęliśmy przylądek Matapan, który nazywają południowym kresem Europy, potem wyspę Kythere, z której – wedle starożytnych – Parys uwiózł piękną Helenę do Troi. Na dłużej zatrzymaliśmy się w Paleokastro, opodal kreteńskiej Kandii, gdzie podejmował nas osobiście Niccolo Donato, gubernator wenecki, tu noszący tytuł *duce di Kandia*.

Dużo rzeczy można by na tej Krecie zwiedzać, łącznie z legendarnym labiryntem Minotaura, do którego autochtoni chętnie prowadzą za niezłą opłatą, atoli zdarza się, że amatorzy podążający szlakiem Tezeusza przepadają bez wieści, a w kruchcie kościoła w Kandii pokazywano mi siwobrodego starca, ponoć niemieckiego margrabiego, którego spędziwszy w podziemiach miesiąc, doznał pomieszania zmysłów i tak mu zostało. Wszelako inni zapewniali nas, że podziemna konstrukcja Dedala mieściła się gdzie indziej i dopotąd jej nie odnaleziono, poza tem musieliśmy, korzystając z dobrej pogody, płynąć dalej, na Cypr, do portu zwanego Limassol. Po drodze 26 maja odwiedziliśmy piękną zatokę i miejscowość Pafos, co po grecku oznacza pępek i upamiętnia miejsce, w którym Wenery (po grecku Afrodyta) wyłoniła się z piany morskiej, co tak pięknie na zlecenie Wawrzyńca Wspaniałego

namalował Sandro Boticelli, posługując się książeczą kochanicą jako modelką. Powtarzam w tym miejscu powszechnie krążącą opinię, choć wedle innych dziejopisów Simonetta Cattaneo Vespucci związana była z młodszym bratem wielkorządcy Florencji, Gulliano.

Zawsze staje mi ona przed oczyma, kiedy rozmyślam o roli fatum. Owa najpiękniejsza kobieta Italii żyła jedynie dwadzieścia dwa lata, zabita przez płucną tuberkulozę. Jej kochanek cieszył się urokami tego świata niewiele dłużej – dwa lata po jej śmierci, też w kwietniu, padł w kościele Santa Maria del Fiore pod razami spiskowców z rodziny Pazzich (naliczono później siedemnaście ciosów sztyletem). W dodatku nie ma żadnego dowodu, że Botticelli widział ją kiedykolwiek naga. Obraz *Wiosna* powstał sześć lat po jej śmierci, *Narodziny Wenus* w dziewięć, ergo był to najprawdopodobniej „akt imaginacyjny”. Istnieje jeszcze jedna, bardziej przerażająca możliwość zakładająca, iż ciekawy świata Sandro uczestniczył w zakazanym procederze wykradania zwłok, a następnie badania ich na stole sekcyjnym, (Sam to czyniłem podczas mych paryskich studiów). Jednak pomysł, że ciało Wenus mogło być oglądane przez malarza w pierwszej fazie rozkładu, wzbudziło we mnie taką odrazę, że nawet urok zatoki Pafos nie był jej w stanie przegnać.

Swego czasu rozmawiałem o tem z il *dottore*, jemu jednak obce były malarskie fascynacje oraz estetyczne zastrzeżenia, rzekł tylko, iż o wiele bardziej ciekawi go kuzyn męża Simonetty, Piero Vespucciego, również pochodzący z Genui, niejaki Amerigo, słusznie nazywany szczęściarzem, który, będąc prawie równolatkiem Simonetty, nie tylko ukradł znaczną część sławy Kolumbowi, ale jeszcze ochrzcił swym imieniem dwa kontynenty Nowego Świata. No i żył trzykroć dłużej niż jego piękna powinowata.

Powiadają, że kąpiel w zatoce Pafos ma zapewniać wieczną młodość i urodę, toteż wszyscy prócz młodego księżulka, który mimo namów nas wszystkich, nie chciał ściągnąć sutanny, i Dawida, który uskarżał się na dolegliwości kataralne, zanurzyliśmy się w wodzie, jeszcze trochę zimnej, wszelako znakomicie orzeźwiającej.

Dotarłszy do portu Limassol, byliśmy świadkami niezwykłego zdarzenia. Oto pojawił się jakiś szaleniec, Turek, gotów za miedziaka porzezać się do krwi, na chwałę swego padyszacha, a gdy daliśmy mu monetę, rozciął sobie dwakroć skórę na piersi, krwią bryzgając na wszystkie strony. Twierdzono potem, że wskutek zażywanych ziół tego rodzaju osobnicy nie odczuwają bólu, a rany własną ręką zadane goją się na nich nad wyraz prędko.

Na wszelki wypadek na bazarze nakupowałem miejscowych ziół wraz z instrukcją, co czemu służy, aby sporządzając na przykład wywar miłosny, nie wywołać mimo woli rozwolnienia.

Z Limassol lądem przejechaliśmy do Larnaki, oglądając po drodze niezwykle saliny, w których z wody morskiej pozyskiwana jest najprzedniejsza sól. W Larnace pan Skirgiełło najął okręcik zwany przez miejscowych *karamuzan*, z arabskim kapitanem wyznającym chrześcijaństwo, co nie jest tu wcale taką rzadkością, jak się zdaje, i po ofiarowaniu dość wygórowanego bakszyszu miejscowemu kadiemu, od którego zależało wyjście w morze (statki oczekujące na pozwolenia nie miały żagli ni wiosła), ruszyliśmy ku południowi, biorąc kurs na Damiettę – egipski port położony w odległości 80 mil na południe od Cypru, na wschodnim ramieniu nilowej delty. Prócz naszej czwórki i księdza Stanisława towarzyszyło nam jeszcze trzech zbrojnych z Rzeczypospolitej rodem: Jędrzej, Chwedko i Miłosz, o wążach sumiastych i krzepkich ramionach, którzy – jak twierdził litewski magnat – gotowi byli w ogień za nim pójść, a warci byli więcej niż cała rota wojska.

Wiatr nam sprzyjał, toteż o zmierzchu trzeciego dnia podróży weszliśmy w skrajną odnogę Nilu, nad którą wznosił się zamek Damietta. Dokoła mnóstwo było zielonych pól, a na nich kłębiła się kaczek i innego miejscowego ptactwa obfitość, także nie brakowało bocianów, z których, jak mówiono, większość z wiosną do północnych krain odleciała, wszelako niektóre, z przywiązania bądź przyrodzonego lenistwa, w Egipcie pozostały.

Zaraz zainteresowali się nami celnicy, którym przedstawiliśmy się jako kupcy, wiedząc, iż jesteśmy wśród ludów wyznania handlowego, dla których pielgrzymowanie czy naukowa ciekawość mogą być grzechem, handlowanie nigdy. Przebraliśmy też księdza Stanisława w świeckie szaty, który wprawdzie wołał, że woli śmierć męczeńską ponieść, niż ze stroju duchownego zrezygnować, i dopiero Alonso wyjaśnił mu, że na męczeństwo liczyć za bardzo nie może, natomiast na wytrzebiecie i sprzedanie do haremu na eunucha jak najbardziej.

Celnicy przetrzepali nasze bagaże, dziwując się wielce, że nie mamy przy sobie żadnych produktów na sprzedaż, ale pan Skirgiełło powiedział im, że nasze towary są już w Kairze, toteż, poprzestawszy na niewielkim bakszyszu, puścili nas dalej.

Najęliśmy felukę, niewielką łódź z trójkątnym żaglem, którą prowadziło dwóch miejscowych żeglarzy, czarniawych jak ił nilowy, zręcznie wymijających rozmaite potwory, jakich nie brakowało w rzece: już to wielkie paszcze hipopotamów, które, gdy rozzłoszczone, mogą jednym kłapnięciem przeciąć łódź na połowę, także krokodyle, smoki przypominające i nie mniej od nich niebezpieczne, albowiem gruba skóra stanowiła nieprzebijalny pancerz nawet dla strzału z rusznicy.

Widzieliśmy natomiast śmiałka pływaka, który za niewielką opłatą zademonstrował nie lada kunszt i brawurę od tyłu nurkiem podpływając do bestyi, by jednym ruchem wielkiego noża brzuszysko jej rozplatać, samemu szybko z życiem uchodząc.

Ciepło było ekstraordinaryjnie, jak w naszych stronach zdarza się jeno w lata najgorętsze, a w powietrzu utrzymywała się drobna zawiesina kurzu z pustyni, które z obu stron na żyzną dolinę napierają. Wszędy rosły palmy, a w kanałach obok rzeki idących wylegiwały się szerokorogie krowy, ledwo nozdrza ponad wodę wyściubiające, i chlapały się gromady dzieci, kompletnie nagich i osobliwie brunatnych. Zdumiewająca też była ich niezwykła predylekcja do pływania, widoczna nawet u dzieciątek, które ledwie rok mają, a już na karku rodziciela albo tylko za rękę go się trzymiąc, płyną niczym rybka bez najmniejszego lęku. Tam, gdzie domy dochodziły do samej wody, tubylce zażywali jeszcze innej rozrywki, skacząc z wysoka na głowę lub nogi w nurt i nic nie robiąc sobie z sąsiadów pływających się tuż obok.

Trzeciego dnia podróży wokół rzeki pojawiło się jeszcze więcej chat zapowiadających zbliżanie się do wielkiego miasta, ale nim dostrzegliśmy sam Kair, w olśniewającym słońcu, niczym miraż, nazywany przez Arabów *fata morgana*, wyloniły się ogromne, zdumiewające ostrosłupy – owe legendarne piramidy, o których jeszcze wielki Herodot pisał, a które mimo dziejowych i pustynnych zamieci trwają pięć tysięcy lat, a może i więcej. A potem ujrzeliśmy Kair, który lubo bliżej nas położony, ukazał się później niż piramidy. Miasto było rozległe i ludne, jakby spędzono tu wszystkie narody z nieurodzajnej pustyni, zabudowane nisko, wszelako ze sporą liczbą kopuł nakrywających meczety, którym towarzyszyły strzeliste kolumny minaretów. Już w mieście przybiliśmy do zielonej wyspy pełnej ogrodów, rozdzielającej dwa nurty Nilu. Mieścił się tam najlepszy karawanseraj w Kairze, w którym stanęliśmy na parę dni. Krom insektów, pajaków i jaszczurek, którymi nikt się nie przejmował, odpowiadał swojej renomie. Dość powiedzieć, że wychodek i kamienna umywalka z doprowadzoną wodą mieściły się przy każdym pokoju, co w Europie rzadko w jakim pałacu się przytrafia. Zdaniem Ibaneza wynikało to nie tylko z panującego gorąca, ale przede wszystkim z faktu, iż muzułmany, modląc się pięć razy dziennie, przed każdą ceremonią obmywają swe ręce, a nierzadko całe ciało.

Tymczasem towarzystwo pana Skirgiełły, miłe i użyteczne, gdy przychodziło podróżować lub bronić się przed natarczywymi przekupniami lub złodziejaskami, których tu nie zbywało, zaczynało nam nie tyle ciążyć, ile przeszkadzać w realizacji planów. Zwiedziliśmy jeszcze wspólnie piramidy, wspinając się na szczyt najwyższej z nich. Lennox wykpił się twierdząc, że miewa zawroty głowy, i pozostał na dole z księdzem. Weszliśmy tedy we czwórkę, pan Skirgiełło, Alonso, Gog i ja, docierając aż na niewielki placzyk na szczycie, gdzie troje ludzi spokojnie mogło się pomieścić.

Litwin wyraźnie poruszony, utkwivszy wzrok w znajdującym się poniżej piramid Sfinksie, opowiadał, że czuje się jakby spoglądały na niego wszystkie wieki i zdarzenia, które ongi się tu rozegrały. Ja wolałem aż tak nie uruchamiać wyobraźni, bo w pierwszej kolejności musiałbym zobaczyć onych idących w tysiące nieszczęsnych arabusów przymuszonych do pracy na rzecz faraona, mrących pod palącym słońcem i miażdżonych przez osuwające bloki skalne.

Że tradycja niewolnictwa dopotąd nie umarła, przekonaliśmy się, odwiedzając w czwartek (drugi prócz poniedziałku dzień targowy) miejscowy główny targ zwany tu *bizzar* lubo *suk*. Rozmiarem swym, gwarnością i różnorodnością przekraczał on wszystko, com dopotąd widział. A było tu zda się wszystko, od broni, tak białej jak palnej, dywanów, naczyń orientalny modłą cennymi kamieniami ozdabianych, lamp, fajek wodnych (nargilami zwanych) po owoce świeże i kandyzowane, wszelkiego autoramentu. Nie brakło też zwierząt: koni, wielbłądów, małpi kotów, najrozmaitszego ptactwa. Jeśli czego mogło brakować, to chyba tylko niewiast wśród sprzedających i kupujących, które, jak we wszystkich krajach wyznających religię Proroka, trzymane są po domach i ledwie przez wąskie kratki, niewidziane z zewnątrz, mogą na miasto spojrzeć. A jeśli która wyjść musiała, to wyłącznie w towarzystwie męża bądź kuzyna, od stóp do głów spowita, tak że jedynie wejrzenie wykrojonych w migdał oczu w wąskiej szparze połyskujących mogło wyobrażenie o urodzie miejscowych dam.

Ten brak mogliśmy powetować sobie z naddatkiem, zaszliśmy na targ niewolników, gdzie sprzedawano Murzynów, tak z głębi Afryki przywiezionych, jak i miejscowego chowu. Było ich ze siedmiuset, a niewiast ledwie z setka mniej. Wszyscy nadzy, jeśli nie liczyć kawałków szmaty, którymi dorośli sromotę zasłaniali. Zresztą, gdy znalazł się kupiec, to bez żenady owe szmaty podwijał, jak kury macał i w gębę niby koniowi zaglądał.

Litość zdjęła mnie nad ową mizerią, boć zgodnie z nauczaniem naszego Kościoła, byli to ludzie, choć Murzyny, z drugiej strony zdjęła mnie odraza, gdym spojrział bliżej na te rozmaite oszpecenia u każdego z rabów – uszy przekłute, wargi z wetkniętym w nie kołkiem bądź krążkiem rozciągnięte aż do brody, nosy obręczami lub kulkami rozepchane...

Zwietrzywszy w panu Skirgielle nabywcę, handlarze dopadli go, łamaną włoszczyzną namawiając na kupno. Lubo ostrzegano nas, że chrześcijanom choć wolno niewolników kupować, pod karą gardła wywozić ich nie wolno. Chociaż, jak się dowiadywał Alonso, każde prawo jest do obejścia. Można bowiem sporządzić umowę, iż wywozi się niewolnika dla zamieszkującego w Europie muzułmanina i, uiściwszy stosowne opłaty, wejść w posiadanie czarnego sługi bądź służącej.

Pan Skirgiełło do kupowania się nie kwapił – głową kręcił, rękami machał, ale handlarzy to nie zniechęcało. Okazali mu na koniec Maję – zaiste Wenus prawdziwą. Dziewczę liczyć mogło sobie ledwie trzynaście lat i figurę miało nadobniejszą niż Simonetta Vespucci. Był w niej wdzięk długonogiej gazeli, potęgowany przez oczy wielkie, sarnie. Piersi miała drobne, niezwykle kształtne i z wyglądu twarde jak niedojrzałe jabłka. Na dodatek musiał wśród jej przodków zawieruszyć się ktoś z Europy, płeć jej była bowiem jasna jak miód spadziowy, a włosy proste, zgoła nie wełniste, choć czarne jak skrzydło kruka.

Kupiec zauważył nasze zainteresowanie, bo przystąpił do pana Skirgiełły ze zdwojoną energią, odsuwając umiejętnie księdza Stanisława, który coś gorliwie usiłował wielmoży szeptać do ucha.

– Prawdziwy to rarytas, który nie zaznał jeszcze mężczyzny – zachwalał handlarz, mlaskając oblesnie. – Chce wielmożny pan sprawdzić? – Takż dodawał, że w rozliczeniu mógłby wziąć od nas Goga, który, choć mały, ale z rozrośniętymi barami przyciągał wiele oczu, co w nim samym budziło wyraźną złość.

Tymczasem spojrzenie dziewczyny, niezwykle uważne i pełne szczególnego zaciekawienia, przemieniło się wręcz w błagalne, gdy pojawił się reflektant: tłusty, stary Turek, który wysiadł właśnie z lekyki. I z miejsca dziesięć tureckich czerwońców za młodą niewolnicę zaoferował.

Ku memu zdumieniu usłyszałem głos pana Skirgiełły tłumaczony przez Alonsa:

– I jeszcze pięć!

Turek prychnął z oburzenia i przekląwszy nas do siódmego pokolenia, zaoferował dwadzieścia czerwońców za młodą Mulatkę.

– I jeszcze pięć! – powiedział z niewzruszonym spokojem pan Skirgiełło.

Przy trzydziestu Turek zaczął bardzo się pocić, przy czterdziestu spurpurowiał, przy pięćdziesięciu pobladł, przy sześćdziesięciu zda się uszło z niego całe powietrze, a przy siedemdziesięciu zaczął chwiać się na nogach.

Maja poszła ostatecznie za osiemdziesiąt tureckich talarów, co podobno było transakcją dnia.

– Na miłość boską, co pan najlepszego uczynił? – jęczał ksiądz Stanisław. – Zali przywiezie pan to nieboskie stworzenie do kraju?

– Przywiozę! Mam pięć wsi tatarskich i jak trzeba wystawię dokument, że tam ją wiozę jako oblubienicę.

– Ale co potem? Co potem? – spowiednik był w tym momencie bledszy niż Turek pod koniec transakcji.

– Przyuczmy ją do pracy na dworze. Zaiste pięknie będzie wyglądała w liberii – wyznał Skirgiełło, choć wyczułem w jego głosie coś, co pozwoliło mi wyobrazić sobie jego myśli: „A bez liberii jeszcze piękniej”.

– Sam bym ją kupił, gdybym miał dosyć pieniędzy – mruknął do mnie Alonso.

Dziewczynę okryto tuniką i oddano w nasze ręce. Ksiądz zamilkł na dobre, jeśli idzie o naszych trzech wojaków, ich marsowe lica pozostały nieprzeniknione.

Najciekawsze nastąpiło po powrocie do seraju, kiedy dziewczyna padła na kolana przed Skirgiełłą i poczęła mu bić pokłony. Nieco zaszokowany wielmoża podniósł ją z klęczek i kazał usiąść. Najbardziej jednak zdumiał się, gdy dziewczyna na widok podróżnego ołtarzyka stojącego w komnacie przeżegnała się szybko.

– Jesteś chrześcijanką? – zapytał po arabsku Alonso.

Potwierdziła. Zaraz okazało się, że wprzód należała do bogatego przedsiębiorcy koptyjskiego, który, popadłszy w długi, umarł ze zgryzoty, a jego mienie i ruchomości – w tym również niewolników, nie wyłączając murzyńskiej konkubiny, sprzedano na licytacji.

Okoliczności nieco udobruchały księdza Stanisława, choć zgnębiła go decyzja możnowładcy, że Maja będzie spać w jego pokoju. „Dla jej bezpieczeństwa” – jak zaznaczył.

Przy okazji ujawniły się plany Skirgiełły, który zamierzał płynąć dalej na południe, dotrzeć do Luksoru, odwiedzić legendarne świątynie w Karnaku, a kto wie, może zapuścić się aż do pierwszej katarakty.

To może być ryzykowne – powiedziałem – zwłaszcza w towarzystwie tej dziewczyny.

– Dlatego, aby nie rzucać się w oczy, zamierzam przyodziać odzież miejscową – rozkazałem nabyć dżelaby i galabije, także zawój dla mnie i zasłonę dla onej dziewczyny, tak by mogła uchodzić za moją żonę.

Pomyślałem, na jakie też męki skazuje to naszego księdza, ale nie powiedziałem ani słowa.

– Chcecie nam towarzyszyć w tej wyprawie? – pytał dalej Skirgiełło.

– Dziękuję za ofertę – odparłem – ale chcielibyśmy jakiś czas zabawić w Memfis... Możemy spotkać się w Ziemi Świętej. Powiedzmy... za miesiąc.

A zatem dokładnie za miesiąc spotykamy się przy murze Świątyni Salomonowej – zakończył arystokrata.

Nie da się z całą pewnością stwierdzić, czy „ludzie poprzedni” żyli jeszcze za czasów Starego Państwa, czy wymarli wcześniej – pozostawiając swój skarbiec pod opieką wybranych kapłanów, wedle świadków wglądających na ludzi innej rasy niż ci wychwalający Amona w Karnaku czy doglądający świętych byków w Memfis, może zresztą byli potomkami „poprzednich”, zważywszy dziwne kształty, chuderlawe ciała, trójkątne wielkie głowy i zielonkawy odcień skóry... – stało w odczytanym przez nas papirusie, który otrzymałem od il dottore – Wiadomo, że do Labiryntu pielgrzymowały przez wieki następne generacje kapłanów, architektów i faraonów, a niektórzy powracali z wiedzą zaiste niezwykłą, jak Imhotep, twórca pierwszej, niewielkiej jeszcze piramidy w Sakkarze. Nie ulega też wątpliwości, że tam właśnie należy szukać niezwykłych umiejętności medycznych Egipcjan, przejawiających się choćby w sztuce balsamowania. Także stamtąd biorą się prapoczątki matematyki czy astrologii. Mówi się również, że bardzo chciał odwiedzić Labirynt Aleksander Wielki, ale zdaje się, iż udało się to jedynie jego diadochowi Ptolemeuszowi I, noszącemu przydomek Soter. Nie jest zresztą pewne, czy nie pokazywano gościom innych podziemnych budowli, jakich nie brak było nad jeziorem Moeris, skrywając przed ich oczyma prawdziwego przedwiecznego Labiryntu. Z pewnością takiej mistyfikacji uległ Pliniusz i kilku innych. Mówią też, że nieprawdą jest, jakoby od floty Cezara splonął zastrzeżony zbiór przechowywany w centralnej Bibliotece Aleksandryjskiej, zwanej Bruchejon, z dymem poszły jedynie kopie pism najdawniejszych, oryginały bowiem przechowywano w Labiryncie. Także gdy chrześcijanie z rozkazu patriarchy Teofila w roku 391 od narodzin Chrystusa niszczyli świątynię Serapisa, główne dobra Serapejonu, rychło zresztą odbudowanego, były już bezpiecznie ukryte. Może nawet ukryto je zbyt dobrze, albowiem gdy w czasach późniejszych poszukiwano wniścia do Labiryntu, wszelkie wysiłki okazały się daremne, a on wręcz ze wszystkimi zgromadzonymi skarbami znikł na dobre, tak jakby pochłonęły go piaski wielkiej pustyni.

Wszelako obowiązkiem Dwunastu jest chronić pamięć o Źródle, także przekazać potomnym wskazówki, jak je w potrzebie ocalić.

Trzeba tedy w Dniu Świętego Jana przybyć na miejsce i postępować ściśle wedle wskazówek, zachowując ostrożność, tajemnicę wobec postronnych i pokorę wobec Boga, albowiem nic nie może zdarzyć się wbrew jego woli.

Ponieważ do Świętego Jana pozostał nam ledwie tydzień, musieliśmy zdrowo wyciągnąć nogi, aby znaleźć się o właściwym czasie we właściwym miejscu.

Wyruszając w stronę Fajum, niezwykle zdziwiła mnie obecność na punkcie zbórnym polskiego jezuitę.

– Co on tu robi? – zawołałem do rozmawiającego z nim Dawida, odciągając go na stronę.

– Bardzo prosił, aby mógł dołączyć do naszej kompanii – zaczął tłumaczyć Lennox. – Nie chce towarzyszyć w grzesznej ekspedycji panu Skirgielle, któremu rozum czarna czarownica zmaćła, a ostać sam w Kairze się boi.

– Ale chyba nie powiedziałeś mu o celu naszej wyprawy? – do naszej rozmowy włączył się Alonso, który zdenerwował się nie na żarty.

Dawid spuścił głowę jeszcze niżej.

– Powiedziałem, aliści pod rygorem tajemnicy spowiedzi.

I co mieliśmy zrobić? Jezuita nam w zasadzie nie przeszkadzał i, co wyraźnie ucieszyło Hiszpana, ściągnął na siebie cały afekt Lennoksa, dotąd ogniskujący się wokół muskularnej sylwetki Ibaneza.

– Myślisz, że zostali kochankami? – zapytałem któregoś dnia, kiedy z Alonsem wysforowaliśmy się na czoło ekipy.

– Nie mam pojęcia. Nie zaglądam im do namiotu.

Do Fajum udaliśmy się karawaną złożoną z trzech wielbłądów juczych, czwórki koni wierzchowych i mulicy, na której poruszał się jezuita. Towarzyszyło nam pięciu Arabów, ponoć uczciwych i godnych zaufania (polecił ich sam konsul Republiki Weneckiej w Kairze) pod przywództwem niejakiego Mustafy, osobnika, któremu wprawdzie brakowało czterech zębów z przodu ale brak ten rekompensowało sześć palców u nóg co ponoć cechuje ludzi wybitnych. Lub, to zdanie ojca Stanisława, „szatanowi posługujących”.

Nie zatrzymując się nad jeziorem Moeris, należy dążyć drogą w kierunku Małej Oazy. Po jednym dniu drogi trzeba skrócić w stronę góry w kształcie wielbłąda. Z przełęczy widać osadę wokół starej studni. Tam należy stanąć i czekać na świt świętojański...

Nie wiem, jak stary był manuskrypt, wszelako postępując zgodnie z jego wskazaniem, udało nam się odszukać wymienioną górę. Co do osady, pozostało po niej ledwie kilka kamieni. Wspomniana studnia wyschła, choć miejscowi wskazali miejsce, gdzie jeszcze trzy wieki wcześniej było krystaliczne źródło.

Czekając na nadejście 24 czerwca, przespaliśmy tam dwie noce. Towarzyszyły nam skowoty szakali, krążących wokół obozowiska, a patrząc na niebo, odnosiłem wrażenie, że jest nieco bliżej położone niż u nas, zaś gwiazdy większe i świecące mocniejszym blaskiem.

Zastanawialiśmy się, czy nie popełnimy jakiejś omyłki w terminie. Manuskrypt sporządzono niewątpliwie w dobie obowiązywania kalendarza juliańskiego, my zaś posługiwaliśmy się gregoriańską rachubą czasu... Czy różnica w dacie mogła zdecydować o jakiejś istotnej pomyłce?

– Sądzę, że aleksandrycy mieli na myśli kalendarz uniwersalny zgodny z układem gwiazd i nie bez powodu wybrali najdłuższy dzień roku – powiedział Ibanez. – Zresztą, rychło się przekonamy.

24 czerwca obudziłem się przed świtem. Kamienny słupek mogący posłużyć za gnomon postawiliśmy jeszcze poprzedniego dnia.

Mogłem się na własne oczy przekonać, że bliżej równika brzask bywa o wiele gwałtowniejszy, a ognisty wóz Heliosa wyskakuje spoza kręgu horyzontu, tak jakby botki woźnica gwałtownie zaciął konie.

Słońce pojawiło się błyskawicznie. I naraz szary i ponury świat rozbłysnął wszystkimi kolorami, zagrały krople rosy na tkaninach naszych namiotów i pojawił się cień długi, zda się bezkresny.

Dawid odrysował go na ziemi. Teraz należało udać się jak po sznurku na odległość dwudziestu czterech tysięcy stóp, jak stało w liście. Naturalnie, trzymając dzięki kompasowi dokładny kierunek.

Aliści gdy do celu pozostało nam ledwie ćwierć mili, nasz kompas ze szczętem zwariował, igła jęła wirować, jakby ukąsił ją skorpion lub inna tarantula.

– Musi pod ziemią być mnóstwo żelaza – stwierdził Alonso, który od żeglarzów słyszał o takich anomaljach, a nawet górach magnetycznych, które potrafią z okrętów gwoździe wrywać, a nawet harmaty ściągać z pokładu.

Szcześnie posługiwaliśmy się również innymi narzędziami pomiarowymi, które pozwoliły utrzymać kierunek i przywiodły nas do podnóża wielkiej diuny, na pierwszy rzut oka niczym nieróżniące się od innych wydm. A jeśli nawet, to na niekorzyść. Z następnych wystawały pionowe, mocno zwietrzałe skały, ta przypominała jedynie wielki kopiec piasku.

– To tu! – oznajmił z pełnym przekonaniem Lennox. A jezuita na wszelki wypadek szybko się przeżegnał.

Nakazaliśmy naszym poganiaczom wielbłądów wziąć łopaty i kopać. Ale ci tylko bili nam pokłony i, tłumacząc, iż jest to miejsce przeklęte, cofali się płochliwie. Chyba tylko troska o zarobek sprawiała, że całkiem nie wzięli nóg za pas, wiejąc aż do Kairu.

– Czego się boicie? – pytał Alonso.

A oni trwożnie odpowiadali, że naruszenie grobów i spokoju królestwa zmarłych oznacza narażenie się na klątwę, której skutki mogą spaść na ich potomków nawet do szóstego pokolenia.

– Ale to nie jest żaden grób – usiłował tłumaczyć Hiszpan.

– Wszędzie są jakieś groby, panie – odpowiadał Mustafa, najstarszy z Egipcjan, uznawany za przywódcę całej grupki.

Gog tylko ręką machną i chwycił za łopatę. Za jego przykładem i my sami wzięliśmy się tedy do roboty.

Rychło, biorąc pod uwagę skwar, wypadło pozbyć się koszul. Torsy spływały nam potem. Do wieczora wszelako nie udało się niczego odnaleźć. Alonso skorygował wyliczenia i kopał dalej przy blasku księżyca. Nie mogliśmy liczyć na Lennoksa, którego jako człowiek z Północy, o cerze do tak mocnego słońca nienawykłej, poważnie poparzony leżał w gorączce, polewany wodą przez księdza.

Nauczeni doświadczeniem przespaliliśmy następny dzień w cieniu wydmy, a wieczorem, ledwie słońce zgasło, znów przystąpiliśmy do dzieła.

Świtało, nie czułem rąk, kiedy łopata Alonsa uderzyła w coś, co zabrzmiało odmiennie od piasku czy drobnych kamyków.

Padliśmy na kolana, rozgarniając piasek rękami. Wstał nawet osłabiony Dawid i opiekujący się nim księżulek.

Naszym oczom ukazał się kamienny stopień z wizerunkami dwóch skrzydlatych sfinksów, potem drugi. Było jasne, że trafiliśmy na schody. O świcie Alonso ogłosił, że podnosi stawkę i Mustafa oraz jeszcze dwóch arabów, widząc, że nic złego się z nami nie dzieje, zabrali się do roboty. Towarzyszył im Gog. Do południa odsłonili dwanaście stopni i wierzchołek płyty kamiennej, ani chybi stanowiącej drzwi.

Godzinę później jeden z Egipcjan krzyknął donośnie, porzucając szpadel. W parzących promieniach słońca ujrzeliśmy ludzką czaszkę, złoty czerep człowieka jeszcze chyba młodego, bo w chwili śmierci zachował prawie wszystkie zęby. Oglądając znalezisko baczniej, doszedłem do wniosku, że nieborak musiał ponieść śmierć gwałtowną, od tyłu bowiem jego potylicza została zmiażdżona silnym ciosem, a barwa wgniecenia nie różniła się od reszty, co wskazywało, że uszkodzenie nie nastąpiło w czasach późniejszych. Kopiąc

dalej, znaleźliśmy cały szkielet, a potem jeszcze trzy inne z podobnymi obrażeniami, tak jakby wszystkich zabito przy drzwiach, po czym przysypano piaskiem.

Chwilę później Alonso, który pracował tak zapamiętale, że aż krew puściła mu się z obtartych rąk, wobec czego musiał je gałganami obwiązać, natrafił na piąty szkielet, leżący nieco z boku. Zaiste potężny, musiał należeć do blisko dwumetrowego mężczyzny. Ów z pewnością nie zginął od ciosu w głowę. Naga czaszka lśniła w słońcu jak kopała świątyni, za to między żebrami kościotrupa znaleźliśmy resztki sztyletu, precyzyjnie wbitego od tyłu, tak by sięgnął serca.

– Sprawa jasna – powiedział Lennox. – Najpierw ów osiłek musiał zabić pięciu swych pomagierów, a potem sam zginął od ciosu...

– Tylko dlaczego dopuszczono się podobnej zbrodni?! – wykrzyknął wyraźnie wstrząśnięty ksiądz Stanisław.

– Zapewne żeby nikt nie zdradził drogi do onych drzwi – odparłem. – Gdybyśmy jeszcze mogli się dowiedzieć, kiedy to nastąpiło...

Rzecz okazała się łatwiejsza, niż przypuszczałem – na kamiennych płytach bezpośrednio pod kościotrupem znaleźliśmy kilka sztuk złota. Wszystkie wybito w latach panowania cesarza Teodozjusza (ostatniego władcy całego imperium), a więc w okresie, kiedy zwycięskie chrześcijaństwo wzięło się na serio za likwidację resztek pogaństwa, a w Aleksandrii zniszczono Serapeum.

– To może oznaczać, że od tego momentu nikt z aleksandrytami włącznie nie odwiedzał tego miejsca – powiedział Lennox. – My jesteśmy pierwsi od ponad tysiąca lat.

– Dziwne tylko, że ten, kto zabił olbrzyma, nie przywłaszczył sobie jego mieszka – powiedziałem.

– Nie sądzę, żeby monety były ukryte w mieszkaniu – wtrącił się Alonso. – Ten wielkolud był człowiekiem zapobiegliwym, choć zapewne nie spodziewał się tak szybkiej śmierci. Miejsce, w którym znaleźliśmy owe solidy, wskazuje, że monety znajdowały się w żołądku zmarłego. Nim zabił pozostałych, musiał je połknąć...

– Przeróżające! – westchnął jezuita.

– Obawiam się, iż musimy być gotowi na więcej takich niespodzianek.

Po usunięciu ludzkich szczątków odsłoniliśmy do końca drzwi. Pokrywała je płaskorzeźba przedstawiająca brodatego mężczyznę z korcem zboża na głowie. Do jego nóg kulił się pies z trzema głowami...

– Czyżbyśmy trafili na grobowiec? – zaniepokoił się Lennox.

– Nie sędę – odparł Alonso. – Grobowca strzegłby Anubis, człek z twarzą szakala, a ten z płaskorzeźby to z pewnością Serapis, w którego świątyni mieściło się słynne Serapeum...

– Serapeum! – wykrzyknąłem niezwykle poruszony. – A więc...

– Jesteśmy tam, gdzie być powinniśmy.

Niestety, zrobiło się już ciemno, toteż poniechaliśmy myśli o otwieraniu wejścia i udaliśmy się na spoczynek, tym bardziej że manuskrypt głosił:

Wejść należy o wchodzie słońca, mając ze sobą jeno kaganki o małym płomieniu!

Cokolwiek miało to oznaczać, nie zamierzaliśmy lekceważyć wskazówek.

Nie uchroniło nas to jednak od nieszczęścia. Nim legliśmy na posłaniach, Alonso wydał donośny krzyk. Dopadliśmy do niego, a Lennox zapalił pochodnię. Coś chciało mnie ugryźć, kiedy sięgnąłem do kosza z figami. Szczęściem chyba uchroniły mnie bandaże.

Oświetliliśmy kosz, a Gog pogrzebał w nim kijem wielbłądnika. Po chwili naszym oczom ukazał się wielki czarny skorpion z odwłokiem wzniesionym do góry, gotowy do następnego ataku. Karzeł uderzył go parokroć kijem, a szabla Dawida dokonała reszty. Obejrzelśmy rękę Ibaneza, chyba nie zdołał go ukąsić. I dzięki Bogu, bo jak twierdzili Arabowie, na ten gatunek skorpiona nie było ratunku.

– Nie słyzałem, żeby ktokolwiek przeżył ukąszenie – powiedział Mustafa, co Alonso bezzwłocznie nam przetłumaczył

– Powinniśmy więcej się modlić, aby opatrzność Boska miała nas w swojej opiece w tym dzikim kraju – powiedział Stanisław nabożnie.

Na wszelki wypadek przeszukaliśmy całe obozowisko, wszystkie bagaże, także węzłki Arabów, ale skorpiona czy innej gadziny nie znaleźliśmy.

– Śmierć zaczęła krążyć i rychło nie przestanie – powiedział Mustafa do Alfonsa. – Poniechajcie panie tego kopania, a nic wam się nie stanie.

Ibanez zaśmiał się na to *dictum*, tłumacząc, że odnalezieni truposze zginęli nie z ręki jakichś demonów, tylko złych ludzi.

– Demony zawsze działają za pośrednictwem złych ludzi – odparł Egipcjanin i dodał zdanie, które Alonso, jak mi się zdaje, zlekceważył: – A te czarne skorpiony to żyją tylko po drugiej stronie Nilu. Tu nie widział ich nikt od lat...

Źle spałem tej nocy. Budził mnie najcichszy nawet szelest. Nie wierzyłem w przypadki, a słowa Mustafy wzbudziły we mnie najgorsze przeczucia. Co my właściwie wiedzieliśmy o młodym jezuitcie? Tyle, ile nam sam opowiedział. Przystał do pana Skirgiełły po tym, jak poprzedni spowiednik zginął w bardzo podejrzanych okolicznościach... W Kairze, można powiedzieć na ochotnika, zgłosił się do naszej ekspedycji. Z drugiej strony, nie mając dowodów, wzdragalem się przed otwartym oskarżeniem go przed współtowarzyszami.

Rano zerwaliśmy się wszyscy skoro świt. Lennox zdawał się nie odczuwać już żadnych dolegliwości związanych ze słońcem. Jenó skóra z ramion poczęła mu schodzić, jak u węża przeżywającego wylinkę.

Zprawa zespalająca płytę wejściową okazała się mocno zwietrzała, tak że uitorowanie drogi zabrało nam ledwie parę minut.

Udało się nawet nie uszkodzić płaskorzeźby. Jeśli ktoś z członków naszej ekspedycji oczekiwał wewnątrz kolejnych trupów, to bardzo się rozczarował. Zaraz za drzwiami znajdował się mały podest, a dalej strome schody idące w głąb ziemi, których kresu widać nie było.

– Ruszamy. – Alonso rozdał przygotowane zawczasu kaganki.

Gog postąpił pierwszy, ja tuż za nim. Najmniejszą ochotę do wejścia na schody okazywał jezuita, ale nie było mowy, żeby pozostał w obozie; i ja, i Alonso, mimo że się nie umawialiśmy, woleliśmy mieć go na oku. Użyłem wreszcie ostatecznego argumentu:

– Obecność osoby duchownej to połowa powodzenia wyprawy!

Arabowie przyglądali się naszym zabiegom z zabobonnym lękiem, ale nie przymuszaliśmy ich do wejścia do środka, i wtedy syn Mustafy, snadź odważniejszy niż inni, zaproponował, że do nas dołączy.

– Brawo, Ahmedzie – zawołał Alonso – nagroda cię nie minie.

Jego ojciec ukrył twarz w dłoniach.

Schody zdawały się nie kończyć. Usiłowałem je liczyć, ale gdzieś przy 125 stopniu utraciłem rachubę, tym bardziej że ze środka poczęła docierać dziwny zapach, jakby mdlący.

Wkrótce znaleźliśmy się w wielkiej komorze, której dno wypełniało spore jezioro, będące niewątpliwym źródłem nieprzyjemnej woni. Połyskiwało czernią, nie przypominając normalnych stawów spotykanych wewnątrz jaskiń. Dawid przykląkł na jego skraju.

– To nie woda! – oznajmił po dłuższej chwili i przybliżył kaganek do powierzchni.

– Ostrożnie! – wrzasnął Alonso, wyrwał mu i ręk lampkę i odskoczył na bok.

A gdy dziwiliśmy się jego furii, wyjaśnił, że sadzawkę wypełnia *oleum* skalne. Ciecz wyjątkowo łatwopalna, wypływająca tu i ówdzie z łona ziemi. Używana w krajach Lewantu jako impregnat, a czasem jako lek.

Niewątpliwie to przed nią ostrzegał papirus, wzbraniając używania pochodni.

Poszliśmy skrajem jeziora, ostrożnie, żeby się nie potknąć i lampki nie upuścić, od zapachu oparów kręciło nam się w głowie, choć zauważyłem, że przeciąg musiał usuwać nadmiar owego gazu. Rychło trafiliśmy na kolejny tunel wydrążony w skale, tym razem kierujący się nieco w górę.

Doprowadził nas do niezbyt wielkiej jaskini, która miała aż cztery wyjścia, nie licząc tego, którym weszliśmy.

– Którędy teraz? – zapytał Lennox.

Oświetliłem sufit. Wydało mi się, że widzę narysowany tam obraz nieba i gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy z Gwiazdą Polarną zaznaczoną jako większa niż inne.

Alonso wyciągnął kompas. Igła uspokoiła się, pokazując prosto na jedno z wyjść.

– Jesteś waśc przekonany? – zapytał ksiądz.

– Z narysowanego gwiazdozbioru wynika, że polecają nam wybrać północ – odpowiedział Hiszpan.

– Ale przecież w tamtych czasach nie było busoli?! – zawołał Lennox.

– Jesteś tego taki pewien, Dawidzie? Wątpliwości te podzielał także nasz ksiądz i dlatego

postanowił zajrzeć najpierw do pierwszego z brzegu korytarza. To znaczy w ostatniej chwili przepuścił przed sobą Ahmeda z lampką. Ten śmiało postąpił krok...

I nagle ziemia rozstała się przed nim, a wibrujący krzyk młodego Egipcjanina rozbrzmiewał długo, odbijając się zwielokrotnionym echem, nim przerwało go śmiertelne uderzenie.

– Jezus Maria! – zakrzyknął przerażony ksiądz Stanisław, cofając się aż za moje plecy.

– Tylko jedno wyjście jest bezpieczne – powiedział Alonso. – I proponuję, abyśmy zaufali manuskryptowi.

To mówiąc, śmiało ruszył w czeluść północnego korytarza.

W samej rzeczy, nic mu się nie stało. Spokojnie przeszliśmy za nim do kolejnej komory, wielkiej jak katedra San Marco i wysokiej jak kopuła San Pietro w Rzymie. Pomieszczenie musiało sięgać prawie samej powierzchni, u szczytu bowiem znajdował się jakiś maleńki otwór, niestety zatkany tak, że odrobina sączącego się światła przypominała krążek wokół Słońca będącego w stanie zaćmienia. Dlatego wewnątrz nie było pełnej ciemności, jeno

półmrok, co wszakże nie wystarczało, żeby ocenić w pełni rozmiary komory i jej wyposażenie.

– Może zajrzemy do manuskryptu? – zaproponował Lennox.

Odczytać tam, gdzie wzrok nie sięga, ugodzić, gdzie ptak nie doleci, a ujrzysz własnych twarzy wielość... – przeczytałem na głos tekst sprzed ponad tysiąca lat.

Zastanawialiśmy się, jak to interpretować, kiedy ksiądz Stanisław zauważył, że w górze, obok otworu, przez który ciecze blask słoneczny, znajduje się jakiś napis.

– Niestety z tej odległości nie da się go przeczytać – powiedział.

– Czekać! – zawołał Alonso. – W czasie zabawy w Wenecji wygrałem w kości od miejscowego optykusa pewien przedmiot, nazywany przez niego teleskopem, który pozwalał oglądać Księżyc, a także statki na morzu. Optykus pisywał o tym wynalazku do samego Galileusza, ale ten nie wykazywał większego zainteresowania, obiecując, z grzeczności, że gdy przybędzie do Serenissimy, obejrzy ową tubę z soczewkami. Zamierzałem go wypróbować, ale wsadziłem na dno sakwy i całkiem zapomniałem...

– Dlaczegoś nie powiedział nam wcześniej? – zawołał Dawid.

– Mówię, że zapomniałem, ale ciągle mam go w bagażach. Czekać na mnie, rychło wrócę!

Ostaliśmy samotrzeć w owej komnacie. Zbliżając się do jej ścian, mogliśmy zauważyć, że staroegipskim zwyczajem całe są pokryte malowidłami, które zachowały swe barwy do dziś. Znalazłem też liczne tafle z metalu wypolerowane niczym lustra, które zacząłem przecierać z wielowiekowego kurzu, nie bardzo zastanawiając się, po co to czynię. Jedna leżała ukośnie na środku pomieszczenia...

Upłynęło sporo czasu i zacząłem się niepokoić, dlaczego Ibanez nie wraca?

Jeszcze bardziej przestraszony był ojciec Stanisław.

– A jeśli on nas tu pozostawi? – pytał.

– Alonsa jestem pewny jak siebie samego – rzekłem uspokajająco.

– Nigdy nie użyłbym takiego sformułowania – wtrącił się Lennox. – Zbytnią pewnością wiedzie do zguby.

Tymczasem Iberyjczyk powrócił, niosąc ów magiczny tubus. Niekiedy mocno i pokazujący obraz niezbyt nieostry, wszelako z jego pomocą dało się odczytać wykonany po grecku napis, tak jakby znajdował się nie u szczytu sklepienia, a na odległość wyciągniętej ręki.

Wpuśćcie słońce.

– Piękna propozycja – poszerzyć otwór. Tylko jak mielibyśmy tego dokonać?! – wykrzyknąłem. – Kamieniem nikt tak wysoko nie dorzuci!

– A od czego mamy guldynkę! – zakrzyknął Dawid.

– A wiecie, że właśnie dochodzi południe ozwał się, jak mi się wydawało, bez związku z naszym dialogiem Alonso.

Trochę później doszedłem do wniosku, że ci, którzy zapieczętowali skarbiec, pozostawiając rozliczne utrudnienia, sprawdzali stan wiedzy przyszłych odkrywców. Dzięki kolejnym zadaniom mogli ustalić, czy znają kompas, czy już wynaleźli teleskop, czy posługują się bronią palną... I w zależności od osiągniętego przez nich poziomu rozwoju dopuścić do jakiejś części posiadanych tajemnic.

Alonso był najlepszym strzelcem w naszym gronie i to jemu przypadł honor oddania strzału w ciemny krąg znajdujący się wewnątrz napisu.

Rozległ się huk, poleciał kurz oraz okruchy wątłej kamiennej osłonki. I nastąpił cud. Do wnętrza podziemnej komnaty wpadła pionowa struga światła. Snop żaru i skondensowanych promieni Słońca stojącego w zenicie. Na Boga! Owa świetlista kaskada idąca kominem wydrążonym w skale padła wprost na jedno z lusterek, którym dopiero co oczyściłem, odbiła się od niego, padła na następne i następne. Podwajając się, potrajając. Przypominało to czary, wszelako było jedynie cudownym rozmnożeniem świetlistej rzeki. Nie minęło kilka uderzeń pulsu, a podziemny pałac stanął w takim blasku, jakby oświetliły go miliony świec.

Staliśmy niemi, zaskoczeni, przytłoczeni i oczarowani zarazem. Jezuita zapomniał się nawet przeżegnać, co zwykł czynić w podobnych sytuacjach. Inna sprawa, że obecna sytuacja nie przypominała żadnej innej. Za sprawą lusterek ujrzeliśmy nie tylko całą kamienną komnatę, ale wszelkie rysunki w świeżych, mocnych kolorach, choć kreślone egipcjańską manierą, tak żywo do nas przemawiające, iż brakowało im jedynie dźwięku i zapachu, byśmy uwierzyli, że

oglądamy świat istniejący naprawdę.

Nie widziałem dopotąd słynnego tryptyku Hieronymusa Boscha przedstawiającego *Ogród rozkoszy ziemskich*, ale wiele o nim czytałem, a w Paryżu kupiłem nawet kopię sporządzoną przez jakiegoś anonima, pełną usterek, ale oddającą zawartość niezwykle malowidła. Wszelako ów raj Boscha był efektem imaginacji, wizji, snu albo jakowegoś upojenia. Natomiast patrząc na to, co przedstawiono tu na ścianach, nie sposób było nie wierzyć, iż jest to obraz świata, który kiedyś istniał. A może, coraz częściej przychodzi mi to do głowy, jeszcze istnieć będzie.

Obrazów były setki, może tysiące, oglądałem je dość krótko, ale przecież wżarły mi się w pamięć tak mocno, że nie zapomnę ich nigdy do kresu dni moich, a jeśli starczy czasu i przeżyję obecne terminy, narysuję je z pamięci jako znak i przesłanie skierowane ku przyszłemu pokoleniom.

Znajdowały się tam gwiazdy otoczone rojami planet którym towarzyszyły księżyce, komety ze świetlistymi ogonami i kosmiczne katastrofy, w których jedne gwiazdy ginęły wskutek eksplozji i powstawały z nich nowe.

Byli też ludzie, podobni nam, może tylko nieco więksi i piękniejsi, ale owe różnice wynikały zapewne z zamierzeń artystów. Ludzie ci kroczyli przez lasy nieprzebyte i zmagali się z potworami, których nie wymyśliłaby imaginacja Jonów czy Achajów. Widniały tam gady wielkości katedry, o cielskach ogromnych i szyjach dłuższych niż u afrykańskiej *giraffy*, którym widział w zwierzyńcu baszy w Kairze, a także inne, bardzo zębate o małych łapach i wielkich łbach. Były bestie pływające, które przypominały delfiny z rekinimi zębami, i latające o wielkich, błoniastych skrzydłach i krokodylich paszczach.

Byłobyż to wyłącznie płodem imaginacji? W jednej chwili greckie chimery, harpie, tyfony, o których tyłem czytałem, wydały mi się ubogą kompilacją rozmaitych straszylek poklejonych mechanicznie, nadmuchanych do znacznych rozmiarów, a przecież niezdolnych do życia. Tymczasem istoty ze ścian były na wskroś realistyczne. Znając się na anatomii, wiem na przykład, że potworniak o dwóch głowach żyć długo nie może – tu wszelako nie znajdowałem żadnego defektu lub elementu niepasującego do reszty. To były postaci zwierząt istniejących naprawdę. Tylko kiedy? Artyści kreślący malowidła ukazywali obrazy katastrof pełne wybuchów wulkanów, tworzących się rozpadlin wypełnionych wrzącą lawą, zapadających się klifów i fal morskich wielkości gór. Pokazywali też glob podobny do naszego, choć kontynenty znajdowały się wobec siebie w innym położeniu, a oglądając skraje planety, nie widziałem owych bezkresnych lodów kryjących dziś polarną Ultima Thule czy poszukiwanego przez żeglarzów lądu południa – *Terra Australis*.

Szedłem dalej, oglądając postępy onej cywilizacji i wspinającej się na szczyty rozwoju, o którym my mogliśmy najwyżej pomarzyć – widziałem pojazdy bez koni, na podobieństwo żuków wypełniające wszystkie pasy poszóstnych dróg, miasta rojne, jedynie siatką ulic i placów naszym podobne i krążące wszędy w powietrzu statki niebieskie bez żagli, napędzane siłą nieznaną.

Poniżej malowideł dostrzegłem skrzynie dobrze zachowane, kryjące zapewne legendę do tych obrazów – i wyobraziłem sobie te wszystkie księgi tłumaczące, jak spełnić marzenia Ikara i Faetona i pozwolić ludziom oderwać się od ziemi, a także jak sprawić, by wszyscy, a

przynajmniej bardzo liczni, żyli niby bogowie, w dostatku, bez chorób, wśród wiecznych przyjemności.

A co mogło kryć się dalej, za gładkimi drzwiami z metalu, teraz pełniącymi rolę zwierciadeł, bez klamek czy gałek umożliwiających wejście? Może znajdowały się tam eksponaty – owe pojazdy samojezdzące i latające, a może laboratoria, a może sami autorzy owych cudów, śpiący snem odwiecznym, chociaż we właściwym momencie być może zdolni do obudzenia. Na razie jednak z zachwytem oglądałem obrazki z tamtego cudownego świata: widziałem domy, w których na płaskich jak papier obrazach wiszących na ścianach rozgrywały się sceny z *theatrum*, cyrku czy hipodromu. Nigdzie nie było świec, jeno promieniste kule, listwy, a nawet litery nieznanego alfabetu jarzące się wewnętrznym światłem. I ujrzałem obraz, który przejął mnie nadzwyczajnie. Oto jeden mąż, przyodziany jakby w kokon z połyskliwej materii, z przyłbicą na twarzy niby ze szkła uczynioną stąpał po pustynnej powierzchni innego świata (byłżeby to nasz Księżyc?), a maleńka Ziemia jarzyła się gdzieś wysoko, ponad jego głową...

Oglądałem przeszłość czy przyszłość? A może jedno i drugie? Gdzież bowiem mógłby się podziąć bez śladu świat tak wspaniały, ludny, barwny, potężny i radosny?

Tak całkowicie radosny to on jednak nie był. Idąc dalej, ujrzelśmy bowiem obrazy strasznych wojen zniszczone miasta, wypalone domy i przede wszystkim wszechobecne sceny mordu: ludzie dekapitowani, obwieszani, popaleni w piecach lub zastrzeleni kulą wymierzoną w tył głowy, wrzucani setkami do długich dołów...

– Tego chcemy, tego naprawdę chcemy? – dobiegł do mnie nagle gardłowy głos Lennoksa. Ale nie zwróciłem na niego uwagi, zbyt bowiem byłem przejęty oglądanymi obrazami.

Zobaczyłem właśnie malowidło przedstawiające detonację większą, niż gdyby tysiąc kartaczy w jednym miejscu wybuchło. Kulę ognia ponad ziemią, na następnym obrazie przekształcającą się w monstrualnego grzyba. Tuż obok widniało miasto na poły zdmuchiwane przez tchnienie gorącego tajfunu, na poły palone ogniem żywym. Byli tam też ludzie zamieniający się we własne cienie na ścianie.

A potem, struchlały, ujrzałem, co pozostało z onej cywilizacji – zdegenerowane niedobitki w osobach karłów o zielonkawej skórze i kończynach rachitycznych dzieci, z wielkimi trójkątnymi głowami i oczami bez powiek pełnymi bezbrzeżnego smutku. Widziałem też pospolitych ludzi, żyjących jak zwierzęta po jaskiniach, odzianych w skóry, o grubych rysach, ohydnych nosach i wystających łukach brwiowych.

Przypisek Aldo Gurbianiego: Czyżby byli to neandertalacy?

Śledziłem cywilizację skurczoną do jednej wyspy na oceanie, którą ostatecznie zatopiło morze (Atlantyda?!) i osady nad wielkim jeziorem, które z pokolenia na pokolenie pożerała pustynia. (Może właśnie tu znajdowała się jej ostatnia reduta, która doczekała Starego Państwa).

– Czyżby przedstawiono nam tu rzeczywistą historię rajy utraconego i potopu? – zapytał cicho Alonso, który niczym duch stanął obok mnie.

– Nie bluźnij, synu! – wychrypiął jezuita, wyraźnie ogłupiały i mocno zdezorientowany.

– Chyba wiem, skąd czerpali energię! – wykrzyknął Ibanez, u którego najsilniejsze nawet wrażenia nie mogły stępić instynktu naukowca. – Z onego oleju skalnego, którego jezioro minęliśmy.

– W takim razie skąd wzięło się to, co przyniosło im śmierć? – wskazałem na kolejne obrazy ogniowej apokalipsy.

– Mniemam, że wyzwolili energię zastrzeżoną dla Pana Boga. Popełnili grzech Prometeusza spotęgowany po wielokroć.

– Ale jak...?

– Nie wiem jak, ale popatrz tylko na te obrazy. – Pociągnął mnie ku ścianie pełnej symbolów, liter i znaków.

Nie bardzo je zrozumiał, ale Alonso, bystrzejszy ode mnie, zaczął objaśniać, że niewątpliwie można wyzwolić z materii energię, której moc stanowi wartość jej samej przemnożoną przez kwadrat prędkości światła.

– To coś niewyobrażalnego – zawołałem. – To by znaczyło, iż funt owego materiału jest zdolny zniweczyć całe miasto.

– I oni to osiągnęli. Na swoją zgubę. Gdyby pokusić się o wzór matematyczny onego procesu, musiałby on brzmieć $E=mc^2$...

– A gdzie się podział pan Lennox? – zapytał nagle ksiądz.

Nie było to pytanie pozbawione sensu. Zafascynowani zawartością komnaty zupełnie nie

zwracaliśmy uwagi na dziwne zachowanie Dawida.

Teraz, kiedy Słońce nie było już w zenicie, blask jego odbić zaczął przygasać, a ściany komnaty jęły pogrązać się w szarówce, poczęliśmy wracać ku rzeczywistości. Zaraz dobiegł nas z oddali odgłos kroków człeka biegnącego bardzo szybko i jego histeryczne krzyki:

– Ludzie nigdy nie mogą tego poznać, nigdy, przenigdy! Niech piekło was pochłonie!

Gog podskoczył z miejsca i chciał gonić za nim, ale powstrzymałem go. Było za późno. Mogę jedynie wyobrazić sobie Dawida, jak biegnie skrajem jeziora pełnego oleju, jak

wspinając się na schody ku wyjściu, odwraca się i ciska za siebie płonąca lampkę. Jak w mgnieniu oka cała powierzchnia zbiornika staje w ogniu, jak zapalają się opary, żar wypełnia korytarze i gna ku nam, bezradnym, nie bardzo zdolnym nawet zrozumieć, co się dzieje. A co dopiero schronić się przed żarem.

Wszelako ktoś pomyślał za nas. I to przed tysiącem lat. Czy sprawił to wzrost temperatury? W każdym razie jedne z owych drzwi bez klamek ustąpiły same, bez naszego szczególnego naporu, tak jakby ktoś zwolnił ukrytą blokadę. We czwórkę skoczyliśmy do wnętrza i z hukiem zawarliśmy za sobą wierzeje. Przed nami były kolejne drzwi, jednak nie w głowie była nam eksploracja następnych pomieszczeń, jeno ucieczka. Szczęśliwie dostrzegliśmy tuż ponad sobą wąski szyb, ale ze skalnymi występami umożliwiającymi wspinanie.

Gog skoczył pierwszy jak mała. Alonso za nim.

Nigdy w życiu nie wspinałem się równie szybko. Ale komu by się marzył los prosiaka upieczonego nad paleniskiem! Tuż za sobą słyszałem sapanie ojca Stanisława, którego desperacja zmusiła do poruszania się na podobieństwo wiewiórki. Wydostaliśmy się z dziury pośród skał i stoczyliśmy po piaskowej krzywiźnie wydmy, dopiero teraz widząc, jak daleko oddaliliśmy się od naszego obozowiska.

I wtedy dokonano się. Nagromadzone gazy eksplodowały, piaszczysta diuna pękła jak bąbel i w górę wystrzelił prawdziwy ogniowy wulkan, by po chwili zgasnąć i zapaść się w siebie.

Co było dalej, nie widziałem, bom zdrowo oberwał w głowę i zapadłem w bezczas ciemny, śmierci podobny. A potem runął na mnie piach, grzebiąc jak onych nieszczęsnych truposzów leżących u drzwi.

Miałem jednak sporo szczęścia. Wieko jednej ze skrzyń wyrzucone wybuchem w powietrze spadło na mnie, ale miast zgruchotać mi czaszkę, utworzyło niewielką komorę powietrzną, która pozwoliła przetrwać kilka pacierzy, podczas gdy moi przyjaciele Alonso i Gog grzebali w piasku, szukając mnie i księdza.

Księdza odnaleźli pierwszego, był nieprzytomny, ale nie wiem, czy wynikało to bardziej z jakichś obrażeń czy przebytego szoku; kiedy Gog zwyczajem pływaków jął mu wdmuchiwać powietrze do płuc, ledwo poczuł jego grube wargi na swoich, ocknął się, krzyknął: *Apage satanas!* i zwymiotował.

Ze mną aż takich kłopotów nie było. Ocknąłem się od pierwszego podmuchu powietrza i otworzyłem oczy. Gog i Alonso wzięli jezuitę pod ramiona, ja spróbowałem iść o własnych siłach. I tak podreptaliśmy w stronę, w której, jak mniemaliśmy, znajdowało się nasze

obozowisko. Powietrze było pełne kurzu, który wcale nie opadał. Przeciwnie – wzmagający się wiatr niósł coraz więcej pyłu z pustyni. Nadchodził samum, aby ostatecznie pogrzebać resztki umarłej cywilizacji.

Część III

Omerta

Dwie poprzednie księgi przyszło mi pisać w nader luksusowych warunkach: pierwszą w Wenecji w oczekiwaniu, aż skończy się czas burz i ruszymy do Egiptu, drugą skrobałem w Aleksandrii, również podczas oczekiwania, tyle że na statek. Trzecia powstaje w okolicznościach daleko bardziej skomplikowanych i nie wiem nawet, czy zdoła trafić kiedykolwiek do rąk jakiegoś czytelnika poza moim mordercą. Kiedy to napisałem, uwiadomiłem sobie, że poprzednie części też przecież nie mają odpisów i znajdują się w jednym woluminie, przeto wszystkie moje zapiski czeka niechybny los wspólny.

Natura ludzka jest ułomna. A oczy chcą widzieć jeno to, co się im podsunie. Tak bardzo podejrzewałem ojca Stanisława, że nie przyszło mi do głowy rozejrzeć się dookoła. Zresztą, Alonso Ibanez nie okazał się czujniejszy ode mnie. Lennox, mniemaliśmy, w Pradze ocalił nam życie, przeprowadził przez podziemia, pomagał podczas całej drogi. Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy że może nie być tym, za kogo się podaje. A przecie można było skonfrontować go z innymi, choćby starym Żydem ze Złotej Ulicy, popytać w kręgu alchemików. Łacno dowiedziałbym się, że prawdziwy Lennox, który towarzyszył swemu mistrzowi w celi drezdeńskiego więzienia, pozostał tam jeszcze rok, a wypuszczony z silnym pomieszaniem zmysłów, podciął sobie żyły... Że nowy terminator Setona był Czechem, zadartonosym Waszkiem Puchalikiem, który rzeczywiście ukrywał się od dnia zabójstwa sir Alesandra. A gdy wyprawił się, by nas ostrzec, czego Lennox najbardziej się obawiał, Ibanez ustrzelił go z dmuchawki.

Głupcy! Głupcy I ślepcy! Czemuż nie zastanowiła mnie henna w kabinie Dawida, którą włosy sobie na rudo farbował. Czemuż nie zwróciłem uwagi, że on jeden nigdy pludrów nie zdjął, a włosy pod pachami sobie starannie wygalał, podobnie jak brodę i wąsy, iżby nie wydało się, że jest w istocie albinosem.

Podobnie nie wykąpał się z nami w Pafos, a do łaźni tureckiej też chodził w pojedynkę, co składałem na karb jego sodomickich skłonności. Kim był i komu służył, ciągle było dla nas zagadką. Tak jak niewiadome pozostawało, kto jest główną sprężyną spisku? Wersja wskazująca na Randopulosa znów jęła ustępować podejrzewaniom względem don Camilla. Nieco bardziej zrozumiałe stawały się też motywy – kimkolwiek był mocodawca morderców, po śmierci większości aleksandrytów nakazał powstrzymać zabijanie uczniów, zapewne chcąc dowiedzieć się, gdzie znajduje się Labirynt i co ukrywa. Jednak i ta wiedza była mu głównie potrzebna po to, aby go zniszczyć. Tylko dlaczego? Znowu domysły, niejasności... I cóż mieliśmy z tym wszystkim począć?

Uszliśmy wprawdzie z życiem z zagłady Labiryntu, ale ostaliśmy sami pośrodku pustyni. Lennox pierwszy dotarł do obozowiska i pewnikiem bez trudu skłonił przerażonych Egipcjan do ucieczki, mówiąc im, żeśmy zginęli. Pośpiech musiał być ogromny. Nie zwinięto nawet naszyci namiotów. Mogliśmy się tylko cieszyć, że najważniejsze bagaże, w tym złote obręcze Świętego Marka, pozostały w kairskim karawanseraju. Przepadł natomiast bezcenny papirus, pieniądze, broń, a nade wszystko zapas wody.

– Bez tego nie dotrzemy do Fajum – smętnie skonstatował Alonso.

Nie doceniliśmy Goga. Nad ranem zebrał rosę z namiotów, co dało odrobinę ulgi naszym spieczonym wargom, a powróciwszy do starej studni, zapamiętałe zaczął kopać – łopaty na szczęście nam pozostawiono.

Jakoż po dłuższym czasie na dnie dołu ukazało się wilgotne błoto, w które Gog wkładał chustę, a następnie, gdy nasiąkła wodą, wyżywał nad kielichem. Byłem przekonany, że pijąc błotnistą ciecz, narażam się na wszelkie choroby świata, ale z wyjątkiem księdza, któren dostał biegunki, nasze żołądki jakoś wytrzymały. Zresztą, kopiąc jeszcze głębiej, dotarliśmy do prawdziwego źródła, tak że zdobyliśmy nawet nieco wody na zapas. Po trzech dniach dowlekliśmy się wreszcie do Fajum, gdzie zastaliśmy Mustafę i jego ludzi. Przywitali nas jak zmartwychwstańców. Okazało się, że Lennox uciekł z miasta dwie noce temu, zabierając dwa konie. Nie mieli pojęcia, dokąd się udał. Takoż nie wiedzieli o jego zbrodniczym czynie, pożar i wybuch w Labiryncie uważając za gniew Allacha.

Nie zwlekając, szczęśliwie dotarliśmy do Kairu, ale tam po Lennoksie nie było ani śladu, nie zawitał do naszego karawanseraju ani nie odwiedził nikogo z naszych tamtejszych

znajomych. Skądinąd dzięki temu bagaże zastaliśmy nienaruszone. Skirgiełło ciągle bawił na południu, a my nie wiedzieliśmy, co czynić dalej. Ostatnie nieotwarte dwa listy z instrukcjami *il dottore zostały mi skradzione* wraz z manuskryptem. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko zgodnie z umową ze Skirgiełłą (której wcześniej nie zamierzaliśmy respektować) pociągnąć do Jerozolimy i w ustalonym czasie spotkać się z litewskim magnatem u stóp Wielkiego Meczetu Omara, spod którego wystaje mur dawnej świątyni żydowskiej, Ścianą Płaczu nazywany.

Puściliśmy się tedy na Heliopolis, Bubastis i Tanis – starożytne miasta położone na ziemi, na której – jak mówią – Józef swych braci Żydów osadził, nie wiedząc, jakie z czasem konsekwencje to narodowi wybranemu przyniesie. Także i my sądziliśmy, że droga tędy będzie ciekawsza i krótsza niż karawanowy szlak na Suez.

Ciekawsza okazała się rzeczywiście. Choć była to ciekawość określana pierwszym stopniem do piekieł. Lubo bez przeszkód dotarliśmy w okolice starożytnego Peluzjonu, kędy, jak opowiadano, w czasach faraonowych biegł kanał łączący Morze Czerwone ze Śródziemnym, co nie bardzo mieści mi się w głowie, ale czego, w świetle tego, com widział w Labiryncie, całkiem wykluczyć nie mogę, wnet dotychczasowe szczęście nas opuściło. Na całkowitem pustkowiu, o zmierzchu, opadła nas czereda rabusiów, konno, w czarnych zawojach na głowach, ze szczerym zamiarem nie tyle złupienia nas (boć nie bardzo było z czego), ile pozbawienia żywota. I mimo że stawaliśmy dzielnie, ostrzeliwując się z rusznic i bandoletów, a Alonso co najmniej trzech ustrzelił ze swojej dmuchawki, doszło do walki wręcz, w której ze względu na liczbę napastników, szans wielkich nie mieliśmy. Ksiądz upadł pierwszy, w rzemiośle wojennym nieobeznany, my wsparliśmy się z Alonsem plecami i wytrwale odbijaliśmy razy zakrzywionych szabel, natomiast Gog jak wąż wił się wokół napastników, kąsał swymi nożami i uchodził przed ciosami. Ale ile to mogło jeszcze trwać. Ręce nam mdlały, krew z licznych ran zalewała torsy i kiedy miałem już polecieć nasze grzeszne dusze Bogu, rozległy się nagle jakieś strzały. Przywódca napastników, kierujący napaścią z oddalenia, spadł z konia martwy, a reszta pierzchła na pustynię.

Przed ostateczną utratą przytomności zdało mi się, że widzę brodatą podgoloną głowę pana Skirgiełły, ale chyba był to bardziej sen niż jawa.

Nie dotarłem do Ziemi Świętej. Pragnąc przyspieszyć nasz powrót do zdrowia, pan Skirgiełło kazał nas przewieźć zrazu do Damietty, a następnie galerą do Aleksandrii, gdzie mogliśmy mieć znacznie lepszą opiekę lekarską, a i klimat podobno był zdrowszy.

Alonso, którego przytomności nie utracił, poszedł obejrzyć przywódcę onych obwiesi i ledwie zawój podważył, zaskoczenie odjęło mu mowę...

– Toż to wasz komiliton! – zakrzyknął pan Skirgiełło, który udał się za Ibanzem. – Imć Lennox!

– Zbrodzień i mistyfikator, który jedynie podawał się za Dawida Lennoksa – odrzekł Alonso i oględnie Litwinowi wyluszczył początek naszej znajomości, a także wiarołomstwa, którego od rzekomego Angielczyka doznaliśmy. Oczywiście bez szczegółów i wdawania się w tajemnice Labiryntu, które i tak bezpowrotnie przepadły.

Przy Lennoksie znaleziono, i owszem, trzos weneckich dukatów, ale żadnych papierów mogących wskazywać mocodawcę, a z blisko tuzina jego zbójów wszyscy okazali się, podobnie jak bywało w Paryżu i Pradze, miejscowymi łotrzykami, którzy nie dbali o to, komu i w jakim celu służą, byle za sowitą zapłatę.

Tak więc wypoczywaliśmy w Aleksandrii, ani o krztynę nie bardziej mądrzy niż wprzód. Jediną pociechą mógł być jeno fakt, że na naszych oczach potwierdziła się znana maksyma, iż zbrodnia nie popłaca.

Wykurował się też ksiądz Stanisław i ze Skirgiełłą do Ziemi Świętej pociągnął. Magnat nie mógł czekać, aż całkowicie wydobrzejemy, w Polsce bowiem szło ku nowej wojnie, tym razem ze Szwedem, i eksperjencja Skirgiełły mocno była w cenie.

Planowaliśmy ruszyć do Europy z początkiem września, nim zacznie się sezon jesiennych szkwałów, kiedy konsul wenecki z Kairu list nam nadesłał, a ten najśłodszy miód wlał w me zbolale serce.

Pisał w nim do mnie *il dottore* swym charakterystycznym pismem, które wszędy bym rozpoznał:

Drogi Freddino, z wielkim opóźnieniem i drogą okólną otrzymałem wcześniejsze wiadomości od Ciebie, a także dotarły do mnie późniejsze wieści o waszych niepowodzeniach i kłopotach. Nie martw się nimi, albowiem są pod tym słońcem rzeczy dużo ważniejsze, którymi chciałbym ciebie i twych kompanów zainteresować. Po licznych przygodach, o których nie miejsce w krótkim piśmie wspominać, znalazłem asilium et auxilium u przyjaciela mego znamienitego, brata joannity na maltańskiej wyspie Gozo, gdzie was serdecznie zapraszam i już niecierpliwie w porcie Rabat wyglądam. Twój Guido

Radość ze słów mego mistrza była tak niepomierna, że nie zwróciłem uwagi na element, który winien mnie uderzyć, a w każdym wypadku ostrzec. Oto, jak napisałem wcześniej, nikt nie znał prawdziwego imienia il *dottore* – *on sam, znalazłszy się w sytuacji*, kiedy całkowita bezmienność była niemożliwa, posługiwał się różnymi imionami, przy czym Guido zarezerwowane było dla tych, którym odpowiadał nieprzychylnie i z pewnością nie dążył do spotkania.

Jakże mogłem tego od razu nie zauważyć?!

Ano mogłem.

Cztery dni później na pokładzie galery udaliśmy się na Maltę, gdzie w La Valetcie znajduje się znakomity naturalny port, skąd już miejscową łodzią popłynęliśmy na Gozo, mijając bezludną wysepkę Comino, i weszliśmy do portu z bisurmańska Rabatem zwanego, podczas gdy miejscowi w swym rzadkim języku nazywają oną przystań Mgarr.

Czas rekonwalescencji w połączeniu z listem Mistrza sprawiły, że czuliśmy się znakomicie, a przygnębienie, które towarzyszyło nam od chwili zniszczenia Labiryntu, jakby przeminęło. Jęliśmy planować z Alonsem odtworzenie z pamięci owych malowideł z podziemi, aby mogły służyć ludziom w dalszym samodoskonaleniu, myślałem też o zainteresowaniu braci alchemicznej skalnym *oleum* i odszukaniu sposobu jego wykorzystania. Zaczęliśmy też myśleć nad powrotem do Labiryntu większą ekipą. Sala fresków co prawda została zniszczona, ale kto wie, czy nie zachowały się inne części Pałacu Skarbów, wyposażone w jeszcze cudowniejsze wynalazki poprzedniej cywilizacji.

– Gdybyśmy tego dokonali, okrylibyśmy się sławą, a nasze nazwiska weszłyby na zawsze do skarbnicy dziejów – rozmarzył się Ibanez.

Rabat był właściwie wsią rybacką i jeśli nie liczyć wieży strażniczej i kościoła, nie przypominał miejsca, w którym dobrze mógłby czuć się mędrzec typu il *dottore*.

Mniemałem, iż sam wyjdzie na nasze spotkanie, ewentualnie wyśle Magoga, wszelako po zejściu z trapu przystąpiło do nas dwóch mężczyzn w strojach braci służebnych z krzyżami maltańskimi na płaszczach i kłaniając się nisko, zaprosiło do kolaski. Gdym zapytał o Mistrza, odparli, że il *dottore* czeka na nas we dworze. Wsiedliśmy więc obaj z Alonsem do środka, rozglądając się za Gogiem, ale nie widzieliśmy go od samej La Valetty i mniemaliśmy, że śpi gdzieś pod pokładem.

– Da sobie race – powiedział Alonso.

Jeden z braci maltańskich, o kwadratowej twarzy prostaka, wskoczył na kozła, drugi o trójkątnej twarzy lisa okraszony szerokim przyjacielskim uśmiechem pozostał wraz z nami w

kolasie, otwarł bukłak z pięknie pachnącym winem i częstował, pytając o przebyłą podróż, wiatry i nasze zdrowie.

Droga z portu prowadziła stromo pod górę, po osiągnięciu wysokości miasta precisięła się wąskimi zygzakami między zabudowaniami, po czym przeszła w kamienisty trakt wiodący do środka wyspy, pełnego ogrodów i gajów owocowych, jako że ostatnimi czasy było w tym rejonie dość dżdżysto, co sprzyjało urodzajom.

– Daleko do dworu? – zapytał Alonso.

Będzie półtorej mili.

Więcej z ich rozmowy nie słyszałem, bo śpiak naszedł mnie nieodparty, oczy zamknęły mi

się same i zapadłem w ową czeluść ciepłą, ciemną, a po trosze straszną.

Nie mogłem zatem widzieć, jak kolasa przecina całą wyspę, zjeżdżając na koniec do zatoki zwanej Xlendi, gdzie stała ledwie jedna rozwalająca się chałupa, a w wieży na wzgórzu strażnicy, dobrze opłaceni, gapili się na to, co dzieje się na dole. Tymczasem przeniesiono nas niczym worki na galerę, która stała w zatoczce pod klifami. Wcześniej obaj oszukańczy bracia pozbyli się joannickich płaszczy i weszli na pokład, ostawiając kolasę miejscowemu woźnicy, ukontentowanemu z gratyfikacji.

Nim słońce przechyliło się ku zachodowi, obsadzona równo wiosłującymi żeglarzami galera była już daleko w morzu, kierując się ku nieodległym brzegom Sycylii.

Z obietnic nam poczynionych dwie okazały się prawdziwe. Ocknąłem się rzeczywiście w pięknym dworze. Przypominającym pałac, położonym na stoku wzgórza usłanego zielonymi kolumnami cyprysów. Nie mogłem naturalnie wiedzieć, że zgubiłem dwa dni pograżony w ciężkim śnie, wywarem z ziół wywołanym, bardziej na dzieło Thanatosa niż Hypnosa wyglądającym.

Prawdą też okazało, się iż oczekiwał mnie tam il *dottore*. Wychudły, smętny, wszelako żywy. Reszta jednak pozostawała kłamstwem – obaj z Mistrzem byliśmy bowiem jeńcami.

Oczywiście, tego jeszcze nie wiedziałem, obudzony zerwałem się ochoczo, chcąc podskoczyć do il *dottore* uścisnąć go, ale rymnąłem jeno na marmurowe płyty, albowiem tak ręce, jak i nogi związane miałem sznurem.

– To tylko dla waszego bezpieczeństwa – powiedział don Camillo, wychodząc z cienia. Nie wiem dlaczego, wyobrażałem sobie tego aleksandrytę jako nadzwyczaj chudego,

brodatego starca, jakby wyciętego z obrazów Cypryjczyka Theotokopulosa (nazywanego też El Greco), podczas gdy był to pulchny, zażywny człowieczek, wzrostu niepozornego, uśmiechnięty jak słoneczko rysowane przez dzieci, zda się uosabiający samą poczciwość.

Nie dałem się zwieść pozorom. I choć nie miałem jeszcze całkowitej pewności, w których rękach się znajduję, trafnie podejrzewałem, iż przebywam na Sycylii.

– Gdzie Alonso? – Zawołałem.

Na twarzy don Camilla odbiło się zdumienie, tak jakbym go zapytał o liczbę ludzi na Księżycu lub wszystkich plemion indiańskich. Popatrzył na mnie, potem na il *dottore*, którego wyraz twarzy wydawał się w tym momencie zupełnie pusty.

– Jaki Alonso? – zapytał uprzejmym tonem.

– Alonso Ibanez, mój przyjaciel. Przybyliśmy razem na Maltę!

Dziwne rzeczy mówicie, panie Derossi. Moi słudzy informowali mnie, że przybyliście sami. Zresztą, to nie Malta, jeno Sycylia i moja posiadłość Pontevaggio, w której z przyjemnością was goszczę.

– Jako więźnia?

– Postronki rychło zostaną usunięte, gdy tylko miną złe emocje, a wy, panie Derossi, pojmiecie, gdzie kończy się sen, a zaczyna jawa. Gdzie iluzje, a gdzie konieczność. Nie sądzę, żeby trwało to długo. Mam również nadzieję, iż spotkamy się na wieczery. – To rzekłszy, wyszedł, ostawiając nas ino we dwóch.

Długo patrzyłem na mego Mistrza, nic nie mówiąc, aż ten opuścił wzrok i ciężko westchnął.

– Byłem przekonany, że zrozumiesz podpis „Guido” pod moim listem i wiać będziesz, gdzie pieprz rośnie – powiedział, rozsuplując moje więzy.

– W istocie powinienem tak uczynić – przyznałem się do mej głupoty. – Ale dlaczego Mistrz w ogóle do mnie napisał, będąc w rękach tego człowieka?

Wiedziałem, że zmuszam go do niełatwych wyznań, ale właściwie z jakiego powodu miałem mu tego oszczędzić? Przez moment tarł zapadnięte policzki, tak jakby szykował się do skoku na głęboką wodę. Wreszcie rzekł:

– Bo chcę żyć, Freddino. Nawet za cenę upodlenia! Pojmiesz kiedyś, że ludziom prostym łatwiej przychodzi trzymać się zasad, przedkładać honor ponad kunktatorstwo, a imponderabilia cenić wyżej od woli przeżycia. Bardzo im tego zazdrozczę. Wszelako my, intelektualiści, nie tylko dzielimy zawżdy włos na czworo i relatywizujemy pewniki. My po prostu wiemy, że żywy pies więcej jest wart od martwego lwa, a przegrane pule można odegrać tylko wtedy, jeśli się żyje. Dlatego kiedym z waszego listu dowiedział się o śmierci

Setona, nie mając wątpliwości, kto jest sprawcą, opuściłem Paryż i udałem się do don Camilla Pontevaggio, prosząc go o gościnę i opiekę.

– Po tym, co uczynił? Zamordował czterech aleksandrytów i zamierzał zgładzić również pana...

– Bom wiedział, iż nie czynił tego kierowany ślepych gniewem, nienawiścią czy tem podobnymi emocjami. Nie będąc krwiożerczy z natury, po prostu uznał to za konieczne. Oddając się w jego ręce, przestałem być groźny. Dlaczego miałby mnie zabijać? Podobnie jest z tobą.

– A Alonso?

– Nic nie wiem o Alonsie. – W głosie mego Mistrza zabrzmiał smutek. – Atoli biorąc pod

uwagę jego zapalczywość i niezłomność, wątpię, by ostawili go żywym.

Zapłakałem. Nie mówił nic, pozwolił mi szlochać, bo wiedział, że łzy zawsze przynoszą ulgę.

O prawdopodobnym powodzie pozostawienia mnie przy życiu dowiedziałem się przy wieczerzy, w której brała udział *signorita* Leonia, piękna córka don Camilla, o urodzie egzotycznego kwiatu, i dwaj najważniejsi z dowódców jego zbirów: Ruggero i Manfredo, nazywani tutaj *capo*, rzadko kiedy otwierający usta w innym celu niż przełknięcie kęsa mięsiwa. Usługiwali nam równie milczący służący, bez wątpienia rodem z Etiopii, zda się doskonale maszyny, jakie niekiedy zegarmistrzowie w ramach majstersztyków oporządają, wypełniające każde polecenie swego pana. Sycylijczyk wiedział o mym malarskim kunszcie (sądzę, że *il dottore* przesadził, opowiadając o moich talentach), w każdym razie bardzo życzył sobie, abym ozdobił ściany i sufity jego *villi* obrazami wykonywanymi techniką *al fresco*.

Czy mogłem odmówić? Spytałem jedynie don Camilla, jaką tematykę malowideł sobie upodobał.

– A jak myślisz. – Wlepił we mnie swe oczy: zimne, bezlitosne, niepasujące zupełnie do dobrodusznego lica.

– ...Biblia...? Dzieje Jezusa Chrystusa...? Mitologia? – Usiłowałem zgadywać, jednak nie uzyskiwałem żadnego znaku negacji lub potwierdzenia.

– Powinieneś mnie lepiej poznać, panie Derossi, bo wówczas pojąłbyś, że mym jedynym celem i miłością jest człowiek.

Dziwnie brzmiało to w ustach męża odpowiedzialnego za tyle okropnych zbrodni.

– Tak, Derossi – powtórzył z naciskiem. – Celem wszystkich moich działań jest człowiek, jednak nie jako jednostkowa istota, z natury podła i odrażająca, ale człowiek jako korona natury, stworzenie Boże zachowujące harmonię między *sacrum* i *profanum*, między tym, co ludzkie, i tym, co boskie, między cnotą a występkiem. Bo alternatywą takiej harmonii, i ty już to wiesz, są zagłada i upadek. Między innymi dlatego nie przeszkadzałem w waszej żegludze do Egiptu. Domyślałem się, co tam odnajdziecie, a relacja przysłana przez Hansa (nareszcie poznałem prawdziwe imię Lennoksa) tylko me obawy potwierdziła. Jak zapewne słyszałeś, naszemu zakonowi przyświecały od początku dwa cele: nie pozwolić, aby ludzkość pogrzyżyła się bez reszty w odmętach barbarzyństwa, a zarazem nie dopuścić, aby zbyt gwałtowny rozwój zachwiał harmonią tego świata.

Wiesz, czym jest lont od armaty w ręku dziecka lub los armii pod dowództwem koronowanego głupca. Rozwojowi umiejętności technicznych winno towarzyszyć doskonalenie ducha, cnót i rygorów. Mój poprzednik i ja zwątpiliśmy, że owo współgranie uda się zachować. Żyjemy w czasach wielkiego przyspieszenia – renesans i odkrycia geograficzne nadały naszemu światu nowe impulsy, które sprawiają, że ciężko będzie go zatrzymać.

Nie wytrzymałem i przerwałem gospodarzowi:

– Ale, na Boga, dlaczego ktoś miałby chcieć go zatrzymać?

Odrzekł ot tak, po prostu, z uśmiechem pełnym słodyczy:

– Bo taka jest wola Boga, który mieszka w naszych, a konkretnie w moim umyśle.

Tu w dłonie klasnął i trójka sług zmieniła nakrycie stołu, który teraz ugiął się pod ciężarem owoców, ciast i bakalii.

– Przez całe wieki aleksandryci, pozostając w ukryciu, śledzili historię człowieka, starając się ingerować w nią w sposób jak najdelikatniejszy i najmniej zauważalny. Mój poprzednik z linii sycylijskiej, człowiek mądry i święty, uznał, że to nie wystarcza. Mam pełne podstawy, aby uznać go za wielkiego wizjonera, widzącego nie dziesięć, nie sto, ale czterysta lat naprzód. I właśnie obrazy przyszłości, które po wielokroć oglądał, będąc w ekstazie, upewniły go, że nadszedł ostatni moment, kiedy jeszcze można coś zrobić. Wieko puszki Pandory jest uchylone, na szczęście wiem, co należy uczynić, aby je zamknąć. Wiem!

To mówiąc, mocno uderzył pięścią w stół. Tak spłoszyło to usługującego nam niewolnika, że potknął się i struga czerwonego wina z domowych winnic Pontevaggio chlusnęła na przetykaną złotem białą szatę wielmoży.

Niewolnik poszarzał na gębie i bez słowa padł na kolana jak skazaniec oczekujący werdyktu. Twarz don Camilla zmieniła się niewiele, jedynie usta zazwyczaj szerokie, serdeczne, zwęziły się, a spomiędzy zębów, drobnych i ostrych, wybiegło krótkie: „Ukarać!”

Pozostali dwaj niewolnicy doskonale wiedzieli, co czynić. Kiedy tylko ukazała się ochmistrzyni, niosąc nową szatę dla aleksandryty, porwali nieszczęśnika pod ramiona (ten nijakiego oporu im nie stawiał) i cisnęli do sadzawki zajmującej środek patia, obok której były dwie urocze fontanny dostarczające chłodu.

Myślałem, że przymusowa kąpiel będzie jedyną karą dla niezdarnego Etiopa, ale się pomylił. W wodzie zakotłowało się. Ciało niezręcznego sługi zostało pociągnięte w głąb tak szybko, że z jego ust wyrwał się tylko krótki okrzyk bóleści i rozpacz, po czym zniknął, a na powierzchnię wypływać poczęły krwawe smugi posoki.

– Mureny! – wyjaśnił *il dottore*, widząc, iż gospodarz zajęty jest zakładaniem nowych szat. – Don Camillo hoduje je wzorem antycznego Lukullusa, a rybki są niezwykle drapieżne i na ludzkie mięso szczególnie zawzięte.

Tu rozległ się śmiech. Uniosłem głowę i ujrzałem, jak prześliczna panna Pontevaggio zaśmiewa się, obserwując dramat w piscinie. I zdjął mnie prawdziwy strach, bom ostatecznie pojął, gdzie trafiłem.

Kiedy nocą, nie mogąc spać, z wolna dochodziłem do siebie i analizowałem potok zdarzeń, zrozumiałem, iż był to ze strony don Camilla celowy pokaz siły i brutalności, który miał mnie skłonić do posłuszeństwa. O jego dalej idących zamiarach miałem dopiero usłyszeć.

W następnych dniach nie znalazłem nawet chwili czasu ani sposobności, aby porozmawiać z *il dottore*, który wyglądał wprawdzie źle, jak człowiek chory i stojący nad grobem, ale jakoś nie mogłem uwierzyć, żeby w swym genialnym umyśle nie rozważał planów mogących przynieść nam wolność, a na don Camillu wziąć odwet skuteczny i sprawiedliwy. Pracowałem wtedy nad kartonami do serii fresków mających przedstawiać ludzką pracę, cnoty, a także tych przedstawicieli rodu człowieczego, którzy pasowali do koncepcji Sycylińczyka. (Byli tam greccy tragicy, Wergiliusz, Seneka i święty Augustyn).

Okazja dłuższej rozmowy z moim Mistrzem pojawiła się dopiero przy niedzieli. Gospodarz wraz z córką i swymi *capo* do kościoła pojechał, pozostawiając w obejściu ledwie kilka sług. Natychmiast zacząłem namawiać *il dottore*, aby tę nieobecność wykorzystał do ucieczki.

– I dokąd chciałbyś uciec, Freddino? – pohamował moje zapędy Mistrz. – Może i udałoby ci się tę posiadłość opuścić, co wcale nie jest takie pewne, bo są tu jeszcze liczne

domki kozłarzy, strażników winnic i sadów, dobrze poukrywane i szpiegów pełne. Aliści, nawet gdyby to ci się udało, dokąd chciałbyś się udać? I którędy? Sycylia jest więzieniem! Don Camillo ma na niej władzę przedziwną – nieformalną, wszelako uznawaną przez wszystkich dostojników świeckich i kościelnych, a składa się ona ze strachu, podziwu, uwielbienia i grozy. Nikt przeciw niemu słowa nie powie, bo obowiązuje tu jeszcze od czasów nieszpórów sycylijskich, a może nawet od niewoli saraceńskiej ludowe prawo co zwie się *omerta*. Milczenie! Ujdiesz z Pontevaggio, pojmagą cię w Palermo, Katanii czy Agrigento. A gdybyś jakim trafem przeskoczył Cieśninę Messyńską, nasz przyjaciel ma oczy i uszy także w królestwie Neapolu. Nie koniec na tym: zdołałem się zorientować, że jego pajęcza sieć obejmuje większość państw naszego kontynentu – wszędy ma zastępy swoich książąt, kardynałów, ministrów...

– Czy to możliwe? Jeden człowiek?!

– Do niedawna też mniemałem, że taki spisek nie wchodzi w grę. Myliłem się. Zanim don Camillo uderzył w nasz zakon, budował swe niewidzialne imperium dwadzieścia lat. Środków mu nie brakuje. Jako dziedziczny skarbnik aleksandrytów dysponuje pieniędzmi większymi, niż miał swego czasu zakon templariuszy.

– Ale co chce przez to osiągnąć?

– Zatrzymać postęp.

Roześmiałem się.

– Niby jak?

Ale *il dottore* zachował całkowitą powagę.

– Don Camillo gra na wielu instrumentach – nóż i trucizna, które zastosował wobec braci w zakonie, stanowią jedynie małą część jego akcesoriów. Jeśli trzeba, rozpęta procesy o czary lub podburzy motłoch przeciw alchemikom. To on pociągał za sznurki w procesie Giordana Bruna, jego szpieczy już przęda sieć wokół Galileusza, choć to człek młody i jeszcze wszystko przed nim. Mam też powody sądzić, że to don Camillo ukartował pojedynek, w którym prześwietny Tycho de Brahe utracił kawałek nosa. Na liście osób, których nie zawaha się unicestwić, jest i Kepler, i Sędziwój, i Francis Bacon czy William Gilbert z Anglii... Widziałem ze dwa tuziny nazwisk, których pozbycie się wystarczy, by nasz świat długo nie wyszedł z wieku dziecięcego.

– Czyli nie ma żadnego ratunku?

Il dottore uśmiechnął się.

– Ratunek jest zawsze. I między Innym dlatego ściągnąłem tu ciebie, bo sam nie podolałem.

– Co zatem miałbym uczynić?

– Zabić go!

Te słowa poraziły mnie, a Mistrz – widząc, iż mienię się na twarzy – tylko się uśmiechnął.

– Nie mówię, że dziś czy jutro. Poczekajmy na sposobną chwilę. Przeczuję, że przebywający na swobodzie Gog i Magog wnet pojawią się w pobliżu. Jeśli będziesz się zachowywać z pokorą, czujność wobec twej osoby też z czasem osłabnie.

– A co potem? Jeśli nawet by mi się udało i wysłałbym don Camilla do piekła, jego ludzie rozerwą nas na strzępy lub nakarmią naszymi ciałami głodne mureny!

– Nie wiem, co się wtedy stanie – odparł szczerze. – Aliści historia uczy, iż konstrukcje tyrańskie wraz ze śmiercią tyrana rozsypują się niczym domek z kart.

Il dottore miał jak zwykle rację, wszelako im dłużej myślałem nad jego słowami, tym bardziej dokonanie proponowanego czynu wydawało mi się niewykonalne. Gdybyż jeszcze towarzyszył mi tutaj Alonso, człek w bojach zaprawiony... Nadto, nawet gdybym znalazł w tobie dość odwagi, czymże miałbym zabić don Camilla? Pędzłem, szpachlą, którą się farby rozrabia? Inne narzędzia trzymano z dala ode mnie. Nawet przy stole nie użyczano mi noża, mięso kroił dla mnie zawsze rękodajny. W dodatku pan Pontevaggio nigdy nie pozostawał sam, zawsze towarzyszył mu któryś z jego zbirów, a przeważnie dwóch. Okna jego sypialni były zakratowane, także *cabinet*. Jadł wyłącznie pokarmy i napoje uprzednio skosztowane przez sługi. Konia nie dosiadał, kąpiele nie zażywał, a dziewczki? I owszem, chędożył młode wieśniaczki przed zamążpójściem, które, zgodnie z obowiązującym tu „prawem pierwszej nocy”, ofiarowały mu swój dziewiczy wianek tak chętnie, jakby był to bukiet dożynkowy podczas święta plonów, ale nawet wtedy nie opuszczał go *capo*, a także ochmistrzyni, wysoka jak dragon i żyłasta niczym emerytowana bachantka. Do jej obowiązków należało dokładne sprawdzenie dziewczki, nim wejdzie do pańskiej łóżnicy.

O dotarciu do zbrojowni również ani mogłem marzyć. Całą broń palną trzymano w ścisłym zamknięciu. Don Camillo nie polował, bo, jak twierdził, zadawanie śmierci niewinnym zwierzętom urągałoby jego człowieczeństwu. Inna sprawa, że konsekwentny w tym nie był i dziczyznę jeść lubił bardzo.

Tak więc płynęły kolejne dni i niczego nie przedsięwzięliśmy. Po sporządzeniu projektów wziąłem się za wykonywanie fresków, zastanawiając się często, co będzie, gdy ukończę ostatnie malowidło. Też zostanę rzucony na pożarcie murenom?

Tymczasem pojawiły się nowe kłopoty, związane z coraz częstszymi wizytami panny Leonii w mej pracowni, a następnie w galeriach i salach, gdzie do pracy przystąpił.

– Nie przeszkadzam? – wołała głosem trzpiotki zaglądała mi przez ramię, tak że jej bujna pierś musiała się o mnie otrzeć, albo wspinała się po rusztowaniu właśnie wówczas, gdy z niego zszedł, tak że *nolens volens* musiał widzieć jej cieniste podbrzusze normalnie pod sukniami ukryte.

W każdej innej sytuacji może dałbym się sprowokować, bo urody jej nie brakło, jednak moja kondycja, a zwłaszcza pamięć jej śmiechu, gdy tracono nieszczęsnego Etiopa, nakazywały mi trzymać zmysły na postronku.

Wszelako moja powściągliwość chyba jeszcze bardziej ją podniecała. Krążąc wokół, pytała mnie o doświadczenie życiowe, o modelki, zastanawiając się głośno, czy sama nie mogłaby pozować mi nago, gdy przystąpię do malowania symboli cnót kobiecych?

– Zapytam waszego ojca, pani. Jeśli wyrazi swoją zgodę, namaluje panią z taką chęcią, jakbym malował rzymską boginię – odparłem chytrze i chyba ją tym ostudziłem, bo przy całej swej frywolności czuła przed don Camlilo mores ogromny.

Najbardziej bałem się postawienia mnie w sytuacji biblijnego Józefa, oskarżonego przez rozczarowaną erotyczną oziębłością, żonę Putyfara o molestowanie. Paradoksalnie cieszyłem się więc z obecności strażników, zaś nocą postanowiłem dzielić pokój z *il dottore* pod pozorem czuwania nad jego zdrowiem, choć w istocie chodziło o to, aby przypadkiem nie wślizgnęła się do mojej łóżnicy. Wiedziałem jednak, że łatwo nie zrezygnuje. Ale czemu to czyniła – z nudów, z podpuszczenia ojca celem wypróbowania mego charakteru – do dziś nie wiem.

W każdym razie z początkiem oktobra zmieniła strategię. Już mnie nie kokietowała, jeno, jak dobra siostra, przynosiła do pracowni owoce, wypytywała o szczegóły obrazów i technikę prac, tak jakby sama chciała ostać malarką. Jako człowiek dobrze wychowany odpowiadałem na jej pytania, a nawet zgodziłem się dawać jej lekcje rysunku (uznałem bowiem, że spowalniając swoje prace, mam szansę na dłuższe przeżycie).

Signorita Leonia tymczasem objawiała mi z dnia na dzień swoje dotąd nieznanne oblicze – osoby wrażliwej, samotnej, wychowującej się wśród bezlitosnych mężczyzn ćwiczonych jedynie w zadawaniu śmierci.

– Spoglądając z boku, widać, iż jesteśmy oboje bardzo podobni do siebie – wyznała nieoczekiwanie. – Nie będąc panami swego żywota, nie możemy się stąd oddalić.

Innym razem współczującym tonem jęła się roztkliwiać nade mną, że przy takich talentach i ciekawości świata jestem skazany na przebywanie tutaj, niepewny dnia ani godziny.

Nie możesz pan wierzyć memu ojcu, gdy prawi, iż ostawi cię w zdrowiu, kiedy skończysz swe dzieła – dodała.

– Zabije mnie?

– Nie musi zabijać, wystarczy że przeda cię jak waszego towarzysza na galery.

A więc Alonso był galernikiem. Kondycja to straszna, a jednak od śmierci lepsza i w obecnej sytuacji trudno było o miłszą dla mnie wiadomość. Dlatego postanowiłem brać jej propozycje za dobrą monetę.

– Cóż, twym zdaniem, mógłbym zrobić?

Oczy jej rozbłysły.

– Ucieknij ze mną. Mam we wsi zaprzyjaźnioną starą zielarkę, która nam pomoże dostać się do morza. Wiem, gdzie przemytnicy ukrywają łodzie. Uciekniemy na Sycylię albo Korsykę. Nikt nas tam szukać nie będzie!...

Nie wierzyłem jej ani krztynę, ale spokój mój zburzyła, zmuszając do wielogodzinnych deliberacji. Prowokowała? A może naprawdę chciała uciec?

Nawet śmiech towarzyszący traceniu niewolnika można było nazwać histerycznym. Czy była do końca zła i zepsuta? Widziałem, jak jednego razu weszła w ostry spór z ojcem, a don Camillo w gniewie w twarz ją strzelił, aż krew z nosa się jej puściła. I jeszcze musiała Sycylijczyka przeproszać, po rękach całując.

Cóż tedy miałem odpowiedzieć, gdy kolejnego dnia cała w łzach przyszła do mnie, skarżąc się, że ojciec bez jej wiedzy zaaranżował jej *matrimonium* z pewnym hrabią z Kalabrii i może tylko uciekać ze mną albo zabić się sama.

– A cóż pani ma przeciw niemu?

– Po pierwsze, jest okropnie stary, bo ma już czterdzieści pięć wiosen – szlochała, a gdy tłumaczyłem, że znałem dużo starszych oblubieńców sprawdzających się w roli małżonków, odpowiadała, iż don Basilio jest człowiekiem jeszcze okrutniejszym od jej ojca, a na dodatek powszechnie wiadomo, że dziewczki zażywa podobnie jak chłopców od tyłu i nijak inaczej, chętnie potem bijąc je i batożąc.

– Błagam, pomóż mi, Alfredo, zanim nie będzie za późno!

Oczy miała zapłakane, usta rozwarte i wilgotne, pierś falującą. Przy tem pachniała cała wonnościami miłości: miodem, mlekiem i wanilią z odrobiną różanego olejku. Alem się nie złamał, choć wszystko we mnie krzychało, by ją przytulić et cetera.

Nie mogę ostawić il *dottore* – powiedziałem stanowczo. I było to jedyne, co przyszło mi do głowy. Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– On rychło umrze, już teraz wygląda jak śmierć na chorągwi.

– Tedy zaczekam.

Być może popełniłem wówczas poważny błąd. Trzy dni po naszej rozmowie przybył do posiadłości don Basilio i odbyły się huczne zaręczyny. Kalabryczyk wyglądem przypominał kawał wysuszonego parmezanu. Woniał też podobnie. A na dodatek popierdywał przy lada okazji, co uznawał najwyraźniej za wyraz najwyższego ukontentowania. Od tego dnia ochmistrzyni roztoczyła nad Leonią kuratelę tak ścisłą, że widywałem ją tylko przy posiłkach.

W parę dni później do południowej galerii, gdzie fresk *Pochwała harmonii rozpoczął*, zaszedł don Camillo.

Zadowolony był z mych dzieł bardzo. I pytał, czy nie mógłbym postaciom z fresków przydawać twarzy jego albo panny Leonii. Odparłem, że będzie to dla mnie prawdziwym zaszczytem. A on się rozgadał, zapytując, czy mógłbym również utrwalić wizję jego mistrza i poprzednika.

– Al fresco?

Nie, nie na ścianach. W księdze, w formie rycin. Nic chciałby bowiem, aby ktoś niepowołany je oglądał, a gdyby się nie sprawdziły, miał zamiar zlecić swym spadkobiercom,

aby po dwustu, trzystu i czterystu latach zostały zniszczone.

– Zrób to, Derossi, a poznasz moją hojność! – Don Camillo siedł obok mnie. I gdyby nie milczący *capo siedzący* krok dalej, można by powiedzieć – dobry wujaszek opowiada swemu siostrzeńcowi wizje dziwne a straszne...

Czy można byłoby nazwać owe proroctwa apokalipsą? Chyba tak. Sycylijski opowiadał o rozwoju nauk, które w ciągu wieku, a na pewno dwóch zmienią oblicze ludzkości. Twierdził, że jego mistrz Silvestrini w trakcie swych wielogodzinnych zapaści budzących grozę najbliższych, wydawało się bowiem, że umiera, ulatywał duchem w przyszłość, a wracając, opowiadał wszystko swemu uczniowi. I tylko jemu.

– Zrazu wszystko będzie wyglądało pięknie – cytował mi słowa Silvestriniego, oczy przymknawszy, głosem cichym i pozbawionym jakiegokolwiek dramatyzmu. – Rozmaici mędrkowie będą badali reguły i mechanikę tego świata. Niektórzy uczynią to w imię Boga, twierdząc, że zamierzają przysporzyć mu jedynie większej chwały, inni po to, by, poznawszy jego laboratorium, spróbować go naśladować. A gdy się to uda, gdy ludzie stworzą już pojazdy bez koni, statki napowietrzne, staną się zdolni przenosić na wiele mil słowa, myśli i obrazy – uznają, że Stwórca jest im zbędny. Ogłoszą jego śmierć.

– „A gdy nie masz Boga, wszystko wolno!”. Umieściwszy w jego miejsce Rozum, zaczną na wyścigi projektować nowe, lepsze światy, idąc śladami Platona, którego teoretyczne pomysły w praktyce przyczyniły jedynie do umocnienia tyranii w Syrakuzach. Spróbują tedy uczynić górę dołem, a dół górą, uznać wszystkich ludzi jednakowymi w mądrości, w potrzebach i obowiązkach, zrównać kobiety z mężczyznami, dzieci postawić przed dorosłymi. A jeśli nie uda się po dobroci, pięknoduchy, którym w najlepszej wierze oddamy władzę, sięgną po przymus straszniejszy niż krwawe dzieła rzymskich cesarów. I nigdy nie będzie czynione tyle zła niż wówczas, gdy dzieć się ono będzie pod sztandarami dobra. Co gorsza, nie zostanie osiągnięty żaden z celów, nie zbudują żadnej z wymyślonych utopii, zniszczą jedynie poczucie ładu i harmonii, sprawiedliwości i rozsądku.

– Rozpadnie się rodzina, a każdy człowiek stanie się samotną wyspą, żądną jedynie własnej rozkoszy, nieoglądającą się na innych i żyjącą tak, jakby śmierć, sąd i potępienie nie istniały. Sodomia podniesiona zostanie do rangi normy, głupota nazwie się rozrywką, pospolitość, plugastwo zniszczy przyzwoitość, honor, cnotę... Zaprawdę, Derossi, pragniesz takiego świata?

– Nikt przytomny go nie pragnie – odparłem. – Wszelako krom wizji waszego preceptora nic nie wskazuje, że ku temu świat zmierza.

– Zapominasz o obrazach z Labiryntu. Ludzkość już raz to przeszła. Nie każmy przechodzić jej tego po raz wtóry, bo choć wówczas jakimś cudem ocalała, drugi może jej się to nie udać.

Wyznam szczerze, niespecjalnie brałem sobie do serca jeremiady don Camilla.

Byłem w wieku, w którym ceni się proste rozwiązania, a optymizm wzbrania się przed przyjmowaniem najgorszych. Rozwój nauki uważałem za najwspanialsze osiągnięcie ludzkiego ducha, a biadania, że zastąpienie absolutu rozumem prowadzić ma do rządów głupoty, uznałem za kiepski koncept. W dodatku, jeśli istniały pewne zagrożenia, któż dał ostatniemu aleksandrycie prawo, aby samojeden wyrokować, co dobre, a co złe? Z czyjego upoważnienia był sędzią i katem? Jak mógł mordować najprzedniejsze umysły epoki, planując kolejne zbrodnie? I to w czasach, kiedy światłość Odrodzenia dopiero co przegnała wieki ciemne, ponure, w surowości swych zasad i wymagali stawianych na co dzień ludziom okropne.

Poszedłem ze swoimi wątpliwościami do *il dottore*. Nadal czuł się źle, a nawet mu się pogorszyło – pluł krwią, wszelako na prorocтва don Camilla reagował energicznie.

– Nawet jeśli swobodne myślenie jest obarczone ryzykiem, nie wolno nam tego ryzyka poniechać – mówił, a łysa głowa i wiszące fałdy skóry trzęsły mu się jak, nie przymierzając, u starego indora.

Ślub don Basilio i panny Leonii odbył się dwa tygodnie później. Nie znam powodów niezwykłego przyśpieszenia ceremonii, która pierwotnie miała się odbyć w święta Bożego Narodzenia, być może pan młody miał wyruszyć w którąś z kolejnych sekretnych misji, jakie zlecał mu don Camillo. W każdym razie nic nie pomogły płacze panny Ponteveglio i groźby wskoczenia do sadzawki z murenami. Na ceremonię w przepysnej katedrze w Monreale pod Palermo, największej normańskiej budowli na wyspie, zjechali przedstawiciele najznakomitszych sycylijskich rodzin. Nuncjusz papieski, specjalny legat wicekróla z Neapolu, konsulowie Świętego Cesarstwa i Królestwa Francji, kardynałowie, książęta. Ja sam w bardzo wykrochmalonej kryzie źle się czułem pomiędzy *capo mego* ciemżyciela, ale musiałem asystować w całej paradnej mszy wedle specjalnego rytu, zazwyczaj tylko dla książąt krwi przeznaczonego. *Il dottore* miał więcej szczęścia i jako coraz bardziej słabującego ostawiono go w majątku.

Stałem tedy w tłumie, wpatrzony w gigantyczną postać Chrystusa Pantokratora w apsydzie i zastanawiałem się, dlaczego Dobry Pasterz dopuszcza tyle niegodziwości.

Panna młoda wykazała klasę, nie uroniła nawet łzy; jej bladość przysłoniła barwiczka, a uroda w połączeniu z niezwykłym strojem wywarła na zgromadzonych wielkie wrażenie. Jeśli idzie o mnie, to najważniejsze, że po zaślubinach, wychodząc z kościoła, ujrzałem na murze zamykającym perspektywę dwie sylwetki dziwnie znajome. Dużą i raczej mikrą. Białą i czarną. Gog i Magog!

Zaraz poczułem się raźniej, chociaż kiedy ponownie uniosłem głowę, postaci zniknęły.

Na trwającym weselisku bawiłem się świetnie, choć w domu Leonia umknęła szybko, a o tym, co działo się między nią a małżonkiem, mogę wnosić jedynie na podstawie jej własnych wyznań.

Czwartego dnia goście się rozjechali, a don Basilio pośpieszył do Agrigento po odbiór dzikich zwierząt, które miały się znaleźć w zwierzyńcu urządzanym w posiadłości Ponteveglio.

Powróciłem do roboty nad freskami, kiedy przybiegł do mnie ukochany maltańczyk signory Leonii; za obrozą miał zatknięty skrawek papieru.

Czekam w starym wiatraku, na wzgórzu – napisała młoda małżonka.

Jakże miałem nie pójść?! Nikt mnie nie śledził, po weselisku w majątku panowało pewne rozprężenie. Przeszedłem lasek pomarańczowy, potem gaj oliwek.

Wiatrak stojący u szczytu wzniesienia, gdzie najlepiej łapać wiatry nadciągające od strony Libii, dawno utracił skrzydła, kiedy bardziej wydajny okazał się młyn na strumieniu i pełnił obecnie rolę magazynu na owoce i siano z łąk na wzgórzach.

Leonia, odziana jak wieśniaczka, oczekiwała mnie w środku. Ale nim zdołałem coś powiedzieć, rzuciła się na mnie, płacząc i całując. A potem podniosła koszulę, ukazując alabastrowe plecy schłostane do krwi.

– Cóżżeś mu uczyniła? Byłaś oporna?

– Nie, ale on, jeśli nie oćwiczy kobiety pejczem, nie potrafi... – umilkła zasromana.

Nie jestem ze stali. I nie potrafię się bronić, kiedy atakuje mnie piękna dziewczyna o posągowych kształtach. Całowałem tedy jej biedne plecy i ramiona o fakturze antiocheńskiego atlasu, także usta, ramiona, piersi... Zrazu zachowywała spokój, ale wnet i w nią wstąpił ogień prawdziwy. Zatraciliśmy się jak dwoje szaleńców, niepomni ryzyka, nadzy tarzaliśmy się po sianie, zespalając, całując, chłonąc siebie wszelkimi zmysłami...

Potem na moment się uspokoiliśmy. A Leonia, ciągle naga i złakniona mego ciała, opowiadała, choć wcale nie chciałem słuchać, o szczegółach swej nocy poślubnej i dwóch następnych, wzbudzając we mnie gniew żywy.

Mówiła też, że Basilio gotów byłby wypożyczyć mnie do swych posiadłości.

– A z Kalabrii uciec byłoby nam o wiele łatwiej – kusiła, nie przejmując się zupełnie kondycją i powinnościami młodej mężatki.

– Nie sądzę, żeby twój ojciec mnie puścił.

– Będzie miał taką sposobność, kiedy ukończysz freski... Zresztą, kiedy zgodziłam się na to małżeństwo, *papa* obiecał spełnić wszystko, o co go poproszę. Tylko kochaj mnie, Freddino! – szepnęła na koniec.

Więc kochałem się z nią po raz wtóry.

Aż cień jakiś padł na nasze ciała i odwróciwszy głowę, poznałem *capo Ruggero*, jednego z głównych siepaczy don Camilla.

Rzucono mnie do loszku pod stajnią, o solidnych drzwiczkach i małych zakratowanych okienkach. Don Camillo nie zaszczycił mnie rozmową, nakazał natomiast podniesionym

głosem, com słyszał z oddalenia, aby o mym losie zdecydował zdradzony mąż, gdy powróci z Agrigento. Jaki los gotowano dla Leonii, nie miałem pojęcia, choć przypuszczałem, że jako jedyna córka don Camilla mogła spodziewać się najwyżej kolejnej upokarzającej chłosty.

Nie wiem, czy na prawdę poczuła ku mnie taki afekt, czy też nasza schadzka była jedynie kaprysem rozpieszczonej młódki przymuszonej do zamążpójścia, w każdym razie kiedy przed wieczorem usłyszałem charakterystyczny stukot bucików i szmer szaty ocierającej się o mur, wiedziałem, że to ona.

Nie powiedziała wprawdzie ani słowa pewnie z powodu towarzystwa ochmistrzyni, jednak nagle coś brzęknęło i wpadło między kraty.

Sztylecik! A właściwie wcale spory sztylet, zwany dawniejszymi czasy mizerykordią, albowiem służył dobijaniu wroga po zwycięskim boju. Cóż miałem nim zrobić, przebić sobie serce?

Gdy zmrok zapadł, zacząłem dłużyć przy drzwiach, ale były niezwykle solidnie zrobione i wzmocnione jeszcze stalowymi belkami, tak więc nawet nie mogłem marzyć o utorowaniu sobie drogi na wolność. Planowałem rano zaatakować strażnika i przynajmniej zginąć honorowo w walce.

Po północy zmorzył mnie sen. Ale nie trwał długo. Obudził mnie wielki huk i gwałtowny wstrząs, który obsypał mi twarz piaskiem. Za okienkami ledwie pierwszy brzask świtał, ale nie miałem czasu analizować owego świtania, bo ziemię całą poczęło przebiegać drzenie, jakby budził się potwór jakowys i w konwulsje popadał. Wstrząsy narastały, huk potężniał. A był w nim i ryk ranionego zwierza, i łomot padających kolumn, dachów, wież. Dodatkowo towarzyszyły temu bolesny kwik koni usiłujących wydobyć się ze stajni i wrzask domowego ptactwa.

To, co działo się ongiś na Zakynthos, było łagodnym zefirem w porównaniu z dzisiejszym szaleństwem Boreasza. A potem wszystko raptownie ucichło. Nie wiem, czy na moment straciłem przytomność, w każdym razie ocknąłem się od stóp do głów przysypany pyłem i drobnymi kawałkami zaprawy. Cudownym losu zrządzeniem ominęły mnie większe kamienice i fragmenty konstrukcji. Część stropu nad łozkiem w ogóle zniknęła, toteż po rumowisku wyczołgałem się na górę. Ściany stajni jakby zdmuchnęło. Podobnie stało się z większością zabudowań gospodarczych, ściany pałacu wprawdzie stały, ale wypadły wszystkie okna i zawały się stropy. Środkiem dziedzińca biegła ogromna rozpadlina, która rozszerzała się coraz bardziej, zmieniając w przepaść prawdziwą, zda się bezdenną, która pochłonęła kordegardę, w której mieszkali *capo* Ruggero i Manfredo; zniknęła też większość budynków służby.

Może dlatego nikt się nie odzywał. Wbiegłem do domu. Alkowa *il dottore* pozostała nienaruszona, lecz on sam nie żył. Oczy miał otwarte, ale nie dojrzałem w nich żadnej grozy, jeno spokój i dostojęństwo tak potrzebne przy spotkaniu z Panią Śmiercią. Biegłem dalej, omijając zwaliska gruzu. W komnacie nowożeńców zarwał się strop, a na ślubne łoże runęły ciężkie belki stropowe.

Unosząc je wraz ze szczątkami baldachimu, dotarłem do Leonii. Najwyraźniej umarła we śnie. Belka zdruzgotała jej klatkę piersiową, pozostawiając nienaruszoną twarz, którą ucałowałem. Była jeszcze ciepła. Wszelako próba przywrócenia dziewczyny do życia, mimo że pobiegłem po słynny kordiał *il dottore*, nie powiodła się.

Czyżbym jako jedyny ocalał w całym Pontevaggio?

Nie jedyny!

Z patia dobiegł mnie głos don Camilla. W koszuli nocnej, obsypany tynkiem szedł między ruinami, nawołując sług, swych *capo i Leonii*.

Wyszedłem mu naprzeciw, mijając piscinę.

– Leonia nie żyje – rzekłem z rezygnacją.

– I dobrze – syknął. – Urodziła się z dziwki i pozostała dziwką, a dzieci mogą mieć jeszcze mrowie. – Tu jakby dopiero mnie zauważył, uśmiechnął się jadownicie i dorzucił: – To, że Bóg cię oszczędził, Derossi, nie oznacza, że ja cię oszczędzę.

– Spróbuj zatem. – Dobyłem mizerykordię, którą miałem zatknąć za paskiem, i w oczy mu błysnąłem.

– Nie odważysz się! – zawołał, nie tracąc pewności siebie. – Nie potrafisz zabijać ludzi.

Miał rację, zawahałem się przed zadaniem mu ciosu; widząc to, skoczył ku mnie, pragnąc wyrwać mi nóż z ręki. Był nadspodziewanie szybki, wszelako miałem przewagę, będąc o głowę wyższy i ćwierć wieku młodszy. Tedy odepchnąłem go gwałtownie. O mało nie upadł i, pragnąc schwycić równowagę, zrobił krok do tyłu. Chłup.

Zabawne, ale w całym dworze trzęsienie ziemi nie naruszyło wyłącznie sadzawki pośród patia. Nie wiem, co czuły mureny podczas wstrząsów, teraz wszelako musiały się już obudzić i jak zwykle były wygłodniałe.

Don Camillo wynurzył się i, machając rękami, próbował uchwycić się skraju pisciny, atoli jego nogi nie znajdowały podparcia na gładkim marmurze.

– Pomóż mi, pomóż!

Drugie „pomóż” bardziej zawył, niż powiedział. Wyhodowane przezeń bestie musiały już go dopaść, a ich podobne brzytwom zęby poczęły kąsać go po nogach i brzuchu.

– Na Boga, ratuj!

Ale w onej godzinie jakby wstąpił we mnie diabeł. Nie ruszyłem się, jeno patrzyłem, jak krew z niego wypływa, jak szamoce się targany przez drapieżne ryby, jak wreszcie znika pod wodą. I porwał mnie naraz śmiech straszny, szatański, nad którym nie mogłem i nic chciałem zapanować. I znów stanęła mi przed oczyma martwa Leonia i zacząłem płakać.

Trwało to krótko. Nie mogłem czekać, nie mogłem nawet pochować mego Mistrza. Wziąłem jego sakwojażyk, niniejszy diariusz i wybiegłem z ruin. Jednego z ocalałych koni złapałem na łące. I nie czekając, aż pojawi się ktoś żywy z dworu lub nadjadą wieśniacy z wioski, puściłem się w drogę, nie zatrzymując się aż do samego Palermo, dokąd dotarłem przed wieczorem i poprosiłem o gościnę u księży kapucynów, którzy obiecywali, że w dyskrecji pełnej mogę przebywać u nich tak długo, jak zechcę. Liczyłem, że odnajdę Goga lub Magoga, może nawet obu, ale widocznie to, co widziałem w Monreale, wynikało z przywidzenia, bo nigdzie nie było po nich ani śladu.

Trzeciego dnia dowiedziałem się od jednego z braciszków, że don Basilio przybył do miasta ze swemi siepaczami i rozpytuje o mnie, zły bardzo, obiecując za żywego lub martwego dać dziesięć dukatów w złocie. Nie wiedziałem, co robić. Statek do Barcelony, którym sobie upatrzył, odchodził już za trzy dni, ale z pewnością wejście na pokład będzie szczególnie pilnowane. Poza tym, co począć miałem z mym pamiętnikiem, którego trzecią część właśnie kończę spisywać? Ze względu na jego treść bałem się go powierzyć braciszkom, iżby nie siać zgorszenia wśród świątobliwych mężów. A biorąc pod uwagę wpływy, jakie miał klan don Camilla (mimo jego śmierci) w Palermo, tuszę, że nie znalazłbym w mieście ani jednego sprawiedliwego, godnego zaufania męża, na którego mógłbym się zdać. Głowę miałem pustą, a serce coraz bardziej struchlałe.

Aż wpadł mi do głowy pomysł szalony i w swym szaleństwie śmieszny. Onegdaj zwiedzałem podziemia konwentu, gdzie mnóstwo ciał zasuszonych, naturalnie zmumifikowanych, we śnie wiecznym spoczywa. A gdyby tak umieścić w jednym z nich mój diariusz, wierząc, że przetrwa tam lata i trafi w ludzkie ręce wówczas, kiedy nikomu zagrozić nie będzie mógł, a da świadectwo prawdzie i opowie o tych wszystkich niezwykłych sprawach, które tego roku były mym udziałem? Nie mam pojęcia, kiedy to nastąpi. A jeśli wola Najwyższego będzie inna, to doczeka tam sobie dnia Sądu Ostatecznego. Kończy mi się inkaust, a po drugi już chodzić do *scriptarium* nie będę. Nie wiem, co stanie się ze mną.

Czy ujdę z życiem? Czy zgasnę w dwudziestej wiosnie swego żywota, na samym początku wieku XVII, który, jak mówią, ma być wiekiem rozumu i pokoju, a czuję, iż będzie wiekiem wojen i ludzkiego szaleństwa.

Wiele chciałbym dokonać, a tymczasem moje freski skruszyły się w proch, przepadły moje obrazy i sztychy i jeśli teraz zginę, nie pozostanie po mnie nic, jeno ta księga w trzewiach jakiegoś mnicha i dusza nieśmiertelna, co do której losów bardzo się obawiam, bom grzeszny i wątpiący. A przyjmowania świętych sakramentów dawnom zaniedbał.

Temu, kto sięgnie po tę opowieść, życzę wszystkiego najlepszego i już z góry śmieję się z jego zdumienia i niedowierzania. Choć, na Boga, zaklinam się, że to wszystko prawda, szczerą prawdą i tylko prawdą. Amen.

25 November Roku Pańskiego 1605. W Palermo. Alfredo Derossi

Doczytałem tekst do końca, przewertowałem kolejne karty, ale nie było na nich nic, jedynie na dwóch ostatnich kilka rycin z wizją przyszłego świata, i muszę wyznać, że Derossi naprawdę musiał sporo zobaczyć w egipskim Labiryncie, bo narysowane przezeń samochody czy samoloty nie różniły się wiele od naszych, a na pewno nie przypominały mocno ograniczonych fantazji autorów mu współczesnych czy nieco późniejszych, że wspomnę Cyrana de Bergeraca czy Jonathana Swifta. Cóż miałem o tym myśleć? Trwałem nieruchomo nad manuskrypcem. I myślałem nie tyle, czy to, co przeczytałem, jest prawdą czy fałszem, ale bardziej, jak niezwykle i kręte bywają ścieżki losu kierowanego przez Najwyższego Reżysera, który sprawił, że to, co napisałem i ukryłem w wieku XVII ja, Alfredo Derossi, odnalazłem i czytam ja, Aldo Gurbiani z początkiem wieku XXI. Że wówczas ocaliło mnie trzęsienie ziemi, a teraz również dzięki ruchom tektonicznym nekropolia oddała powierzone jej tajemnice.

Oczywiście, nie mam sposobu na zweryfikowanie prawdziwości przekazu.

Choć próbowałem. W jednej z sycylijskich kronik przeczytałem, iż don Camillo Pontevaggio rzeczywiście zginął podczas lokalnego trzęsienia ziemi, którego epicentrum leżało na terenie jego włości. Dziś jest tam nieurodzajne pustkowie. Co do jego zięcia don Basilio, znalazłem zapisek, jakoby zginął z trzema swymi kamratami od skrytobójczych ciosów nożem w jednym z zaułków Palermo. Nikogo nie oskarżono o to zabójstwo, choć uznano, że był to mord na tle rabunkowym. Opowieści pewnego pijaka, który mówił o oddalającym się z miejsca incydentu Murzynie karle i nordyku olbrzymie nie znalazły u nikogo potwierdzenia, przeto już współcześni włożyli je między bajki.

Próby znalezienia czegoś o Derossim w archiwach sycylijskich spetzły na niczym. Biegły rzeczoznawca potwierdził, że papier i pismo pochodzą z początku XVII wieku. Jeszcze bardziej zdumiewający werdykt wydał grafolog.

– Nie ulega wątpliwości, że to pańskie pismo, panie Gurbiani, choć poddane rygorom jakiejś wyjątkowo starodawnej kaligrafii.

Część IV

Mistrz i Margareta

Lubię noc, szczególnie trzecią jej kwartę, kiedy na spoczynek udają się nawet złodzieje i dziwki. Cichnie nareszcie uliczny ruch, gasną ostatnie okna w pracowniach na najwyższych piętrach, a palą się jedynie szyldy i reklamy, obnosząc niczym ekshibicjoniści swą pustotę pod obojętnym spojrzeniem gwiazd. Nie mogąc spać, a może nie tyle nie mogąc, ile nie chcąc, świadom, że sen to kradzież bezcennych godzin żywota, wychodzę na taras. Od razu uderza mnie zapach wilgoci. Słonawa bryza od strony Laguna Esmeralda miesza się z zapachem kwiatów, przypominając o odwiecznej walce lądu i morza. Nad głową palą się Plejady i Orion, we mnie zaś wzbiera jakaś dziwna lekkość przy jednoczesnym wyostreniu zmysłów. Od czasu mej rekonwalescencji słyszę lepiej niż młodzieniec i widzę wiele rzeczy, do których nigdy nie przyznam się Monice ani doktorowi Rendonowi.

Czy są to aury, czy może urojenia, które aurami sam przed sobą nazywam? A jednak od pewnego czasu wtem, którzy ludzie rychło umrą, a którym pisana jest szczęśliwa przyszłość. Nie wiem, co czynić z moją umiejętnością. Uprzedzać ludzi o ich losie? Parokrotnie usiłowałem im pomóc. Czując nadchodzący zawał u mego kucharza Bonifacja, zmusiłem go, by poddał się badaniom kardiologicznym. Niestety, zmarł w rosettyńskim szpitalu Świętego Rocha. Roztrzepana pielęgniarka podała mu zestaw leków przeznaczony dla innego chorego. Przewidziałem, z krzykiem zrywając się z nocnego koszmaru, że kuzynka mej żony Claudia zginie w katastrofie samolotowej. Wielkim wysiłkiem wyperswadowałem jej urlopowy lot do Kenii. Wybrała się na narty w Dolomity. Atoli nie uszła swemu losowi – kolejka linowa, którą podróżowała, została dosłownie ścięta przez samolot z pobliskiej bazy amerykańskiej.

Zaiste trudno jest przechytrzyć ananke. Po tych zdarzeniach poniechałem prób walki z przeznaczeniem. Choć, bywa, łapie mnie bolesny skurcz, kiedy widzę mijającego mnie młodego motocyklistę, za którym podąża szary cień Thanatosa. Zagryzam usta, bo wiem, że jeśli nawet powstrzymam go dziś, już jutro dosięgnie go pazur losu. Zatem kiedy na podobieństwo mglistego całunu uderzonego podmuchem wichury rozdziera się przede mną zasłona kryjąca przyszłość, modlę się w intencji nieszczęśników i proszę Pana, aby odjął mi ową moc Kasandry, skoro i tak nie mogę zapobiegać Jego wyrokowi.

Gdzieś w głębi domu bije trzecia. Znów podnoszę się z łóżka, rozdygotany jakimś snem złym, amorficznym, szalonym. Serce łomocze, to znów zamiera chwilami na podobieństwo człowieka potykającego się podczas ucieczki. Starając się nie zbudzić Moniki, narzucam szlafrok... Idę galerią, pozostawiając z boku pokoje pełne ciągle pęczniejących zbiorów mojej żony, która kocha się w antykach, a odkąd opowiedziałem jej o mym *alter ego* Alfredo Derossim, kolekcjonuje szczególnie siedemnastowieczne meble i bibeloty. Wychodzę na taras. Nocne powietrze studzi moją głowę. Mając u stóp wielkie miasto, czuję, jak jego nerwowy, zda się gorączkowy puls, tak znamieny dla współczesnych metropolii wreszcie uspokaja się, przechodzi w stan uśpienia. I ja się uspokajam, ja, jedna z drobin składowych wielkiej aglomeracji. Fakt, że wyczuwam tych ludzi, a nie widzę ich, pomaga w odzyskiwaniu pogody ducha. Można powiedzieć, że kiedy nie mam mych ziomków bezpośrednio przed oczyma, nawet ich kocham. Jednak jakoś nie potrafię wzniecić w sobie owej bezbrzeżnej dobroci Raymonda Priestla, który każdego zбочka, schizoida, drania czy pojebańca potrafił traktować niczym zbłąkaną bożą krówkę. Ja, niestety, uważam, iż rodzaj ludzki przy bliższym poznaniu jest zbiorowiskiem osobników paskudnych, egoistycznych, leniwych, nade wszystko jednak głupich. I pod tym względem po czterystu latach muszę coraz częściej przyznawać rację wróżbom Silvestriniego czy ocenom don Camilla, o których przeczytałem w diariuszu *il Cane*...

Il Cane, czyli mnie? Chwileczkę, właściwie nawet nie *il Cane*, bo ten pamiętnik znaleziony w brzuchu urywa się w momencie, gdy Derossi jeszcze nie wie, iż otrzyma taki przydomek. Że skończy rzucony w Studnię Potępionych i powróci z martwych, aby w wieku mocno dojrzałym uratować Europę przed rekonkwistą Azteków.

Sęk w tym, że moje sny, czy jak kto woli, wycieczki do wieku objęły dotąd tylko trzy etapy z życia Derossiego. Niespecjalnie łączące się ze sobą. I gdy powracałem do naszego świata, owszem, pamiętałem to, co mi się tam przydarzyło, ale bez całej osnowy – *curriculum vitae* Derossiego jest dla mnie tajemnicą i zapewne nią pozostanie. Zwłaszcza jeśli jest jedynie fantasmagorią mózgu drażnionego przez odradzający się nowotwór. Przecież, gdyby

poddać analizie to, co dotąd spisałem widać, że opowieści nie są kompatybilne, a w *Psie w studni* zawarłem mnóstwo informacji człowieka niezbyt dobrze znającego historię, który, owszem, zbudował sobie świat, wlaźł w niego, ale później przekonał się o licznych błędach. Zresztą, moja pamięć dotycząca czasów bieżących też jest wybiórcza.

Skrzętnie usunąłem z niej wspomnienia dotyczące kariery Aldo Gurbianiego, a zwłaszcza tworzenia SGC, owego gigantycznego medialnego draństwa, będącego równocześnie

pisuarem, spluwaczką, jak i saturatorem.

Ciekawe, jak wielu do dziś dnia nie może mi darować, że zniszczyłem go własnymi rękami. Niedawny laureat literackiej Nagrody Nobla, łotr wielki, który zapomniał już o płaconych mu przez lata stypendiach, napisał o mnie nawet powieść *Nawrócony w burdelu* i wdrapał się z tym paszkwilem na czoło listy bestsellerów. Wybaczam mu, albowiem nie wie, co czyni. Byłem taki sam.

Byłem? Jakże mało pamiętam ze swej przeszłości, owej rutyny codziennego zarządzania wielkim przedsięwzięciem, narad z pracownikami od spraw reklamy, marketingu, konkursów na maksymalne plugastwo, orgietek na jachcie czy w willi premiera... Czasem, oglądając się przez ramię, patrzę na moją wczorajszość jak na film dokumentalny z cudzego żywota, doklejony sztucznie do mojej osoby, i zadaję sobie pytanie, kim jestem? Starym zestrachanym skurwielem, który nawrócił się w obliczu niechybnej śmierci, czy może rzeczywiście Alfredo Derossim, pozłacanym zakrętasem rosettyńskiego baroku. Nie do wiary, ale ciągle przypominają mi się nowe szczegóły z jego życia. Ludzie, miejsca, zdarzenia, nie umiem tego wytłumaczyć inaczej jak defektami mego mózgu, nowotworem, który mi wycięto, ale czy do końca... Bywa, że przedstawiam się nazwiskiem Derossi. (Ostatnio na raucie u prezydenta republiki), gryzmołę poprawki na marginesach historycznych książek pewny, że sprawy miały się inaczej niż w relacjach pamiętnikarzy, bom sam był ich świadkiem. Ale przecież nie wystąpię na historycznym sympozjum jako świadek defenestracji praskiej, szturmów La Rochelle czy procesów w Loudun. Muszą to być, jestem pewien, konfabulacje na temat lektur i filmów, miraże z różnych pięter snu. Albo po prostu marzenia. Inna sprawa, czy taki gość jak ja dziś ma jakieś marzenia? Czasami tylko zastanawiam się, co by było, gdyby na zasadzie gry komputerowej powtórzyć jakąś sekwencję, ot, wrócić na Sycylię i pilnie współpracować z don Camillo. Czy udałoby się nam zahamować postęp? I jakie byłyby tego konsekwencje. Feudalizm aż do dziś?

Podchodzę do balustrady i spoglądam ponad cyprysami na nocną metropolię. Na współczesną Rosettinę, tak mało różniącą się od świata, który stał się jednym Wielkim McWorldem. Gdybym jednak zdecydował się przymknąć oczy, być może znów posłyszałbym nawoływania portowych przekupniów, stukot kół na drewnianym bruku, perlisty śmiech dziewczek spod „Błaszanego Anioła”, a rychło, nie wiedzieć skąd, pojawiłaby się woń tempery z mej pracowni, a potem zapach mięsiwa i korzeni, którymi Anzelmo zwykł doprawiać pieczyście... Aż wreszcie...

Dźwięk policyjnych syren i pulsujące światła kogutów przywoływały mnie do rzeczywistości. Coś działo się pod dolną bramą mej rezydencji. Zadzwoiłem do Corrado dyżurującego przy monitorach. Ochroniarz nie odpowiadał. Zapewne spał na służbie jak zwykle. Ściągnąłem mocniej szlafrok paskiem i wsiadłem do windy.

Dolny hol mojej rezydencji stanowi kompromis między tradycją a nowoczesnością. Tradycje reprezentują solidne dębowe drzwi, nowoczesność zabezpieczają kamery. Policjant stojący przed bramą miał bezczelną okrągłą głowę wieśniaka z Rumunii, któremu wąsy, przynajmniej w jego mniemaniu, miały dodać bojowego ducha i znamion szlachetności.

– Ścigamy zbiega – rzucił krótko. – Istnieją obawy, że mógł dostać się na teren pańskiej posiadłości. – Zauważyłem, że funkcjonariusz sepleni; może było to wynikiem ukruszonej jedynki, a może tylko wrodzonego niechlujstwa. Nadto dzięki wizjerowi przeczytałem jego wizytówkę: kapitan Raffaello Serafini. Nieźle!

– Jestem gotów do wszelkiej współpracy z władzą, panie kapitanie – powiedziałem, uchylając drzwi. – Obawiam się jednak, że tracicie czas. Mój dom jest wzniesiony na niedostępnej maczudze skalnej. Jedyne wejścia, czyli te drzwi i wrota garażowe, są monitorowane dzień i noc. – Wskazałem na zielone lampki czujników. – Jak widzicie, nie ma żadnych śladów alarmu. Natomiast wejście po skale bez sprzętu alpinistycznego jest zupełnie niemożliwe...

Funkcjonariusze z latarkami rozbiegli się wzdłuż ścian. Kapitan wyglądał na rozczarowanego. Tymczasem ze służbówki wyszedł półnagi Gino: dwumetrowa konstrukcja złożona z samych kości i mięśni, brat bliźniak Corrada; rozróżniałem ich jedynie po większej tępcie malującej się na twarzy Gina.

– Gdzie Corrado? – zapytał, skrobiąc się po nieuczesanej łepetynie.

– Na górze – odparłem bez namysłu, nie wiedząc czemu kłamię. Czuję się dziwnie, nie potrafię zdefiniować tego uczucia: z jednej strony składał się na nie lęk, z drugiej ciekawość, nienaturalne podniecenie, lichy wie co jeszcze.

– A kogo właściwie ścigacie? – zapytałem oficera.

– Słowianina – odpowiedział niechętnie. – Ten diabeł wcielony dwie godziny temu wydostał się z zakładu karnego w Rocca Grande, zabił dwóch pielęgniarzy, poranił wartownika. Skradziony z parkingu wóz z pustym bakiem znaleźliśmy trzysta metrów stąd. Paliwo mu się skończyło, więc porzucił samochód i zapewne dalej ucieka pieszo.

Skinąłem ze zrozumieniem głową. Słowianin, prawdziwe nazwisko przerażającego psychopaty nie zostało do tej pory odkryte, od pewnego czasu był ulubieńcem mediów. CZŁOWIEK ZNIKĄD! FRANKENSTEIN! HANNIBAL LECTER BIS! – popołudniówki nie szczędziły mu epitetów. Rok temu morze wyrzuciło go kompletnie nagiego na północ od San Leone. Skręcił kark lekarzowi próbującemu zrobić mu sztuczne oddychanie, pobił dwóch ratowników. Okiełznał go dopiero strzał z wiatrówki oraz dawka usypiacza zdolna powalić szarżującego nosorożca. Przez następnych kilkanaście miesięcy ani prokuraturze, ani psychiatrom, ani adwokatowi Pietro Fallaccemu nie udało się nawiązać z nim kontaktu. Klątwy w językach słowiańskich były jedynym dowodem posiadania przezeń strun głosowych.

Tymczasem oględziny moich fortyfikacji musiały wypaść zadowolająco, bowiem kapitan wręczył mi swoją wizytówkę i przeprosił za zawracanie głowy.

– Gdyby zauważył pan coś podejrzanego, proszę dzwonić...

Z trudem opanowałem szcęknięcie zębami. Z minuty na minutę bałem się coraz bardziej, a jednocześnie czułem, że pod żadnym pozorem nie wolno mi się z tym zdradzić...

W połowie skały znajduje się galeryjka gospodarcza, którą można dojść do piwnic winnych, pomieszczeń mieszczących agregaty i magazyny. Wiedziony intuicją zatrzymałem windę na tym poziomie. Ciało Corrada znajdowało się w zacienionej części galerii. Obrzmiała twarz i wytrzeszczone oczy wskazywały na uduszenie. Kto, na miły Bóg, mógł udusić takiego olbrzyma? I jak wspiął się po niemal szklanej górze?

Machinalnie sięgnąłem do kieszeni; nie miałem tam broni – tylko komórkę. Oczywiście, mogłem zadzwonić do kapitana, ale nie uczyniłem tego.

Wchodząc do biblioteki, usłyszałem zduszony krzyk. Monika!

Rzeczywiście Słowianin miał Monikę. Trzymał ją w żelaznym uścisku. Nie był tak wielki, jak o nim mówiono, ale osobliwie krępy, długoręki, niesamowicie owłosiony. W groteskowej koszulce ROSETTINA-SPORT przypominał zmutowanego kraba czy pająka.

– Jest interes do zrobienia, panie Gurbiani – powiedział, szczerząc zęby w grymasie mającym zapewne udawać uśmiech.

A ja zastanawiałem się, skąd znam tę twarz? A jeśli nie ja, to może Derossi?

Po raz pierwszy zobaczyłem go zaraz po wejściu do oberży. Nie powiem, żeby starał się zwrócić na siebie uwagę. Siedział przygarbiony w kącie, tyłem do wnijscia. I jeśli go zauważył, to z racji długich, zwinnych, kosmatych rąk, którymi wybierał kluski z misy. Nie odwrócił się na me wejście, ale gdy gospodarz postawił przede mną świecznik akuratny, menorze podobny, dostrzegłem lico mężczyzny, które odbiło się w wypolerowanym dzbanie stojącym przed nim. Nawet biorąc pod uwagę deformacje obrazu na wypukłej ścianie naczynia, gębę miał paskudną jak pysk samego diabła, którego ojciec Filippo z pewnej opętanej zakonnicy wygnał, potem pojmał i ubił, ponoć samym znakiem krzyża, aż wreszcie wypchanego przechowywał na dnie szafy w sagrestii i co większym grzesznikom ku postrachowi pokazywał. Osobiście miałem duże wątpliwości, czy jest to diabeł, czy raczej płód pokraczny, owoc kopulacji siostrzyczki z wilkołakiem, który rzadko, bo rzadko, ale w owych czasach spotykany bywał jeszcze w regionie Montana Rossa. Mimo młodego wieku miałem, dzięki memu pierwszemu preceptorowi van Tarnowi, wykształconą pamięć wzrokową, nastawioną na kolekcjonowanie wrażeń, iżby płótnom kiedyś je powierzyć. I rzeczywiście sporo lat później utrwaliłem tego likaona w orszaku zmór i potworów, kiedym obraz Piekło na osobiste zamówienie pana Sully'ego malował. Insza rzecz, wale nie byłem naonczas pewien, czy pragnę iść w ślady wielkiego Michelangela lub Rafaela, czy też wolę zgłębiać wiedzę i ostać jak mój mentor *ildottore*, zwany medykiem dziennym i alchemikiem nocnym. Świat jawił mi się kłębowiskiem tajemnic, które malarstwo mogło rejestrować, nie było jednak w stanie ich zgłębić. Co prawda przeżycia z czasów mej służby dla Mistrza, wyprawa do Afryki czy niewola sycylijska ostudziły mój zapal do nauki. A że żyć z czegoś trzeba było, na poważniej za malarstwo się wziąłem, co wypełniło mój drugi epizod paryski.

Do Paryża pociągnąłem prosto po ucieczce z Palermo, licząc na wsparcie (również finansowe) nadobnej Agnes Vendôme. Niestety, gdym przybył, okazało się, że księżna zmarła w połogu, wydając na świat martwą dziecinę. Czym był jego ojcem, nie wiem, ale pilnie rachując miesiące, całkiem wykluczyć tego nie mogłem. Oplakałem ją bardzo i na jakiś czas przestałem interesować się niewiastami, tem bardziej zem z doświadczenia mógł wnosić, iż każdy mój afekt kończy się dla wybranki mego serca źle.

Długoręki wieczór cały nie powiedział słowa. Gdy osuszył dzban z winem, gestem ręki przywołał oberżystę, żądając następnego, ja zaś byłem zbyt zmęczony, by dostrzec, iż za pośrednictwem swego zaimprovizowanego zwierciadła przygląda mi się bacznie. Sporo

czasu później przypomniało mi się jeszcze szuranie na schodach, dochodzące z zajmowanej przezeń alkowy udało się na spoczynek jeszcze kilka indywiduów. Dostałem alkierz, jak na warunki miejscowe wcale czysty, odmówiłem wszelako dziewczek. W onych czasach nie korzystałem z usług kurew – nie pozwalały mi na to: wysublimowany zmysł estetyczny, lęk przed francuską chorobą, a także wrodzona niechęć do trwonienia pieniędzy...

Tu muszę zaznaczyć, że nie przytaczam wspomnień, które każdy człowiek przechowuje w swej pamięci. Ja po prostu przeniosłem się tam, do tej podkrakowskiej gospody, do tej północnej krainy, do której wcześniej nie miałem żadnego stosunku emocjonalnego, a dziś, jeśli odczuwam sympatię, to dzięki Monice, która choć od lat mieszka w Italii, nigdy nie wyrzekła się swej tradycji czy obyczaju.

Co się więc stało? Nagle otworzyła się mi jakaś klapka w mózgu i byłem tam! Czterysta lat wcześniej ze świadomości młodego Derossiego i niestety bez żadnej świadomości przyszłości, tak jakby wentyl doskonały odgradzał moje oba ja. Co ciekawe, ów barokowy świat był dla mnie równie rzeczywisty jak wnętrze *supermercado* przy via Adriatica, a nawet konkretniejszy, ponieważ z zasady nie robię zakupów w tych nowoczesnych świątyniach handlu i czekam na Monikę w samochodzie.

Ale na razie nic nie wiedząc o przyszłych luksusach, obudziłem się po nocy spędzonej na skraju puszczy, czując zapach słomy w sienniku, słysząc zawrozczenie wicheru w kominie i myśląc jedynie o rachunku za nocleg, posiłek i obrok dla konia. Derossi nijakiego daru prekognicji nie miał chociaż nie uszło mej uwadze, że świtaniem, gdym do dalszej drogi się sposobiał, kąt zajmowany z wieczora przez demonicznego nieznajomego świecił pustką.

Musieli wyjść z gospody przede mną. Najwyraźniej zdałem się im dość majątnym, skoro puścili się w knieje pułapkę zastawiać, nie bacząc na mróz tak siarczysty, że człek bał się powiek przymknąć, iżby te nie zamarzły jak wierzeje. Ja zasię nie śpieszyłem się z odjazdem, wołałem wpierw dobrze o drogę i miejsca na popas popytać, popręgi sprawdzić, sakwy spakować.

Poczekali sobie na mnie na mrozie, co zapewne ich złość jeszcze wzmogło.

Zaczaili się niedaleko, kilka staj od gospody, ale już w środku boru, zwanego przez miejscowych Puszczą Niepołomicką. Gdym tylko wjechał na polanę, otoczyli mię hurmą, żądając, iżbym tylko trzos im wydał, i obiecując w zamian ostawić mnie żywym. Nie wierzyłem tym zapewnieniom, a trzos, czy raczej jego resztki, stanowiły jedyną gwarancję, że

wcześniej z głodu i chłodu nie pomrę, nim dwór królewski, stale się oddalający ku północy, odnajdę.

Toteż zmacawszy króciwą, wypaliłem w pierś najbardziej brodatemu, ciąłem szablą przez łeb niższego, który do wędzideł mego konia rwał się, i puściłem się ścieżką w las. Idea była dobra, póki droga nie zagubiła się całkiem w ośnieżonej gęstwinie, a jakaś skrycie szlak przegradzająca gruba gałąź, jak łapsko wyrwidęba z siodła mnie nie strąciła.

Dopadli mnie hurmem i nie żalowali razów, uważając wszelako, iżby futrzanego kaftana, którego we Wiedniu nabyłem, nie uszkodzić. Potem, gdy na wpół omdlały leżałem w śniegu, zdarli ze mnie przyodziewek i solidne czeskie trzewiki, a najbardziej rozsierdzony spośród nich, ów zapamiętany z gospody przerażający pajęczak na pałkowatych nogach, który w trakcie napadu trzymał się nieco z tyłu, spisał rzecz postanowił zakończyć. Nie zauważyłem jednak, że ostrze omskło się po skórzanym szkaplerzu z konterfektem Santa Maria Łaskiś Pełnej, który za radą mej piastunki Giovanniny pod koszulę na drogę zawsze żem wdziawał.

Mróz zahamował krwawienie i przywrócił mi przytomność. Półnogi dygotałem cały, trwoniąc na ów dygot resztkę sił. Nawet powstać nie mogłem. Próbowałem pełznąć ku drodze, pozostawiając za sobą krwawy ślad na śniegu. Pocieszać się mogłem jeno tym, iż pierwszej zamarznę, niż wilcy na ząb mnie wezmą. Przeklinałem dzień, w którym miałem ostać w złotej Pradze, puściłem się ku północy, zwabiony opowieściami o bogactwie polskiego króla, magnatów i księży. Jednak byłem dopiero skromnym malarzynie i nie lada gratkę stanowiła perspektywa pracy dla dworu Sigismunda III, gdzie miał obietnicę pracy od mistrza Tommaso Dolabelliego, popartą listem samego Rubensa, życzliwie moje ryciny pochwalającego. Po paru latach prób dostania się na dwór, opuściłem Paryż, gdzie miałem zbyt wielką konkurencję; podobnie nie powiodło mi się we Wiedniu, w Pradze, gdzie przez kwartał jeden Żydowin ze Złotej Uliczki nabył kilka moich płócien, choć nie kwapił się z zapłatą. Działo się coś dziwnego, czego pojąć nie potrafiłem – ludzie, i owszem, z zaciekawieniem oglądali moje malowidła, bywało, że chwalili, ale kupować nie chcieli. Podejrzewałem znowę, ale chyba chodziło bardziej o renomę. Nie byłem bowiem uznanym mistrzem lub choćby współpracownikiem jakiegoś mistrza, a jedynie Alfredo Derossim, młodym uciekinierem z ogarniętej religijną wojną Rosettiny i przeklętym przez resztkę organizacji aleksandrytów, która wprawdzie się rozpadła, ale paru ludzi nadal chętnie by mnie utopiło w łyżce wody. Do dziś, na przykład, nie wiem, czy pożar domku na Grinzingu, gdzie wynajmowałem stryszek, był dziełem przypadku czy świadomym zamysłem, ale postanowiłem się tym nie przejmować, gdyż – wietrząc wszędzie spisek – musiałbym zwariować ze szczętem, co paru ludziom, których znałem, już się przydarzyło.

Zmrożony śnieg parzył mi twarz i kaleczył ręce, gdy pełzłem wciąż wolniej i wolniej, czując jak wzrok mi się mąci, a tchu nie staje.

Naraz ozwały się dzwonki. Brzmiały jak anielski śpiew i w pierwszej chwili wydawało mi się, że muszą do mnie z drugiej strony anielskiej furty dochodzić. Aliści po chwili szum płóz, parskanie koni i okrzyki w cudzoziemskim języku przekonały mnie, iż nie dane mi było jeszcze spotkać świętego Piotra ani nawet Świętego Mikołaja.

– Dalej, Kacper, Błazej, bierzcie, huncwoty, nieboraka! Jeno ostrożnie. Podłóż derki Jagnieszko. I prędko futrami go nakryjcie, bo się ze szczętem wyziębi.

Słuchałem owego nieznanego mi języka jak przez mgłę, nie pojmując, jacyż anieli zesłali mi wybawcę, którego nie pyta się nawet, kogo znajduje i z czyjej ręki ranionego. Prędko jednak resztki sił mnie opuściły i popadłem w niebyt.

Jak się okazało, ran wielkich nie odniosłem. Dzień i noc starczyły, abym doszedł do siebie. Gorączkowałem trochę, toteż na karb maligny gotów byłem złożyć zwidy, które nawiedziły mnie krótko przed zarankiem.

Obudziłem się spocony w izbie przestronnej a mrocznej. Żar w kominie wygasł, a przez małe zmrożone szybki przedzierało się bardzo niewiele światła miesiąca. Mimo to dostrzegłem postać w bieli, która, zda się, wyszła ze ściany. Wzrok mam dobry, częstymi nocnymi wędrówkami i śledzeniem gwiazd wyrobiony, toteż gdy zjawka znalazła się trzy łokcie od łoża, postrzegłem, że jest to dziewczyna, młoda, jak cyprys strzelista. Byłabyż duchem, jedną z owych białych dam tak często występujących w zamkach i dworach na północ od Alp, a już szczególnie w Karpatach? Roztaczała wokół siebie woń kwietną, co jako żywo widmom raczej się nie zdarza, wedle autorytetów śmierdzą bowiem zgnilizną, smołą i siarką gorzej niż pierd Gargantuy. Leżałem nieruchomo, oddychając równo i starając się nie otwierać oczu, jeno wąską szparką obserwować, co się dzieć będzie. Pochyliła się ku mnie. Twarz miała bladą, pociągłą, osadzoną na długiej szyi, oczy kroju cudnego, choć ich barwy w pomroce mogłem się co najwyżej domyślać. Jej miodomleczy oddech musnął mą twarz. Przypatrywała się uważnie, niby kłusownik sarnie we wnyki złapanej, i nagle wypowiedziała parę słów cichym, lekko gardłowym głosem. Nie znałem naonczas polskiego, ale zapamiętałem te słowa do końca moich dni: „Uciekaj póki nie będzie za późno”.

Uniosłem powieki; cofnęła się gwałtownie, niczym spłoszony ptak, chciałem się poderwać, ale boleść odnowionych ran przeszła mnie na wskroś i znów omdlałem.

Ponownie obudził mnie dziewczęcy śpiew dochodzący z pobliza, otworzyłem oczy i ujrzałem sufit dębowy, belkowany, a wiodąc wzrokiem dookoła, zobaczyłem komin z bużującym wesołym ogniem, małe okienka; niewielkimi taflami szkła kompletnie

zarośniętymi mrozem, a wszędy obfitość skór, skrzyń, o porożach i łbach zwierzęcych ze wszystkich ścian na mnie pozierających nie wspomnę.

– Obudziłeś się, waćpan? – zapytał, powstawszy sprzed ognia, przed którym siedział, grzejąc ręce i stopy, mój wybawca, mąż postawny w sile wieku, z postury nieco wielkiego króla Stefana przypominający. – Rad jestem temu wielce.

Wymamrotałem coś po włosku, pojął zapewne, że nie znam jego mowy, toteż przeszedł na łacinę, dość okropną w akcentacji, ale gdy idzie o gramatyczne reguły, niewątpliwie dobrze przez ojców jezuitów w podgolony łeb wbitą.

– Wielkie szczęście, iż przejeżdżałem właśnie owymi ostępami – mówił ów szlachcic, uprzedzając moje pytanie. – Mogłem tedy asana w mróz z pewnej opresji salwować. Atoli, jeśli mogę spytać, z kim mam przyjemność?

– Alfredo Derossi z Rosettiny, malarz i rzeźbiarz, na usługi Jego Królewskiej Mości do Warszawy śpieszę.

Jeśli zaimponowałem mu tą informacją, nie pokazał tego wcale po sobie, wszelako wstał i, wzięwszy się pod boki rzekł:

– Jam jest Michał Piekarski, herbu Topór, pan na Bierkowicach. Dopokąd nie wydobrzejesz, czuj się waćpan miłym memu sercu gościem... Służebne moje polewki nagotowały i jeśli macie taką wolę, panna Jagnieszka, wychowanica moja, chętnie karmić was będzie...

Zaraz pojawiła się dziewoja, chuda, niezbyt ładna z twarzy, ale o dłoniach kształtnych i oczach bystrych. Siadła koło mnie, pałając rumieńcem na jagodach poczęła poić mnie zawieszistą zupą pełną skwarek.

Przez moment myślałem nawet, że jest to mój nocny gość, zmieniony dziennym światłem, aliści żadne oświetlenie nie przemieni kury w albatrosa.

Zagadałem do niej po włosku, łacinie, wreszcie po niemiecku, ale odpowiedział mi jedynie uśmiech i słowa wypowiedane w dziwnym języku, przy którym nawet czeski wydawał się bardziej europejski.

Jak miałem się przekonać, nikt z domowników żadną obcą mową nie władał. Toteż jedynym partnerem do rozmowy mógł być gospodarz. Typowy Polak, niechętny najbliższym sąsiadom, ale świata i cudzoziemców ciekaw, dobry gospodarz, we dworze bowiem nie zbywało na niczem. W młodym wieku musiał przejść niezłe terminy, których świadectwem mogła być szeroka blizna widoczna na podgolonej czaszce.

Trzeciego dnia, lubo słaby, podniosłem się wreszcie z łoża. Gorączka mi spadła, rany zablizniły się grzecznie, snadź siarczysty mróz, w którym leżałem, zapobiegł gangrenie.

Pan Michał nie chciał nawet słyszeć o mym wyjeździe.

– Póki mrozy nie zelżeją, musisz waćpan ostać mym gościem. A jeśli opowiesz mi o świecie szerokim, w którym bywałeś, to ja sam będę asana dłużnikiem.

Pozostałem tedy w Bieńkowicach, wypoczywając i rewanżując się memu dobrodziejowi opowieściami o młodości, która mi w Rosettinie zbiegła, i o podróżach które w ostatnich latach udało mi się poczynić. Opowiadałem więc o boskiej Wenecji, perle wśród lagun, o gwarnym Paryżu, o Wiedniu i Pradze, a także o Alpach sięgających nieba i piaskach egipskich do dziś ukrywających niejedną tajemnicę. Przy tej okazji wspomniałem o wspólnej peregrynacji z panem Skirgiełłą, pytając o niego Piekarskiego, i dowiedziałem się, że nadal w zdrowiu żywie i jest jednym z najwyższych dostojników państwowych, którzy w Polsce są ze swych stanowisk nieusuwalni, a przy okazji wyjątkowo bliskim opiekunem młodego, siedemnaście wiosen liczącego królewicza Władysława, przebywającego ostatnimi czasy głównie w Litwie. Wszelako zbawcę mego interesowały najbardziej wszelkie me doświadczenia związane z polityką. Historię szalonego mnicha Giuseppe Piedimonte, zwanego rosettyńskim Savonarolą, musiałem opowiadać mu ze trzy razy, jednak w szczegóły spisku don familia de Pontevaggio wolałem go nie wtajemniczać. W swoim dworze pan Piekarski miał niewielką, ale zącą bibliotekę, dostrzegłem w niej i *Orlanda Szalonego Tassa*, *il Principe Makiawela*, księgi Erasmusa, także, pisma polskich mężów – Modrzewskiego Frycza, Orzechowskiego oraz całkiem ponoć udatną przeróbkę *Dworzanina Castiglione*, *wiek* blisko temu przez, pana Górnickiego sporządzoną. Były tam również kroniki Mundi i Polonii niejakiego Bielskiego i Kromera, lecz próżno szukałbyś błahostek i figlików, jakimi raczyli Polaków ich renesansowi mistrzowie z Czarnolasu i Nagłowic. Sam dwór – obszerny, z drewna, acz wzmocniony kamiennymi szarpami, wzniesiono na miejscu dawniejszej jeszcze gotyckiej fortalicji, z której ostała się wieża półokrągła, mieszcząca pewnie zbrojownię i skarbczyk, czego jednak mogłem się tylko domyślać, albowiem drzwi do niej zawsze zastawałem zawarte.

Wraz z powracającymi siłami słabła ma odporność na awanse Jagnieszki, owe zalotne śmieszki, pąsy, oczków przewracanie czy smakołyki ze spiżarni specjalnie dla mnie wynoszone.

Pan Michał nic przeciw owej konfidencji nie miał, przeciwnie – zachęcał mnie, bym wieczorami uczył dziewczkę czytać i pisać po łacinie. „Boć – jak mówił, to nie chłopka żadna, a uboga kuzynka, córka jedyna szurzyny mego, Jędrzeja, któren za rokosz Zebrzydowskiego poległ, pierś za mnie pod Guzowem nadstawiając”.

Czyniłem to tym chętniej, że sam gospodarz wieczorami przepadał gdzieś i mimo iż domostwa nie opuszczał, nigdzie znaleźć go nie mogłem. Pytany o swe nocne zajęcia twierdził, że historię panowania Zygmunta III Wazy pisze, co mogło być prawdą, jako że w sprawach polskich wiedzę miał zaiste niezwykłą. Uczyłem tedy Jagnieszkę, lekceważąc wściekle spojrzenia młodego Błażeja, syna rządcy, który na długo przed mem przybyciem smalił do podwiki cholewki.

Agnieszka jak na białogłową okazała się dość bystra; w dwa tygodnie recytowała z pamięci Wergila i Horacego, a gdy przyszedł Dzień Świętego Walentego, kiedy to mimo chłodów panujących nawet w tej północnej krainie ptactwo za parami rozglądać się zaczyna, nieopatrznie po Owidiusza sięgnąłem. Akurat Błażej z Kacprem do Sandomierza na dni parę się wypuścili, czeladź się pospała, pan Michał gdzieś w wieży nad opisaniem *victorii* kircholmskiej ślęczał, a ja... a my.

Wspominałem już, że jeśli idzie o miłosną eksperyencję, szczególnie zaawansowany nie byłem. Ileż bowiem miałem prawdziwych kochanek, wliczając czarownice Beatrice, którą posiadałem w warunkach dość szczególnych. I co tam mogłem w ogóle wliczyć? Nocne obląpanki z Clarettą Petacci, panią de Vendôme, jej pokojówkę Margot, Leonię Pontevaggio, raz jeden, scusi, dwa razy... Reszta były to namiastki ino lub próby i błędy, które najchętniej wolałbym zapomnieć.

Wszelako krew nie woda... Kiedy późnym wieczorem, poprawiając pisownię Jagnieszki (*ablativus* pomylił się jej z *accusativusem*), rękę jej żem ujął, ona uniosła moją do swych ust. Czy godziło się ją wyszarpnąć? Tymczasem młódka, pokrywając wierzch i wnętrze dłoni drobnymi pocałunkami, dotarła do palców, poczym pochwyciła jeden swemi usty i jak dziecię jęła ssać go zapamiętane.

Co było dalej?

A co być mogło. Mocowanie się z zapinkami i sznurówkami, oddechy mocno przyśpieszone, słowa wzbraniające, które brzmiały jak przyzwolenie... i nic, lubo prawie nic. Albowiem Jagnieszka, jako dobra katoliczka, gotowa była na wszystko, prócz utraty dziewictwa. Nie mam pojęcia, skąd do polskiego zaścianka dotarła eksperyencja pasująca bardziej do nierządnic z Lewantu, może za pośrednictwem Turków, którzy na obyczaj polski wpływ duży mają, w każdym razie wyczynialiśmy takowe figliki, których opisywać się nie godzi, a które bez naruszania pryncypiów dały obojgu pełne, choć w świetle nauk świętego Augustyna wielce wszeteczne, zaspokojenie.

Potem dziewczka uciekła, snadź własną odwagą przerażona, a ja leżałem rozpamiętując detale i rozkosze, których w tym dzikim i dalekim kraju nigdy bym się nie spodziewał.

Spałem bez snów i bez zwidów. A jednak, gdym się zbudził nad ranem, ciągle pachnący Jagnieszka i swą chucią, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że owej nocy był w komnacie ktoś jeszcze. Dowodów dostarczył mi napis rdzawym inkaustem na zakładce Makiawela uczyniony: FLÜCHTE!

Moja niemczyzna nie była pierwszej wody, nie mogłem jednak mieć wątpliwości – ktoś podczas mego snu napisał słowo w trybie rozkazującym: Uciekaj!

To, co jednak oczywistym było tuż po przebudzeniu, już w trakcie śniadania, któremu usługiwała ożywiona Jagnieszka, a imię pan Michał w wyjątkowo dobrem humorze sypał dykteryjkami, uległo zatarciu.

I ostałem, obiecując sobie wyjechać, kiedy mrozy zelżeją, a śniegi spłyną. Przecie oprócz dwóch wizyt tajemniczej nieznajomej żadnych innych powodów do obaw mlec nie mogłem. To, że nikt z domu na łów nie wychodził, a na stole pojawiała się codziennie świeża dziczyzna (dla mnie, rekonwalescenta, pan Piekarski, katolik zatwardziały bowiem, Wielki Post szanował), długo nie budziło nawet mego zainteresowania. Mój gospodarz zdawał się być ulepiony z samej życzliwości – serdeczny i bogobojny, co niedzielę do kościoła wyruszał, a wszelkie posiłki modlitwą zaczynał. Atoli gdym w kolejną niedzielę na nabożeństwo wraz z nim podążył, zadziwiło mnie traktowanie dobrodzieja przez miejscowych. Zda się otaczał go jakiś pancerz niewidzialny. Panowie szlachta czy czeladź dbali, aby przypadkiem go nie dotknąć, czapkowano mu z dystansu, a po mszy, kiedy inni zebrali się kupami wiadomości i plotki wymieniać, on stał samotnie i dość śpiesznie do domu zawrócił. Intrygowało mnie to. Nie było sposobności, by o przyczynę zapytać, bo niby kogo i w jakim języku? Inne zdarzenie budzące me zdziwienie, bo trudno by mówić o niepokoju, zresztą zrazu drobne, prawie niepostrzegalne, to codzienna przemiana, jaka dokonywała się w polskim szlachcicu, gdy szło ku wieczorowi. Jowialność ustępowała wewnętrznemu spięciu, milczenie zdawało się być podminowane jakimś niepokojem, złością, diabli wiedzą czym. Bywało, że w połowie wieczery podnosił się z nad stołu, mówiąc:

– Wybacz wasze, że go opuszczam, ale myśli we mnie nagromadziło się wiele, które bezzwłocznie na papier przeleję.

Wszelako gdym prosił, aby choć kawałek swych pism mi pokazał, sromał się i krygował, twierdząc, że dzieło niegotowe, pełne usterek jeszcze, wszelako z pewnością mnie z nim zapozna, a nawet zgodzi się, abym, przełożywszy je na włoski, w świat je powiózł. Składałem jednak to wszystko na karb pasji twórczej, wiedziałem bowiem, iż artyści dziwnie zwykli się koncentrować, jeden z rosettyńskich rzeźbiarzy na ten przykład chłostał swe sługi. Inny,

batalista przedni, dziwki sprzedajne zamawiał, by te go znieważały i fekaliami weń rzucały, mnie samego najlepsze koncepta nachodzą w kąpielu bądź w trakcie defekacji...

Tak więc zażywałem podle Bieńkowic miłych wywczasów, oddając się lekturom, rysowaniu portretów szlachciury i jego domowników i co jakiś czas ćwiczenia językowe z panną Jagnieszką ponawiając. Wiedziałem jednak, iż jest to stan tymczasowy.

Z początkiem marca mróz nadal trzymał siarczysty, choć dni stały się nieco dłuższe; powrócili Kacper z Błażejem, a wraz z nimi ksiądz kanonik z sandomierskiej kapituły, tłusty i krągły niby fryga dziecinna i jak owa zabawka pełen wirującej, kontreformacyjnej energii.

Korzystając, iż po zmierzchu pan Michał, jak to miał w zwyczaju, oddalił się do swej wieży, siedliśmy z księdzem przy gąsiorze – on sam sobie udzielił dyspensy jako podróżnemu, mnie zaś – cudzoziemca – surowe reguły Wielkiego Postu nie obowiązywały. Zresztą, w Rzeczypospolitej trwała wojna, a ta, jak wiadomo, znosi normalnie obowiązujące reguły.

Sandomierski kanonik zrazu rozwodził się nad perspektywami aktualnej kampanii moskiewskiej, która, jego zdaniem, z Bożą pomocą miała rozszerzyć zasięg prawdziwej wiary. Dzięki unii w Brześciu, na której większość wschodniego duchowieństwa uznała prymat rzymskiego papieża, i sukcesom polskiego oręża, które od wielu lat dowodziło niewątpliwiej wyższości nad ruskim, perspektywa takowego zwycięstwa Rzymu zdawała się realna. Moskiewski kolos ciągle nie mógł się pozbierać ze stanu smuty, która była następstwem szaleństw cara Iwana, zwanego Groźnym, a także jego następców często dorównujących mu w okrucieństwie. Godunow, Szujscy, dwóch Dymitrów Samozwańców, wspieranych przez polskich panów Mniszców – wojenne paroksyzmy i bunty ludowe zdawały się nie mieć końca, niosąc śmierć zniszczenia i nieprawdopodobne cierpienia ludu od wiek wieków traktowanego w Rusi gorzej od zwierząt. I dziwiła mię kontentacja Polaków takim stanem sąsiada, budzącym w człowieku Zachodu skurcz serca i łzę niejedną.

Atoli mawiał nieraz pan Piekarski:

– Ruski niedźwiedź póki otumaniony, schorowany, niegroźny jest i pokorny, dajcie mu jednak urosnąć w siłę, a okaże się gorszy od Tamerlana.

Trudno doprawdy było nazwać pana Michała człkiem światowym bądź obywatelem Europy – Szweda nie lubił, Niemcem gardził, z Czecha się wyśmiewał, Wielkorusa zaś darzył żywą, nie do końca zresztą bezpodstawną nienawiścią, dowodząc, iż jest to człek, a może

nawet i niecułek, z innej ulepion gliny – z jakiegoś mongolsko-bizantyjskiego łu, nawilżonego łzami i krwią.

– Wszelako – twierdził – gdyby go oświecić, ucywilizować i dać w karby ojców jezuitów, może z czasem by wyszedł na ludzi.

Burzyła się we mnie dusza przeciw takim uproszczonym opiniom, luna sprawa, że z Moskwicininów znałem jednego, na wskroś zeuropeizowanego księcia, balującego bez przestanku w Rosettinie, oraz genialnego malarza ikon, którego odwiedził w Krakowie, gdzie na wygnaniu z ojczyzny przebywał.

Kanonik w zasadzie podzielał antypatie pana Michała, choć u księdza brała górę niechęć bardziej spirytualnej natury. Uważał wschodnią ortodoksję, a nawet sam obrządek w Brześciu przeciw dozwołony, za obelgę rzucaną co dnia panu Jezusowi i Najświętszej Paniencie, co było o tyle dziwniejsze, że niejedna Madonna z polskiego domu miała rysy ze wschodniej ikony. Ową nienawistność wobec potomków Ruryka tłumaczył pokrętnie ich kryptożydostwem. Zaskoczyło mnie to wielce, ale kanonik opowiedział mi o dawnym państwie Chazarów, którzy na długo przed chrztem Rusi judaizm przyjęli i chociaż po ich chanacie nie pozostał nawet ślad, krom nazwy Kozak, jaką stepowym mieszkańcom Małej Rusi przydawano, to na wielkich przestrzeniach wschodnioeuropejskiego niżu całe mnóstwo miało żyć owych rudawych i błękitnookich potomków Abrahama.

Przy drugim dzbanie doskonałego węgryzna, wedle zapewnień gospodarza jeszcze z czasów Batorego pochodzącego, ksiądz, postury dość nikczemnej, jak każdy Polak łeb miał mocny, a brzuch wielki, dał się tedy namówić na zmianę tematu. I z wielkiej polityki do spraw pana Piekarskiego przeszliśmy.

Pociągnięty za język kanonik chwalił wielce pana Michała, wywodził pod niebiosa jego hojność dla kościoła, aliści w którymś momencie napomknął, iż Bóg doświadcza ciężko najlepszych nawet ludzi. Nadstawiłem zatem uszu i drążyłem temat dalej. Wnet okazało się, że za młodu imię Piekarski hultał sporo, aż oberwał w niejasnych okolicznościach w czerep, tak że długo bez zmysłów leżał, potem zaś popadł w niebezpieczne rozumu pomieszanie, aż pewnego razu w furii, bez wszelkiego powodu, na zamku krakowskim kucharza swego szwagra, niejakiego pana Płazę zabił, a wielu ludzi próbujących go powstrzymać poranił. Toteż za zgodą rodziny reskryptem kasztelana krakowskiego w wieży musiał być trzyman. Szczęściem po pewnem czasie, za sprawą modlitw, jakie zań krewni i przyjaciółowie do bożego Jana zanosili, doznał znacznego uspokojenia. Mógł zostać zwolnion i do wszelkich praw przywrócony, choć ludzie, jak to ludzie, nadal zerkali nań jak na tego, którego był po drugiej stronie rozumu.

„Zatem wariat, ale niegroźny!” – skomentowałem w duchu.

Duchowny przeszedł tymczasem do istoty sprawy, która go do Bieńkowic sprowadziła. Słyszając, iż jestem włoskim malarzem, fama pomnożyła moje rzeczywiste kwalifikacje, zaproponował mi wykonanie cyklu obrazów *al fresco* dla sandomierskiej kolegiaty. Nie powiem jak ucieszyła mnie ta propozycja, o jakiej w innych stronach marzyć tylko dopotąd mogłem. Ostudziły zaś mnie nieco jej szczegóły.

– Marzy mi się, panie Derossi, szereg malowideł obrazujących cierpienia i zniewagi, jakich doznawała i doznaje nasza święta wiara katolicka. Szczególnie w zacnem moim grodzie nie brak odszczepieńców: luteran, adherentów Ariusza, co braćmi polskimi zwać się ośmielają, a, co gorsza, Żydów. Ich zbrodnie wobec Polaków są tak wielkie i tak odrażające, iż proszą się wymalowania, gwoli przestrogi.

Tu wpadłszy w prawdziwy ferwor, przytaczać począł liczne przykłady zasłyszanych żydowskich zbrodni, profanacji hostii, porwali dzieci niewinnych, rytualnych mordów polegających na wytaczaniu z nich krwi... A opowiadał o tem w sposób tak plastyczny, iż włosy jęły stawać mi na głowie.

Gdym spytał, z jakiego powodu Izraelici mieliby dopuszczać się takich czynów w gościnnej przecie dla ich szczepu ziemi polskiej, tak odmiennej od innych krain, a szczególnie Hiszpanii, gdzie prześladowań wielkich zaznają, kanonik odparł błyskawicznie, iż co prawda nie ma w tem logiki, ale taka jest po prostu istota żydowskiej natury, udokumentowana najlepiej kaźnią Bożego Syna.

Gdybym nie widział na własne oczy, w Rosettinie, czego dokonać może ciemnota i zabobon sprzężone z nietolerancją, może bym sandomierską propozycję przyjął. Jednak sama myśl, jakie owoce zrodzić kiedyś się mogą z równie zatrutego ziarna, jakim byłoby plastyczne podparcie ohydnych zabobonów, nie pozwoliła mi na to. Odparłem tedy grzecznie, że tak długo w okolicy bawić nie zamierzam, by podjąć się malowania fresków w kościele, chętnie namaluję jeden lub dwa obrazy, powiedzmy Świętej Rodziny w malowniczych strojach polskich, tak odmiennych od panujących w Europie kryz i koafiur. Duchowny potraktował tę propozycję kwaśno, mówiąc, że zapłacić wiele nie może.

– Bardziej od zapłaty zależy mi na bożym miłosierdziu – odparłem dyplomatycznie.

Jeszcze podczas śniadania kanonik, wspierany mocno przez pana Michała, ponawiał swą ofertę kilkukrotnie, ale trwałem przy swoim i postawiłem kropkę nad i stwierdzeniem, że malowaniem Żydowinów się po prostu brzydzę.

To uszanowali wszyscy. Błażej z Kacprem wyjechali odprowadzić księdza aż do Sandomierza i dokonać tamże niezbędnych zakupów, w których listę ich zaopatrzyłem. Krom

plótna i komponentów do zrobienia farb wypisałem parę jeszcze innych aptekarskich specyfików. Ich nazwy postronny nic nie mówiły, mnie zaś potrzebne były do realizacji pewnej idei, która się w mej głowie załęła.

Nadal bowiem byłem tym samym ciekawskim chłopakiem, który omal życia nie postradał, podglądając pogańskie misteria w Montana Rossa. Tu wyznam, że nie tyle interesowała mnie literacka twórczość pana Piekarskiego, ile owa tajemnicza dama, którą w swej wieży niewątpliwie więził. Kimże była? Nie córką, bo takowej nigdy nie miał, nie żoną, bo mu przed laty odumarła. Prócz nocnych wizyt miałem insze dowody jej istnienia. Błada twarz, którą zoczyłem parokroć w okienku na szczycie wieży, dym dobywający się od rana z komina ponad wieżę i wreszcie dźwig, który odkryłem w ścianie kuchni przystającej do donżonu, niechybnie służący do dostarczania posiłków na szczyt budowli.

Studia u boku il *dottore* nie poszły na marne, z przywiezionych przez ludzi pana Michała proszków i mikstur udało mi się sporządzić silny, acz nieszkodliwy środek nasenny, znany alchemikom od dawna, którym sam raz zostałem na Malcie uraczon. Zaprawiłem nimi wino serwowane do wieczery, także reszkę zupy, którą po zabraniu z pańskiego stoła syciła się czeladź.

Nie minął kwadrans, a pan Piekarski zachrapał na swem stolcu, osunęli się na ławy jego totumfaccy, sen zmorzył Jagnieszkę w korytarzu. Zajrzawszy po chwili do kuchni, ujrzałem trzy śpiące dziewczki i czterech równie śniętych pacholików, kuchcika zaś musiałem szybko gasić, bo opadłszy na ziemię kole pieca, żywym ogniem się zajął.

Zawarłem drzwi wejściowe, izby z dworu nikt postronny nie nadszedł, i wziąłem się do dzieła. W sakiewce gospodarza znalazłem klucz od kłódki. Otwarłem ją i już po chwili, z kagankiem w dłoni, wspinałem się wąskimi, stromymi stopniami w górę gotyckiej wieżycy. Minąłem dobrze zaopatrzoną zbrojownię i, otworzywszy wąskie drzwi u szczytu schodów, znalazłem się w komnacie niewielkiej, całkowicie okien pozbawionej, której mroczność pogłębiał czarny aksamit, którym wybite były ściany. Także czarny był fotel przed stołem stojący i lawa skórą ciemnego jak noc byka wyłożona. Od czerni odbijały woskową barwą jedynie świece stojące na czarnym stoliku i purpurowa jedwabna narzuta kryjąca obraz wiszący za stołem. Pociągnąłem ją, spodziewając się ujrzeć lico diabła, ale zobaczyłem tylko własną, lekko pobladłą twarz. Tkanina przysłaniała lustro. Dość stare, w srebrnych ramach zdobionych jakimś pradawnym stylem przypominającym babilońskie ornamenty, o tafli zmatowiałej i usianej setką starczych żyłek.

Rozglądałem się dalej po izbie lekko zadziwiony. Jeśli gospodarz oddawał się w tej samotni magii, brakowało kabalistycznych znaków, magicznych akcesoriów, nade wszystko

zaś zapachu towarzyszącego czarnoksiężskim praktykom. Tu czuło się jedynie zapach spalonych knotów i topionego wosku, z odrobiną kobiecego pachnidła.

– Gdzie kryjesz się, o pięknu nieznajoma? Macając tkaniny, odnalazłem ukryte pod nią kolejne drzwi i dalsze schody. W ich połowie natrafiłem na otwór kuchennej windy i uruchamiający ją kołowrót. Szedłem dalej, aż natknąłem się na jeszcze jedno, zamknięte przejście. Blokowała je solidna zasuwka. Naoliwiona, otworzyła się łatwo.

Szczytowa izdebka przypominała rajskie gniazdko wybite jasnymi tkaninami, ciepłe i przytulne. Pomieszczenie pełne było pięknych obrazów, farfur i lalek, miało też swego rajskiego ptaka – dziewczynę śpiącą, a może jeno odpoczywającą na łożu z brokatu. Na mój widok poderwała się na równe nogi.

– To pan! – krzyknęła po polsku. A potem przeszła na niemiecki. – Cóż najlepszego uczyniłeś, nieszczęsny człowieku. Nikt bezkarnie nie może tu przebywać.

Starłem się ją uspokoić, opowiadając o swym fortelu i zapewniając, że mikstura, sporządzona wedle recepty samego Paracelsusa, zapewni wszystkim niezakłócony sen aż do rana. Nie całkiem przekonana uspokoiła się na tyle, iż mogła odpowiadać na me pytania i opowiedzieć o sobie.

Nazywała się Margareta Hausner i była córką krakowskiego mieszczanina trudniącego się drukarstwem. Parę lat temu jako czwarta córka, w wieku czternastu lat, została oddana do nowicjatu sądeckich klarysek. Wszelako nie dojechała do celu. Za Bochnią na kupców, z którymi podążała, napadła grupa zbójów pod wodzą niejakiego Mykoły. Wszystkich podróżnych bezlitośnie wybito, ją zaś krótko w leśnej ziemiance więziono, po czym przywieziono tutaj.

– Hańba! – zakrzyknąłem. – Szlachcic ze zbójcami w pacie, parający się procederem godnym Tatarów. Cóż za niegodziwiec! Zapłaci gardłem!

– Pohamuj swój gniew, panie rzekła Małgorzata. – Pan Michał, prócz więzienia mnie tu, nijakiej krzywdy mi nie czyni, mogę nawet mniemać, iż prowadzę żywot lepszy od tego w klasztorze. Nie zbywa mi na niczym. Miałam nawet gadającego kosa, ale uciekł mi w Boże Narodzenie. Pan mój traktuje mnie z respektem jak królową i dba jak o skarb...

„Luksusowa odaliska” pomyślałem.

Odgadła mą myśl, bo spłonęła się.

Traktuje mnie jak córkę. I mimo młodego wieku poznałabym, gdyby – korzystając z mego uspienia – zapragnął mnie pohańbić.

– On cię usypia, pani!?

– Co noc sprowadza mnie do czarnej komnaty, tam daje do picia napar aromatyczny, sadza na ławce, rozstawia świece i odsłania lustro...

– A potem?

– Nie wiem, bo śpię bez snów żadnych. A po przebudzeniu niczego nie pamiętam.

– Nic ci nie mówi o swych praktykach?

– Twierdzi jeno, że dzięki memu pośrednictwu czerpie z lustra wiedzę o rzeczach terażniejszych i przyszłych.

– Jednak czasami udaje ci się wychodzić z wieży?

– Gdy nie ma gości, zdarza się, iż wyprowadza mnie sam. Kiedy indziej noce przed lustrem wyczerpują go tak bardzo, że zbudziwszy się znajduję go omdlałego lub uspionego. Wtedy schodzę na dół... Latem w księżycowe noce spaceruję nawet po ogrodzie... Czasem przyglądam się gościom takim jak pan.

– I ostrzegasz ich?

Zawahała się, a jej oczy dziwnie zwilgotniały.

– Tylko pana.

– Coś mi grozi?

– Nie wiem, ale przypadkowo słyszałam, jak na pytanie Mykoły, co będzie, jeśli pan odmówi współpracy pan Michał odrzekł: „Nie odejdzie przecie wolno”.

Zadrzałem.

– A ty nigdy nie próbowałaś uciec, pani? – spytałem.

– Nie myślałam dotąd o tym, pan Piekarski dał mi szlacheckie słowo honoru, iż gdy tylko osiemnastą wiosnę ukończę, co za pół roku nastąpi, wolna i posażna będę. Gdybym zechciała (ale mi to zupełnie nie w głowie), rękę swą panu Michałowi oddam, bo zabiega o nią, jeśli nie, będę mogła do klasztoru iść lub na damę dworu któregoś z możnych przyjaciół pana Piekarskiego rekomendację otrzymam.

– Wierzysz zatem współnikowi rzezimieszków i morderców?

– Wyboru nie mam. Pan i jego słudzy mają długie ręce, szczególnie Mykoła, herszt owych zbójców, którzy mnie pojмали.

Olśniło mnie.

– Chwileczkę! – zawołałem. – Czy ów Mykoła to czasem nie taki potwór o łapskach pająka?

– Onże sam! Osobliwie mocny i bezwzględny, ślepo jednak panu Michałowi oddany.

– A zatem, pani – wyjąkałem – oboje jesteście takimiż samymi więźniami, albowiem i ja za sprawą cnego Mykoły się tu znalazłem, a nasz ciemieżca intrygę sprytną przedsięwziął, tak abym brał go za swego wybawcę...

– Trafnie wykoncypowane – wtrącił Piekarski, stając w drzwiach. Za nim dojrzałem cień w osobie upiornego rzezimieszka. Gospodarz jednak, celowo ujawniwszy nam jego obecność, kazał mu iść precz. – Słusznie doceniłem twój dowcip, panie – ciągnął aczkolwiek ty nie doceniłeś mojego.

– Jak się pan zdołałeś obudzić? – wyjąkałem.

– Przejrzawszy twój plan, symulowałem jeno picie. Zresztą i bez swego odkrycia dowiedziałbyś się o wszystkim.

– Nie zaprzeczysz tedy, mój panie, że zostałem raniony z twego polecenia, że jestem twym więźniem, że...

– Pozwól, panie Derossi, że najpierw zapoznam cię z faktami, potem sam o mych intencjach wyrokować będziesz! – Tu podsunął mi miękkiego karła, sam zaś przysiadł na skrzyni. – Daj nam, Margosiu, miodu i bakalii, które wczora dla ciebie z Carogrodu nadeszły.

Słuchałem tedy gospodarza mego, a historia zdała mi się dziwniejsza niż baśnie z tysiąca i jednej nocy.

– Widziałeś już moje lustro, asan, nie masz mu równego na tej ziemi. Jedni powiadają, że jego ramy uczyniono ze stopionych srebrników Judasza, inni, że pamięta jeszcze czas budowy wieży Babel. Osobiście wydaje mi się to nieprawdopodobne, albowiem nie znano naonczas jeszcze szkła, przeto wierzę, iż pochodzi z Wenecji, skąd trafiło w ręce Nostradamusa, onego Żyda w służbie króla Henryka, któremu przypisuje się poznanie tajemnic ludzkości aż do skończenia świata. Człek któremu je zawdzięczam, utrzymywał, że w bezksiężycową noc na krakowskich Krzemionkach wręczył je sam czart pewnemu polskiemu szlachcicowi, któren mu dusze zaprzedał.

– Twardowskiemu! – wykrzyknęła Margosia, mimo iż rozmowa toczyła się po łacinie, musząc, wiele z niej zrozumieć.

– Różne człek ten nosił imiona i różnym panom służył. W zмовie z dworzanami króla Augusta, Mniszchami, wywoływał dlań ducha królowej Barbary Radziwiłłówny, ba, mam powody wierzyć, iż osobiście do unii lubelskiej go przekonał, przed ztratą Rzeczypospolitej przestrzegając. Lecz gdy stary król nie uwierzył, iż jego zaufani rękodajni zamach nań szykują, by w Knyszynie skarbcem zawładnąć, Twardowski ucieczką ze swym pacholikiem się salwował. Zbiry Mniszchów dopadły go nocą w karczmie „Rzym” i uprowadziły w nieznane, stąd klechda poszła, iż diabeł go porwał. Co dalej z czarnoksiężnikiem się stało, nie

wiadomo, istotne, iż Mniszchowie uwierzyli jego wróżbom, w których obiecał ich córce Marynie tron Wielkiej Rusi i koronę carów. To właśnie, jak sędzę, do szaleńczych działań wspólnie z Dymitrem Samozwańcem ich natchnęło. Czy Twardowski zataił przed nimi, jak się owo carowanie zakończy, nie wiem. Dziś wiemy, iż jeden Dymitr nie żywie, boć obejmując tron moskiewski, popisał się nadmierną łagodnością, najpierw wydając wyrok na zdrajców Szujskich, a potem z dobroci i głupoty żywcem ich spod szafotu puszczając, a drugi Samozwaniec, wszędy łże-Dymitrem zwany, w coraz większe popada tarapaty. Co do wspomnianego lustra magicznego, mówi się, że jest przechowywane przez spadkobierców Mniszchów. Ja wiem wszelako, iż dzierżą oni jedynie duplikat nieposiadający mocy oryginału...

– A oryginał? – wyrwało mi się.

– Pacholik Twardowskiego gnany ogromnym strachem zwierciadło dobrze ukrył, sam zaś

pod zmienionym nazwiskiem jako kościelny w jednej ze wsi pod Krakowem posługiwał. Z wiekiem lęk przerodził się w urojenie, urojenie w szaleństwo tak mocne, że zamknięto go w wieży, przeznaczonej dla podobnych jak on nieszczęśników. Tam na śmiertelnym leżu wyznał gniołącą go tajemnicę jednemu z współtowarzyszy niedoli.

– Którym pan byłeś?

Skinął głową.

– Nie uwierzyłem w tę opowieść. Kiedym jednak zdrowie i wolność odzyskał, uznałem, iż nie zawadzi sprawdzić. Podążyłem w Karpaty i, wedle jego wskazań, w dolinie dzikiej, gdzie krom skał i kniei ino kuźnia i koliby poszukiwaczy rud, odszukałem jaskinię tajemną, bogatą w stalaktyty i stalagmity, a w niej trafiłem na nienaruszone zwierciadło. Nie miałem wszakże magicznych predyspozycji mistrza Twardowskiego, nie zawarłem także paktu z diabłem, toteż początkowo w żaden sposób nie umiałem wykorzystać swej zdobyczy. Aż los i Mykoła sprowadzili w me ręce skarb w postaci dziewicy czystej, darem prekognicji obdarzonej... Margosi.

– Zali zaprawdę możesz pan dzięki niej przewidywać przyszłość?

– Mogę wam to pokazać, mości Derossi.

Zasłiśmy wspólnie do czarnej komnaty. Piekarski polecił mi sięść w kącie, nie odzywać się, nie dziwować jeno baczyć, co się będzie działo. Margosia wypila napar snadź zawczasu przysposobiony, i ułożyła się na ławie. Gospodarz rozpałił świecę i ustawił niewielką klepsydrę. Gdy piasek się przesywał, w milczeniu obrócił ją i rzekł:

– Wstań, Margareto.

Dziewczyna wstała, oczy miała zamknięte, wszelako dość równymi krokami podeszła do stołu i zasiadła naprzeciw lustra.

– Otwórz oczy – rzekł Piekarski.

I wtedy ujrzałem w lustrzanym odbiciu gwałtowne uniesienie powiek. Oczy Margosi przypominały teraz dwie puste głębokie studnie.

– Widzisz? – spytał dziewczynę gospodarz.

– Co mam widzieć?

– To, coś widziała wczora.

Dłuższą chwilę trwała w milczeniu, potem zaczęła się kiwać jako Żydzi w bożnicy, oddychać gwałtownie, wreszcie mówić. Po polsku, nie rozumiałem więc słów, choć z intonacji mogłem się domyślać, o czym prawi.

Zrazu musiała relacjonować jakiś widok, a był on tak sugestywny, aż czuło się w nim powiew wietrzyka, upał letniego dnia. I przysiągłbym, że spod słów zaczyna dobiegać do mnie tysięczny tupot nóg po gościńcu, szcęk ekwipunku, zgrzyt toczonych kół i lawet, i nagle z ust dziewczyny poczęły padać komendy, jedne niemieckie, inne śpiewne, zda się ruskie. Potem jęła imitować granie armat, grzmoty rozpryskujących się pocisków, krzyk ginących, kwik koni. I posłyszałem wielki tętent jazdy i okrzyki animuszu, to znów bólu i przerażenia.

Pan Michał stanął nad Małgorzatą i uniośł dłonie nad jej głową i poruszając niemi, począł sterować jej głową tak, jakby należała do marionetki poruszanej niewidocznymi nitkami. Przyśpieszał ją i zwalniał, tak że zda się żeglowała pośród linii ataku i obrony, obserwowała trwający bój pod wieloma kątami, aż wreszcie krzyczeć poczęła, wydając z siebie zwielokrotnione męskie głosy: „Victoria, victoria!”, a później cała potem złana opadła twarzą na czarne sukno.

Wszelako Piekarski nie dał jej odpocząć.

– Kiedy to będzie? – zapytał.

Milczała, nie podnosząc głowy. Wyjął tedy z kieszeni malowane na kościanych płytkach cyferki, jakie daje się niekiedy do zabawy dzieciom.

– Kiedy? – powtórzył.

Drżące palce zmacały czwórkę i siódemkę.

– 4 lipca? – upewnił się pan Michał.

Westchnęła afirmująco.

– W którym roku? W którym roku?!

Z jej ust dobył się szept ledwie dostrzegalny i dosłyszalny.

– W tem.

– Zakonotuj sobie tedy, waćpan – rzekł, zwracając się do mnie – że 4 Julius Anno Domini

1610 wojsko Polskie pod wodzą pana hetmana Żółkiewskiego zetrze w pył moskiewską potęgę.

„Na czym, jak na czym, ale na bezczelności mu nie zbywa” – pomyślałem. Wówczas byłem więcej niż pewien, iż cała scena jest jedynie sprytną mistyfikacją, zaaranżowaną na mój użytek w bliżej niejasnym celu przez zręcznego prestidigitatora we współdziałaniu z utalentowaną brzuchomówczynią.

Wszelcy wróże, jasnowidze i prorocy, o jakich zdarzyło mi się czytać bądź słyszeć – od świętego Jana na Patmos po słynnego Nostradamusa – kreślili obrazy przyszłości enigmatycznie, wieloznacznie, tu zaś ukazywano mi jutro tak wyraźne jak na obrazie wyrysowane. Udałem jednak, że biorę prezentację za dobrą monetę. Pomogłem zanieść uśpioną dziewczynę do łóżnicy, sami zaś zeszlśmy na dół. Po drodze zauważyłem na poziomie gruntu jeszcze loszek ciemny odchodzący w dół. Prowadził zapewne na zewnątrz dworu i dzięki niemu gospodarz mógł komunikować się ze światem poza wiedzą pozostałych domowników.

– Nie wierzy mi pan? – Piekarski popatrzył mi prosto w oczy, kiedy zamknął już kłódkę chroniącą jego tajemnicę.

Byłem zbyt zmęczony na wykrety.

– Szczerze mówiąc, nie! – odparłem.

– Chwalebna szczerość. Pojedziemy zatem jutro do Sandomierza. Winny czekać tam listy donoszące z obozu królewskiego donoszące mi o tem, iż w dniu 24 lutego w obozie pod Smoleńskiem poselstwo moskiewskich przeciwników Wasyla Szujskiego zaoferowało królewiczów Władysławowi koronę cara Moskwy i całej Rusi. A Zygmunt III w imieniu syna zdecydował się ją przyjąć.

– Wie pan to ze zwierciadła?

– Nie inaczej.

– Zatem jest pan wszechwiedzący jak Pan Bóg.

– Pozornie. Zdarzenia mające nastąpić niebawem Małgorzata może opisywać nieomal tak dokładnie, jakby spoglądała na nie przez okno. Im dalej w czasie, obraz staje się coraz bardziej mglisty, może mieć też wiele wersji... Nadto jest jeszcze jeden defekt onej prekognicji.

– A mianowicie?

– Nie sposób dostrzec w tym lustrze siebie. I swoich własnych losów.

Owego wieczoru nie skończyliśmy rozmowy, obaj byliśmy nadto zmęczeni. Rano, jak pan Michał obiecał, czekały nas okulbaczone konie. A z nimi gotów do drogi Kacper. Błazej miał ostać w domu. Z Jagnieszką. Nie bardzo się tym przejmowałem, albowiem całą moją imaginację zajęła Margareta. Muszę wyznać, że od spotkania Beatrycze niczego takiego nie zdarzyło mi się odczuwać.

Dzień wstał słoneczny, bezchmurny, wszędy topniały śniegi, z leśnych ostępów dochodził szczebiot ptactwa radującego się bliską już wiosną. Mimo dość wyęźzonego cwału i częstej zmiany koni na luzaki podróż z racji rozmiękłych dróg, wielości brodów i przepraw przez rozlane rzeki blisko pół tygodnia nam zajęła.

W trakcie drogi rozmawialiśmy mało. Snadź mój gospodarz pragnął, abym ochłonął po nocnych rewelacjach, a może uznał, że wyznał za wiele. Za dnia na koniu zdawał się najnormalniejszy w świecie, co skłaniało mnie do refleksji, jakimż dziwnym w istocie urządzeniem jest człowiek. Wiezorami zaś zmęczeni dosłownie natychmiast po dotarciu usypialiśmy w zajazdach.

Tak przemierzywszy szmat kraju, dopiero trzeciego dnia pod wieczór stanęliśmy przy przeprawie. Na tle purpurowiejącego od zachodu nieba panorama Sandomierza przedstawiała się pięknie, nie ustępując urodą miastom włoskim, aż zapragnąłem chwycić za pędzel i ją odmalować. Jednak z braku czasu poprzestałem jedynie na szkicu węglem. Wrysowałem tedy z mierzwy drzew wrastające kościoły Świętego Pawła i Świętego Jakuba jeszcze za murami położone, dalej mnogość baszt i wierzyc strzelistych, których przynależność pan Michał mi objaśniał, wskazując strzelisty ratusz, rozległy zamek oraz kościół św. Piotra i samą farę. Dołem, nad Wisłą, ciągnęły się liczne spichlerze, podkreślając dostatni, handlowy wizerunek miasta.

O zmroku stanęliśmy u celu, w wąskim domu, podle sandomierskiej kanonii gdzie nasz niedawny gość wyszykował dla nas grzeczną komnatę z dwoma alkowami do spania i stołem bogatym w ryby oraz suszone owoce, choć postnym. W przyległej komnacie mieściła się biblioteka, w której stał wielki globus, majstersztyk jakiegoś gdańskiego mistrza. Po krótkiej wieczerzy, ksiądz kanonik się oddalił, pan Michał pokazał mi listy, które już z obozu pod Smoleńskiem nadeszły. Zauważyłem, iż usunął wpierw z nich pieczęcie i odarł podpisy, tak

jakby chciał ukryć, kto w obozie królewskim jest jego informatorem, a może i równocześnie mocodawcą. Z pewnością musiał być to ktoś mający wgląd do królewskiej kancelarii.

– Czytaj wasze! – rzekł, podając mi pismo.

List, sporządzony po łacinie, stanowił odpis raportu nuncjusza papieskiego. Wspominał on o warunkowej zgodzie Zygmunta na wybór królewicza Władysława na cara ruskiego; ostatecznego potwierdzenia miał dopiero dokonać polski Sejm. („Bez konsensusu wszystkich stanów nie chcieliśmy z nimi nic skutecznego zawierać” – zastrzegał się monarcha).

We wstępnym porozumieniu Sigismundus Vasa zobowiązywał się cerkiew prawosławną w Wielkiej Rusi zachować, choć w Moskwie wrychle stanąć miał murowany kościół katolicki. Godził się też, iżby Polacy i Litwini mieli być wykluczeni od urzędów w państwie moskiewskim, zaś włości swym sługom mógłby car Władysław Zygmuntowicz nadawać jedynie za zgodą bojarstwa.

I co o tym waść myślisz? – pan Michał uśmiechnął się chełpliwie. – Czyż nie przewidziałem tego?

Zgodziłem się z tem, myśląc w duchu, że przecie pismo mogło być mu znane parę dni wcześniej. Zresztą, pan Piekarski nie słuchał mnie wcale, tylko krążąc po izbie jak jastrząb upatrujący łupu, gadał bez ustanku, podniecając się własnymi słowy coraz bardziej i bardziej. Twarz krwią poczęła mu obrzmiewać, iż jąłem obawiać się, by nie padł rason apopleksją.

– Jak już wiesz, panie Derossi, nie masz u mnie żony ni dzieci – prawil. – jedyna miłość, która goreje we mnie, to umiłowanie ojczyzny mej Rzeczypospolitej, dla której postanowiłem żyć, a jak Bóg zechce, i umrzeć. Czyż jest bowiem kraj cudniejszy i naród bardziej dumny niż szlachta nasza?

Profilaktycznie nie polemizowałem.

Podszedł do globusa i palcem począł na nim limesy kreślić.

– Czyż może równać się z nami mała Francyja, rozczłonkowana Italia, podzielone Niemcy czy wyspiarska Anglia? A gdzie znajdziesz większe wolności i swobody? Gdzie każden obywatel nie może być więzion bez wyroku sądowego, a szlachcic, po równi wielki czy też mały mocen jest króla sobie obierać, a nawet sam onym królem ostać? Pokaż mi drugi kraj, gdzie wiara katolicka wszędy reformą podkopana, może równie rozkwitać pozwalając wszelako nawet odmieńcom żyć w zdrowiu, nie grożąc im stosami, chociaż trochę by nie zaszkodziło... A jeśliby – tu mocniej w globus klepnął – jeśliby udało się młodemu Władysławowi władztwo moskiewskie utrzymać, a potem jedną unią wszystkie korony połączyć i swemu dziedzicowi przekazać, któż by się nam oparł? Za Moskwą już tylko tysiące mil głuszy, lasów zwierza pełnych, skarbów pod ziemią ukrytych. Zdobyć Kreml to

jakby klucz znaleźć do bezkresnych przestrzeni aż do Chin i wielkiego oceanu. Kto rozumnie tą dziedziną zawładnie, będzie panem tego świata większym niż macedoński Aleksander, niż Cezar...

– Atoli... – Głos mu się zrobił chrapliwy. Tak mroczny, iż zdało mi się, że świece w komnacie przygasły. – Atoli, jeśli sprawy potoczą się zwyczajną koleją, tak się nie stanie. Krom splendoru udziałem naszym będą zatracona własna i pogarda obcych. Nim wiek minie, kraj nasz przemieni się w karczmę rozstajną dla obcych wojsk, nim drugi zbiegnie, przypadnie los nam wytraconych Etrusków, Trojanów, Babilończyków. Przepadniemy ze szczętem, panie Derossi, rozszarpani przez wilka, niedźwiedzia i sępa. Dziś w Moskwie po polsku mówią i czapkami drogę przed nami miotają. Prędko też jest dzień, kiedy na salach zamku warszawskiego rzucają na posadzkę pod nasze stopy rosyjskich carów, jako zwykle się rzucać chorągwie zdobyczne... Cóż z tego, splendory miną, a potomki nasze cyrylicy uczyć się będą i las w sybirskiej kniei karczować im przyjdzie... Teraz księżę pruski stopy nam liże, a cesarz rzymski z pola walki pohańbiony przez Zamoyskiego schodzi, pojutrze pospołu z Moskwicinem rozszarpia Rzeczpospolitą jak psi trupa. Tak, il Cane, zapewne jeszcze nie wiesz, że kiedyś takim przydomkiem cię nazwą, ale ja widziałem to wszystko oczyma Małgorzaty. Tak samo jak owe tysiączne rzezie, karawany wozów uwożących w Moskwę bogactwa nasze, kibitki pomykające na wschód z zesłańcami I strzały w tył głowy bezbronnych jeńców w brzozowym lesie... Nie wiem, zali jest ktokolwiek w świecie władny to odmienić, ale, na mękę Chrysta, czyż wolno mi, dysponując taką wiedzą, nie spróbować? Spróbujemy zatem, mości Derossi, a wiem, że przed tobą wielka rola...

Nie wiem, co miał na myśli, mówiąc o mej roli. I nie bardzo chciałem wiedzieć. Przed oczyma miałem oczywistego szaleńca.

– Margośka mówi, iż z twoim udziałem odmiana taka jest możliwa. Tedy błagam, nie odmawiaj mej skromnej prośbie, a jak nie – tu z furią porwał czekan przy sakwojżach leżący – tym żelazem mózg twój na wierzch wywlokę!

Wiedziałem, że nie żartuje, a ponieważ nie był pierwszym waryjatem, któregom w życiu poznał, cofnąłem się za stół i powiedziałem szybko:

– Uczynię wszystko, aby waszmość panu w jego chwalebnym dziele dopomóc.

Na to *dictum* czekan z rąk upuścił i miast dalej wygrażać, skoczył ku mnie, objął serdecznie i, zalewając się łzami wzruszenia, całować począł. Wołał przy tem, iż będę *salvatore*, zbawcą... Dalszej opowieści poniechał, jeno wypił do końca wino, legł w swej alkowie i wnet pochrapywać zaczął.

Uznałem, że najwyższa pora opuścić jego niebezpieczne towarzystwo i ucieczką się salwować. Mając zajęłą drogę przez przedpokój, w którym spał Kacper, otworzyłem okna i poszkarpie spuściłem się na ulicę. Miałem ze sobą swój trzos i żywiłem nadzieję, że w gospodzie dostanę konia, który pozwoli mi szybko i raz na zawsze opuścić te strony. Wszelako ledwiem z zaułka wyszedł, ujrzałem cień pokraczny a znajomy.

– Mogę w czymś panu pomóc? – zapytał po niemiecku przymilnym tonem Mykoła, najwyraźniej oczekujący tu na mnie.

Jedynę kłamstwo, które przyszło mi do głowy, to wyznać, iż wypuściłem się w poszukiwaniu dziewczki, która mogłaby mi umilić noc. Nie minęły dwa pacierze, a znaleźliśmy się w sandomierskim zamtuzie. Mykoła wyszukał dla mnie Hankę, młódkę może piętnastoletnią, ale już podobno w fachu swem wielce obrotną, choć na mój śródziemnomorski gust zanadto kocią szczyną woniała. Aliści mając wszystkie myśli Margaretą zaprzątniętę, nie mogłem nurzać się w rozpuście. Zapłaciłem tedy Hance, aby pobyła z kwadrans ze mną, nic nie czyniąc, samemu będąc myślą we dworze przy owej dziewczynie cudnej i tajemniczej.

Rankiem pan Piekarski nie skomentował ni słowem mojej nocnej eskapady. Mykoła zaś jakby pod ziemię się zapadł, zatem uznałem, iż całe zdarzenie przeminie bez żadnych konsekwencji.

Zmitrężywszy na mą prośbę jeszcze jeden dzień, chciałem bowiem obejrzeć historyczne pamiątki miasta po wielekroć przez historię doświadczonego (opowiadano mi o szczególnie okrutnych najazdach Tatarów), zlustrowawszy kolegiatę, zamek, także kolegium ojców jezuitów, następnego dnia z rana podążyliśmy samotrzeć w drogę powrotną. Kacper wysforował się nieco z przodu, my trzymaliśmy się lekko z tyłu. Najwyraźniej pan Michał nijakich rzezimieszków się nie obawiał, będąc z nimi, czego dowodził mój przypadek, w jak najlepszej konfidencji.

Zresztą, jechaliśmy przez kraj ludny, żyzny i osobliwie dostatni, przy którym moja kamienista Italia zdawała się ubogą krewną, na dodatek doświadczaną nieustannymi wojnami, przemarszami wojsk i łupiestwem maruderów. Tu, jak twierdził mój *cicerone*, pamięć o jakichkolwiek wojnach prawie zatarła się w ludzkiej pamięci. Trzy wieki mijały od ostatniego najazdu tatarskiego, wojny toczono hen, na inflanckich lub mołdawskich rubieżach, a jeśli nawet nieprzyjaciel jaki podniósł rękę na Rzeczpospolitą, jak zbity pies rychło z niej uchodził. Owszem, zdarzały się wewnętrzne rokosze i burdy, ale stanowiły one raczej obyczajową

uciechę niż rzeczywiste zagrożenie egzystencji państwa. Żyli więc Polaczkowie jak u Pana Boga za piecem, spokojni o dziś, pewni jutra, przekonani o stałej, choć raczej nieuzasadnionej opiece Chrysta i jego Matki, zgoła niepomni, jak bolesne bywały doświadczenia innych narodów, wprzódę uważających się za wybrane. Jeśli, zgodnie z prorocstwami zwierciadła, miały nadejść na ten kraj okropne terminy, to trudno wyobrazić sobie lud równie do nich nieprzygotowany. Wojska, nie licząc chorągwi prywatnych, było w nim mało, podatki śmieszne, władza monarsza iluzoryczna, a egoizm szlacheckiej braci niepomni. Jeśli zdarzał się król wielki, a takim, jak twierdził Piekarski, był przedwcześnie zmarły Stefan Batory, panował jakoś nad tym rozhukanym bractwem. W innym przypadku...

– A Zygmunt? – pytałem na kolejnym popasie.

Samo imię Wazy sprawiało, że twarz pana Michała czerniała, zagryzał wąsa, a oczy miały błyskawice. I choć słowa miarkował, czułem, iż nienawidzi do żywego tego Szweda o duszy mnicha, pełnego pychy, a zarazem pogardy wobec ludzi mu najwierniejszych. Toż gotów był jak niesławnej pamięci Walezjusz tron polski poświęcić, byleby stolec sztokholmski, z którego lud własny go pogonił, odzyskać, co już na początku panowania kanclerz Zamoyski wy dobył od trzymanego w niewoli arcyksięcia Maksymiliana, katolicki neofita, choć Jagiellonów potomek, preferował mowę niemiecką, Polaków nie rozumiał i zrozumieć nie chciał, a najpierwszych z nich, jak przesławnego Jana Zamoyskiego, którego na tron go wprowadził, a rywala, wspomnianego tu Maksymiliana, pod Byczyną pobił, poważać nie chciał i na boczną koleinę odsunął.

– Wierzysz, panie – powiedział, podnosząc głos, Piekarski – że szakał może stać się lwem i orłem? Toż tylko *pro forma* przystał on na koronę moskiewską dla syna. Dla siebie jej chce, iżby frymarczyć mógł ją celem odzyskania berła Szwecji. Boć czymże dlań polski Orzeł, litewska Pogoń czy ruski Archanioł wobec chudego snopka Wazów. Już dziś cichcem obiecuje Jezuitom, iż, będąc w Moskwie, cerkiew tamtejszą ogniem i mieczem do unii przymusi. Zaiste, drogi Derossi, słusznie powiadają poeci: wiek złoty przeminął, srebrny przemija i ani się obejrzym, jak żelazne obręcze niewolnika zacisną się na naszych szyjach.

Zmierzchało już, gdy trzeciego dnia podróży, przeprawiwszy się przez rozlaną roztopami Rabę, we dworze stanęliśmy. Nie dał mi jednak pan Piekarski, u którego jak co noc pobudzenie wzrosło, iść na spoczynek, jeno znów do czarnej izby zaprowadził i tam tak prawić począł:

– Nie chcę ja na waszmości nijakiego gwałtu czynić. Muszę jednak wyznać, że ani spotkanie nasze przypadkowym nie było, ani mój wybór was nie jest wynikiem ślepego trafu,

– Jak pan to rozumiesz?

– Szukając w lustrze człeka, który zdolen jest odmienić losy tego kraju, znalazłem was.

– Mnie, kiedy?

– Byliście naonczas jeszcze we Wiedniu. Aliści, jak myślicie, kto mistrzowi Dolabelli myśl podsunął, by nikomu nieznanemu młodzikowi propozycję przybycia do Polski złożył i prace na dworze obiecał?

– Wy?

– A któż by inny po całej złotej Pradze się uganiał, uprzedzając kroki wasze i płacąc talarami, iżbyście nigdzie pracy, nawet u Żyda, nie dostali?

– Nie może być! – wykrzyknąłem.

– Któż wreszcie namówił wędrownego golibrodego spod Krakowa, iżby ten wskazał wam drogę ku Warszawie prawem brzegiem Wisły, nie lewem, tak byście się na skraju Puszczy Niepołomickiej znaleźli, gdzie już was czekał Mykoła i jego ludzie.

– Na Boga żywego, wszystko to jest pańskim dziełem?

– Mojem i mych przyjaciół. A choć biorą mnie tylko za biednego waryjata, mam ich wielu – dorzucił dumnie.

– Jakież jednak jest cel tych wszystkich działań? – pytałem. – Przecie nawet teraz mogę powiedzieć, że odmawiam partycypowania w pańskich conceptach. Gwałtem mnie przymusicie?

Roześmiał się tylko:

– Ani myślę przymuszać, bo wiem, że po dobrej woli wesprzecie mnie i moje dzieło.

Zdumiałem się wielce pewnością onego człeka. Choć napotkawszy wcześniej licznych wariatów, wiem, że silnie przywiązani do swej *idée fixe*, głusi i ślepi są na wszelkie przeciwności.

– Zapominasz, panie Derossi, iż znam pańską przyszłość.

– Tedy musisz wiedzieć, co ci odpowiem.

– Przyszłość, mój miły panie, jest jak ogród o rozwidlających się ścieżkach. Pójdziesz jedną, zaprowadzi cię ku szczytom, pójdiesz drugą, a wpadniesz w wielkie opałę, trzecią wybierzesz, wstąpisz na trakt idący ku zatracie i wiekuistej hańbie.

– Jakież tedy, pańskim zdaniem, możliwości stoją przede mną?

– Jest jedna, iż odejdiesz wolny i żałować będziesz, iż odszedłeś śledząc z oddalenia, jak ziszczają się moje przepowiednie, a za późno będzie im zapobiegać. Wielu świata

zwiedzisz, wiele umiejętności posiadasz, tak że zaczną zwać cię geniuszem, aż wszystko utracisz, z życiem łącznie, i przepadniesz marnie w kaźni okrutnej, a z tobą wniwecz pójdzie twój dorobek oraz wszelka pamięć o tobie...

– Czyżbyś wiedział, jak umrę? – zapytałem, czując rzeczywisty niepokój.

Usta swe suche, w kątach których biaława piana zbierać się poczęła, do uszu mych zbliżył i wyrzekł jeno dwa słowa:

– Studnia Potępionych!

Poczułem ciarki na plecach i ziąb przeraźliwy w trzewiach, bo od maleńkości owa sztolnia powyżej rosettyńskiej skarpy swe czeluście otwierająca, w której tracono winnych najcięższych zbrodni, budziła we mnie niepojętą grozę.

– Mów zatem o drugiej ścieżce! – zaproponowałem.

Uśmiechnął się, po czym szelmowsko mrugnął okiem.

– Opuszczę wersję, wedle której zdradzić mnie umyśliłeś, albowiem wedle niej czeka cię śmierć prędka z ręki Mykoły. Pomówmy o alternatywie dla wszystkich najlepszej, kiedy, działając pospołu, uczynimy wiele dobrego, zapewniając światu pokój, Rzeczypospolitej tysiąc lat potęgi, a tobie sławę, jaka była dopotąd udziałem nielicznych – Arystotela, Makiawela i Leonarda w jednym...

– Jakby to stać się miało?

– Myślisz, że dopiero od ciebie dowiedziałem się o konfidencji z kniazem Skirgiełłą? Jego *Diariusz z pielgrzymki do Ziemi Świętej tudzież Egiptu* krąży w odpisach i jest tam mowa o tobie i twych przyjaciółach... A, przy okazji, co stało się z owym dzielnym Alonso Ibanezem?

– Został przedany w osmańską niewolę. Na galery.

– Wielkie nieba!

– Ale będzie już trzy lata, jak wykupiłem go i od tego czasu podróżuje po świecie, nowe lądy odkrywa, a szczególnie mitycznej *Terra Australis* szuka.

– I dzięki Bogu. Znajomość z panem Skirgiełłą i rekomendacje, jakie masz, pozwolą ci zająć wyższą pozycję niż tylko pomagiera mistrza Dolabelli. Nie dość na tem. Jest na dworze królewskim osoba nader wpływowa ochmistryni Urszula Meierin, jeszcze przez królową nieboszczkę z Austrii sprowadzona, przez osiem lat Zygmunutowego wdowieństwa ze wszystkich mu dworaków najbliższa...

– Rozumiem – mruknąłem z uśmiechem.

– Nic waś nie rozumiesz! Można o królu rzec wiele złego. Ci, co go dobrze znają, twierdzą, że jest po trzykroć „t” i po trzykroć „p” – *tardes, taciturnus, tenax, a zarazem, pius,*

parcus, pertinax... – „Nierychliwy, małomówny, uparty, pobożny, oszczędny, zacięty” – przetłumaczyłem szybko w myślach. – Wszelako on i oficjalna metresa...? Dalibóg, nigdy w to nie uwierzę, toż żadnej mszy nie odpuszcza, na twardej ławie poleguje, dyscypliną się chlęsta, we włosiennicy chadza... Zresztą, pani Meierin nie grzeszy urodą, choć różne gusta ludzie miewają. Tak czy owak, nawet po ślubie z królową Konstancją i narodzinach królewicza Jana Kazimierza jej rola u Zygmunta nie zmaląła. Podobno nadal ma na młodego Władysława wpływ spory, jak w onych latach, gdy jako jedyna mogła go różgą za dziecięce przewiny karcieć. Tak więc jeśli Skirgiełło pomoże ci zbliżyć się do królewicza, wszechwładna ochmistrzyni zadba, abyś miał dostęp do samego króla. Tuszę, że znalazłszy się blisko królewicza Władysława, już sam swemi niewątpliwymi przymiotami, wiedzą i talentami zaufanie następcy tronu uzyskasz, tak że gdy nadejdzie moment sposobny, pomożesz właściwych wyborów dokonać.

– Moment sposobny?

Zmieszał się. I po chwili rzekł, że pomówimy, gdy już we Wilnie się znajdzie.

– Będziecie mi tam towarzyszyć?

– Wobec polskich magnatów chudopacholek jam tylko. Będę w pobliżu ewentualną radą służyć... I informacje w lustrze czytać.

„I jakby co, Mykoła straszyć” – dodałem w myślach, a głośno rzekłem:

– Zali panna Małgorzata towarzyszyć nam będzie?

– Nie sądzę – odparł szlachcic i węża podkręcił. – Jako żona moja w domowych pieleszach pozostanie.

– Jako żona? – zdumiałem się. – A lustro? Któż będzie je odczytywać?

– Znalaziono już dla mnie na Krymie dziewicę cudną, dwanaście wiosen liczącą, która zdolnościami profetycznymi dorównuje Margośce, a nawet ją przewyższa. Niedługo przywiozą ją do Bieńkowic, a wtedy dotychczasowe mitręgi przyszłej pani Piekarskiej dobiegną kresu.

– Niewątpliwie zamążpójście będzie dla niej zaszczytem wielkim. Słyszałem jednak, że obiecaliście jej wolny wybór. A jeśli klasztor lub wyjazd za granicę wybierze?

Zacisnął usta i warknął gniewnie:

– Moja głowa w tem, by nie wybrała. Zaręczam ci asan, iż gdy mej jurności posmakuje, nie w głowie jej będzie habit czy furta konwentu...

Dwie noce później Małgorzata znów przyszła do mnie. Rozedrgana, we łzach cała.

– Wiesz już, panie, jaki los mi ów tyran gotuje?

Skinąłem głową.

– Wolałabym umrzeć. Albowiem człek ten nie tylko bezbrzeżnym przejmuje mnie lękiem, ale jeszcze większym obrzydzeniem.

– Cóż mogę ci radzić, pani. – Rozłożyłem ręce. – Upieraj się, że przecie dał ci w tej materii *nobile verbum*.

– Nie znasz, panie, jego zawziętości. Czwarty rok grzeszna oskoma go zżera, na mój widok ciągiem oblizuje się, sapie, dyszy, a gdy sądzi, iż nie widzę, własnoręcz folgę sobie czyni. Gdyby nie lęk, że wraz z cnotą dar jasnowidzenia utracę, dawno by mnie pohańbił, nie licząc się z oporem...

I lzy puściły się jej na jagody. Ze współczucia przygarnąłem ją do siebie, aż poczułem, jak drży. Co gorsza, poczułem piersi jej jędrne, jak na mnie naparły na podobieństwo żrebiąt z zagrody na łąkę się wyrrywających. Odsunąłem ją od siebie.

– Zabierz mnie ze sobą, panie Alfredzie – wyszeptwała. A ponieważ milczałem zaskoczony, mówiła dalej: – Widzę, panie, że ci nie wstrętna. Ja zaś... ja... pokochałam cię za pierwszym wejrzeniem.

– Margosiu!

– Kocham, panie, twe lica i twój umysł, oczy mądre i rękę sprawną w tworzeniu sztuki. Kocham twą duszę ciekawą, odważną i to... to, co niepojęte, co różni cię od innych zjadaczy chleba...

Dalibóg, coż mogłem jej powiedzieć. Że jest aniołem, za którym każdy mężczyzna w ogień by skoczył? Że jest pierwszą kobietą, na której widok serce bije mi tak jak przy Beatrycze. Że odmówiłem pomocy nieszczęsnej Leonii, bom jej nie uwierzył, i teraz piąty rok będzie, jak dziewczyna w grobie leży, czerwiom na uciechę?

– Pomóż mi, panie – powtórzyła Małgorzata. – Przygotuj truciznę, którą katu memu zadam, albo sama z jej pomocą w objęcia śmierci umknę...

– Mogę spróbować, pani, wszelako nie sądzę, żeby to był krok najwłaściwszy.

Dotknęła mej ręki i podniosła do ust. Potem wpełzła na łóżko. Cofałem się ku ścianie, jednak gdy poczułem jej pełne usta na swoich ustach, jej język zachłanny, rozkoszny, spleciony z moim, gotów byłem zapomnieć o strachu, o zemście niechybnej...

Skrzypnęły drzwi. I do komnaty zajrzał Błażej.

– Dalibóg, Margośka, dom cały rozbudzisz... I pana...

Oprzytomniała, zerwała się i wybiegła z komnaty.

I ostaliśmy sami. Ja i młody giermek Piekarskiego.

– Bądź, panie, pewien, że nie doniosę – rzekł wolno, patrząc mi w oczy. Na tyle osłuchałem się już w polszczyźnie, że pojąłem sens tego, co do mnie mówi.

- Dobrze zapłacę... – wyjąkałem w tej samej mowie.
- Nie chcę zapłaty – odrzekł twardo, twardością ludzi z gminu, którzy z nagłą moc swoją pojęli – jeno ostaw mi Jagnieszkę. Ja żenić się z nią chcę.
- Dobrze – odparłem bez wahania i wyciągnąłem doń rękę.

Nie wiem, czy pan Michał domyślił się, co zaszło między nami. Dość powiedzieć, że drzwi prowadzące na wieżę odtąd zawierał dokładnie, tak żem więcej pięknej dziewczyny nie widział. Truciznę sporządziłem, atoli nie udało mi się ni razu samemu w kuchni ostać, iżby windą ją do góry wyekspediować. Za to z Jagnieszką rozwiązałem rzecz tak: zwierzyłem się jej z pewnych niemiłych swędzeń oraz owrzodzeń, które mogły być wynikiem mej wizyty w sandomierskim zamtuzie, aż odeszła jak zmyta. Tuszę, iż w ramiona Błażeja.

Minął post i Zmartwychwstanie Pańskie, śniegi spłynęły, a po długiej i mroźnej zimie kwiecień nastał wręcz gorący, co ludzie poczytywali sobie za korzystną wróżbę.

Wreszcie otrzymawszy wiadomość, iż dziewica wykupiona z Krymu jest już w Zamościu, pan Michał zdecydował, aby wspólnie z nieodstępnym Kacprem odprowadzić mnie aż tam, skąd wspólnie z posiłkami ziemi sandomierskiej pod Smoleńsk dążącymi miałem zabrać się aż do Wilna i zostać przedstawiony na dworze królowej Konstancji. Oznajmił mi to podczas spaceru, nie zezwalając do domu powrócić, tak żem nawet nie mógł Błażeja przepłacić, iżby zamówioną truczkę Małgorzacie dostarczył.

Oponowałem przeciw nagłemu trybowi, jednak sama służba dla królewicza Władysława sprzyjała moim planom, mniemałem też, że, oddaliwszy się od szaleńca, zdołam się jakoś zabezpieczyć przed ewentualnością popadnięcia w niepotrzebne kłopoty. Żałowałem wielce Małgorzaty i, opuszczając dom, czekałem, iżby pojawiła się w oknie, ale się nie doczekałem. Może leżała cała we łzach na myśl o czekającym ją ślubie. Czułem się arcypodłe. Wszelako wobec przeważającej siły mego gnębiciela, a także jego wiedzy dotyczącej przyszłości, nie mogłem uczynić nic skutecznego.

Zamość okazał się pięknym – zasobnym miastem, jakby żywcem z mej Italii pod chłodniejszy nieboskłon przeniesionym, z wielkim rynkiem i doskonałymi fortalicjami. Przyjaciel Piekarskiego, kupiec bławatny, udostępnił nam dom, wąską kamieniczkę przy rynku, gdzie dwóch kamratów Mykoły przedstawiło nam Chawę, młodziuteńką Żydówkę uprowadzoną rok temu na Krymie z małego miasteczka pod Białą Cerkwią. Spodziewałem się zastać zestrachane dziecko, dostrzegłem rezolutną dziewczynkę, wielce z odmiany losu

zadowolona. Z szacunkiem cmoknęła w rękę pana Piekarskiego, mnie ukłon złożyła. Mimo młodego wieku mówiła biegle po rusku i polsku, wtrącając jedynie pojedyncze słowa w jęwejskiej gwarze.

– Pracując dla mnie, będziesz miała dostatek, a gdy przyjdzie czas, dobrego męża znajdziesz – powiedział Michał.

Ciekaw byłem, jakim sposobem emisariusze Piekarskiego wykryli w dziecku parapsychiczne zdolności, czyżby wyłącznie na podstawie wskazówek zwierciadła? I czy aby nie pomylili się w wyborze wieszczki. Dziewczynka szybko i bez oporów poddała się egzaminowi. Ledwie pochwyciła dłoń mego gospodarza i chwilę wpatrywała się w siatkę linii i wzgórków, szepnęła cicho:

– Czekan oznacza śmierć!

– Wielkie mi odkrycie – zaśmiał się Kacper. – Są tacy, którzy umieją grać na czekaniku, ale mój pan do nich się nie zalicza.

Jasnowidzka odwróciła ku niemu swe czarne oczy, węglom podobne.

– Ty zaś strzeż się rapiera! – powiedziała dobitnie.

Śmiech zamarł Kacprowi w krtani.

– A mnie co powiesz, dziewczyno? – zapytałem, okrutnie kalecząc polszczyznę, którą z wolna zaczynałem przyswajać.

Obejrzała moje ręce, zajrzała w oczy. I milczała.

– No więc?

– Nie Jestem pewna.

– Ale co widzisz?

– Jakby pies... jakby pies z żelaza. Ale to dobry znak. Strzeż się studni, pajaków i miłości, które niosą śmierć.

– Zaiste prawdziwie to pytyjska poezycja – ocenił pan Piekarski. – A co rzekłabyś panu Derossi na drogę? Zali powiedzie się to, co zamierzamy?

Znów zamyśliła się, przymknęła oczy.

– Mgła, dużo mgły, nic nie widać. – Westchnęła głęboko. – Może pójść dobrze, może pójść źle.

Wieczorem pan Michał siadł ze mną przy stole i wyjawiał wreszcie istotę swych zamysłów. Przypomniwał wielką bitwę, relacjonowaną w mej przytomności przez Małgorzatę, następnie wzięcie Moskwy i upokorzenie uwięzionego cara.

– Niestety, wielce możliwym jest, że *victoria owa* wskutek osobistych ambicji króla i jego niechęci wobec hetmana Żółkiewskiego ostatecznie zmarnowana – prawil.

– Miał szybkiego ustanowienia królewicza Władysława na Kremlu, mogą przyjść dwa lata jałowej zwłoki, niepojętych układów, niepotrzebnych rokowań. Aż bunt jesienną porą nasze regimenty z murów Kremla wygna, mnóstwo ludzi polegnie. I miast dwóch państw wspólnem berłem połączonych, będziemy mieć pod bokiem wrogów zapiekłych. Rychło wschodni sąsiad, rosnąc w siłę, zmieni się w potwornego kolosa, nienawistnego wszystkiemu, co zachodnie, polskie i katolickie.

– Czyż jest sposób, by temu zapobiec?

– Jest! – zawołał i na równe nogi się poderwał. – Czyż śmierć Aleksandra nie zapobiegła podbojowi Indu przez Greków, a nóż Jacques’a Clémenta nie oddał Francji Henrykowi IV...

– Mówisz pan o królobójstwie!? – wykrzyknąłem. – Czyżbyś się na nie ważył?

Nie odparł mi wprost. Oczy tylko przymknął, jakbym mógł z jego źrenic coś przypadkiem wyczytać.

– Wszystko jest w ręku Boga – powiedział wolno. – Jeśli jednak niebo da znak, sprawy potoczą się szybko. Ważne będzie, by w chwili próby znaleźli się obok dziedzica tronu ludzie, którzy mądrze nim pokierują. By miast ku warszawie, gdzie na konwokacji jeno burdy i gadania o paktach konwentach będą, ku Moskwie go skłonili. Bo mając tamtejsze władztwo, podporządkowaną Cerkiew, uległe bojarstwo i wojska spełniające rozkazy bez szemrania, nawet z panami szlachtą łącniej rozmawiać mu się będzie...

– Nie przyłożę ręki do królobójstwa! – zawołałem z mocą.

– Nikt waszeci prosić o to nie będzie. Służ jeno Władysławowi IV dobrą radą. A pożytek będzie z tego dla nas, Polski i świata.

Nie mogłem odmówić wprost, czując za ścianami obecność jego zbirów. Pocieszałem się też, że czym innym są mrzonki szaleńca, a czym innym ich urzeczywistnienie. Wiele jeszcze zdarzyć się mogło.

Tak więc nazajutrz, pożegnawszy się w zgodzie z Piekarskim, w towarzystwie jedynie Kacpra podążyłem ku Lublinowi, gdzie w podmiejskiej karczmie miałem popasać dni parę, póki nie nadejdą oddziały małopolskie na moskiewską wojnę idące.

Wiosna wkroczyła tymczasem w czas kwietny. Dnie nastaly całkiem upalne, nocami wyśpiewywały słowiki.

Trzeciej nocy zbudziło mnie skrobanie w okiennicę. Początkowo myślałem, że zwierz to jakiś w poszukiwaniu jadła pod dom zabłądził, sięgnąłem po podróżny rapier, ale zaraz głos cichy usłyszałem:

– To ja, panie Alfredzie.

– Margosia?!

Rozwarłem okiennice i wciągnąłem do wnętrza dziewczynę, ubłoconą od stóp do głów i obarczoną wielkim pakunkiem.

– Koń mi padł pod miastem – szepnęła. – Strasznie bałam się, że cię, panie, już tu nie zastanę...

– Ale jak ci się udało zbiec? – spytałem, krzesząc ogień celem zapalenia kaganka. – Przecie skutkiem przezorności Piekarskiego nie udało mi się dostarczyć ci żądanej trucizny.

– Uciekłam szybem windy, którą od lat pokarmy mi dostarczali – wyznała rezerwowo. – Zapierając się nogami ścian i czepiając sznurów, dotarłam aż do kuchni... Noc była już głęboka, pan Błażej ze swą Jagnieszką w alkowie baraszkowali. Z domu wymknęłam się ku rzece, gdzie ukradłam łódź. Wezbraną Rabą spłynęłam do Wisły, Wisłą zaś podążyłam na północ, do Zawichostu. Tam kupiłam konia...

– Skąd miałaś pieniądze!?

– Mam pieniądze i klejnoty, bom za zgodą pana na klasztorne wiano zbierała.

– I nikt nie dziwił się samotnie podróżującej białogłowie...

– Pożrzyj na mnie dokładnie! – zawołała, rozniecając kaganek. – Włosy czapką skryłam,

męskie szaty wdziałam, twarz sadzą przyczerniłam...

– Zuch dziewczyna!

– A jak jaki łapserdak drogę mi zastępował, dobywałam króciocy spod płaszcza i zmykał jak niepyszny. Dość jednak gadania, na opowiadanie czasu mieć wiele będziemy. Teraz uciekajmy stąd, a nuże, jeśli nam życie miłe...

– Na Litwę? Do królewicza? – zapytałem.

– Ostatnia to strona, w którą możemy się udawać. Jedźmy ku Warszawie albo lepiej ku Prusom Książęcym. Stamtąd ruszymy w świat...

– Mówisz pani tak, jakbyś nie bała się, że nowa jasnowidzka dzięki lustru nas wyśledzi.

– A myślisz, że co taszczyć ze sobą – wskazała pakunek.

– Lustro Twardowskiego?

– Nie inaczej.

W największym pośpiechu ubierać się począłem, kiedy drzwi się otwarły i do izby wpadł Kacper, zauszniak Piekarskiego, który spał w sąsiedniej izbie. Nie wiem, co go pobudziło, bo usiłowaliśmy zachowywać się jak najciszej. Młodzian, widząc Małgorzatę i mnie gotujących się do drogi, w mig odgadł nasze zamiary.

– Hola, cóż takiego wyprawiasz, panie Derossi? – zawołał bumie.

– Czynię to, co uważam za słuszne! – rzekłem hardo, mając nadzieję, że w ślad za totumfackim Piekarskiego nie pojawi się żadne wsparcie.

– Nie zezwolę wam, byście oddalili się z tą dziewczką.

– Hamuj się, chłopcze, uwłaczasz damie! – zawołałem.

Na te słowa za szablę chciał chwycić, ale rozebrany do snu jedynie koszulę zmacał. Miał jednak w nogawicy nóż o długiej klindze, wyrwał go i w oczy mi zaświecił. Zasłoniłem się gołym rapierem, który szczęściem miałem na podorędziu.

– Zaniechaj nas! – krzyknęła Margosia. – Dobrze zapłacę.

– Nie ma takiej ceny!

Kawał polana do pieca porwał i wywijając nim niczym berdyszem, skoczył ku mnie. Uderzony nim rapier pękł, iżostałem ino z ułomkiem w ręku. Młodzian ryknął z ukontentowania, pewien, iż jestem już w jego mocy. Zasłoniłem się krzesłem, obalił je wraz ze mną i chwilę turlaliśmy się na polepie, unieruchomiwszy sobie nawzajem ręce. Nie jestem cherlakiem, ale wobec młodego, wprawionego w walce giermka wilem zrobić nie mógł. Czuję, iż słabnę, a ostrze sztyletu opuszczało się coraz bliżej ku memu gardłu...

Naraz Kacper zadrzał, jęknął, nóż upuścił, a z ust poląła mu się jucha. Strąciłem go z siebie, podniosłem kaganek. Młodzian leżał martwy, a z pleców sterczał mu ułomek mego rapiera.

– Tyś to zrobiła? – zdumiony spytałem Margoški.

Lubo blada, przytaknęła energicznie.

Ukryłem zwłoki w alkierzyku i, obudziwszy oberżystę, wynająłem dwa konie, mówiąc, że pilne sprawy wzywają nas do Zamościa. Miast tego, oddaliwszy się dwie staje od karczmy, opłotkami w stronę Lubartowa się puściliśmy. Nikt nas nie ściagał. Często zmieniając konie, stawaliśmy jak najrzadziej. Wkrótce weszło słońce.

Napełniło to nasze serca otuchą. Małgorzata jak na niedoszłą mniszkę znakomicie trzymała się w siodle. Wiatr i słońce zaróżowiły jej bladą do niedawna twarz, tak że oczu odwrócić od niej nie mogłem. Galopując tak co koń wyskoczy, dotarliśmy przez dzień aż za Łuków, żywiąc nadzieję, że ewentualny pościg pozostawiliśmy daleko w tyle.

W przydrożnym zajeździe wziąłem izbę ładną, widną, na piętorku położoną. Dla większego bezpieczeństwa Margosia pozostała w szatach hajduka. Onze pacholik miał spać ze mną, toteż przygotowano mu posłanie przy drzwiach. Zaordynowałem gorącą kąpiel, służba nagotowała więc wrzątku i dostarczyła akuratną kadź także kolację dostarczono mi do pokoju. Kiedy dziewczyna sposobila się do zanurzenia w stągwi, taktownie opuściłem izbę i poszedłem lustrować okolice zajazdu. Nikogo jednak podejrzanego nie zoczyłem. Gdy

wróciłem cesała swe piękne, połyskliwe włosy. Oświetlona płomykami świec przywodziła na myśl zjawisko nie z tego świata. Czym ją kochał? Nie wiem. Zachwycałem się nią, podziwiałem. Pożądałem...

Czymże jest miłość? W swem wcześniejszym życiu poznałem parę kobiet niezwykłych i nieporównywalnych z innymi – boską dziewczkę Beatrycze, przedziwną inkarnację starożytnej Kybele, panią Vendôme, pozbawioną pruderii mężatkę, czy Leonię, cudny kwiat z sycylijskiej gleby wyrosły... Innych przypadków nie liczę. Każda była inna i każda ma swój zakątek w mojej duszy niczym w muzeum pamięci. Może powinienem porównywać je do żywiołów – Beatrycze była tedy gorejącym ogniem, Leonia wodą zmienną a żywą, Agnes zaś ziemią Matką. Dopotąd nie spotkałem nieba – mogła nim ostać Margareta ze względu na swą tajemniczość, pod którą przeczuwałem wszystkie żywioły świata, łącznie z tornadem.

Przy kolacji, gdym kroił nożem kawałki mięsiwa, podając je na przemian jej i sobie, spytałem panny Hausner, czy nie mogłaby teraz w lustro popatrzeć, iżby przewidzieć, czy nam nie grozi. Pokręciła głową.

– Czyż nie powiadał ci pan Michał, iż oglądanie własnych losów nie jest możliwe. Jest to

tak, jakbyśmy sami sobą cień na przyszłe sprawy rzucali.

Tu ujęła jedną ze świec palących się nad stołem i postawiła ją na gzymsie ponad łóżem.

– A jeśli nawet jest nam pisane tyle życia, co w tem knocie, czyż mamy wahać się z zapaleniem go? – powiedziała, po czym skierowała ku mnie swe źrenice. – Kochaj mnie, Alfredo.

– Teraz?

– Natychmiast.

– A twój dar dziewiczy?

– Nic już po mym parze. Nade wszystko chcę twej miłości, ukochany.

– Tedy zawrzyjmy związek przed ołtarzem.

– A jeśli zbraknie nam na to czasu?

Odpięła fibule i opadły jej szaty. Dzięki śnieżnobiałej płci wyglądała jak antyczna rzeźba Praksytelesa czy Myrona, w każdym detalu doskonała. I w dodatku ciepła i bez żadnych uszkodzeń.

Podszedłem ku niej, również zrzucając swój przyodziewek.

Dobry Boże! Pragnąłem, a zarazem bałem się onej chwili. Objęliśmy się, wymieniając pocałunki nieśpieszne, raz muśnięcia lekkie niczym dotyk motyla, to smakowania mocne

nieomal do krwi, przypominające miążdżenie malin. Jej ciało wilo się w pościeli, poszukując mego, jej dłonie prowadziły mnie ku matecznikowi niewysłowionej rozkoszy.

Gdym wniknął w nią, krzyknęła, lecz w krzyku tym zabrzmiał ból pomieszany z rozkoszą. A rozkoszy, wnosząc po jej pomrukach, było wciąż więcej i więcej. I pieniała się jak gejzer i rosła jak ciasto drożdżowe. Była wyśnionym marzeniem objawiającym się różowością szyi, grzesznym uśmiechem, jękiem ostatecznego spełnienia.

Leżeliśmy potem wtuleni w siebie jak dwie połówki jednego owocu, które odnalazły się w bezmiarze wszechświata. Następnie kochaliśmy się raz jeszcze i znowu, aż znalazła się nade mną. Jej włosy tworzyły wokół twarzy ni to kurzawę, ni to ciemną aureolę. I galopowaliśmy tak środkiem nocy między wieczorem a zarankiem, obojętni na świat wokół nas...

Nie wiem, kiedy zapadłem w sen. Zwidy musiałem mieć piękne, niestety, nie zapamiętałem ich. Ocknąłem się, czując ciało boskiej Margosi wtulone we mnie na całej długości, bezpieczne, ciepłe, czułe... Ostatnia świeca zgasła, pozostawiając cienką stróżkę dymu. Za oknem różowił blask nowego dnia.

Ktoś szurał na dachu. Kot chucią oszalały parzył się przy dymniku?

Uniosłem się na łokciach, nagi, szukając króćcie. Leżały gdzieś w bagażach, niezdatne do walki. Tymczasem kłapa uniosła się. Ujrzałem pałkowate nogi, buty rajtarskie... Zeskoczył opodal siola, w zębach miał nóż, krzywy tatarski kindżał, bandolety wisiały w ols trach u pasa.

– Mykoła – krzyknęła, podrywając się ze snu Małgorzata.

Zaśmiał się, ukazując białe zęby, bardziej do wilczych niż ludzkich podobne.

– Idź precz dziwko, bom przybył tu z panem Derossim porozmawiać.

– Nie zabijaj go! – zawołała.

– A cóż mi po śmierci jego? Przydać się jeszcze może! Tak jak owo zwierciadelko, któreś panu memu skradła. Wrócim doma i wszystko będzie po dawnemu. Jeno dla zabawy rzucę panu Piekarskiemu pod nogi klejnoty męskie pana Derossiego, któreś dzisiejszej nocy tak polubiła.

Tu ruszył ku mnie z kindżałem w ręku, nie spuszczając wzroku z mej męskości, która z bojaźni skurczyła się do rozmiarów mysikrólika w deszczu.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna i, pragnąc go powstrzymać, poderwała się na równe nogi.

– On potrzebny panu Michałowi żyw i zdrów, jeśli ten chce swe plany spełnić.

Biegając jednak po pościeli, potknęła się i nim Mykoła zdołał dłoń cofnąć, całym impetem na jego nóż upadła.

Rozległ się chrzęst straszny, który i na śmiertelnych marach pamiętać będę. Takż jej jęk bolesny, a śmiech Mykoły zastygł mu na ustach.

Ogarnęła mnie desperacja obłąkana. Porwałem nóż srebrny ciągle w resztki pieczeni wbity i, tak jak w dzieciństwie uczył mnie kapitan Massimo, prawie nie mierząc – cisnąłem. Aż po rękojęść wbił się w gardło Mykoły.

Potwór nie zdążył nawet nic powiedzieć. Oczy wyszły mu z orbit, wydał chrapliwy ryk godny rannego tura i padł, bluzgając posoką, na kobierzec zaścielający podłogę.

Małgorzata, lubo śmiertelnie ranna, żyła jeszcze pół godziny. I tą razą driakwie wedle receptur il *dottore* okazały się niewystarczające. Kazała mi krzyż srebrny ze swej szyi zdjąć i przytknąć go do czoła Mykoły. Mądra to była rada... Choć krzyżyk był zimny, po komnacie rozszedł się odór palonego mięsa, a wypalone znamię pozostało na czole trupa. Domyślałem się, iż tym sposobem chciała zapobiec jego zmartwychwstaniu. Choć później żałowałem, że nie użyliśmy jeszcze jakowegoś kołka, iżby serce mu przebić. Potem trzymałem ją za rękę, patrząc, jak gaśnie, na przemian modląc się i zapewniając ją o swej miłości i wiecznej pamięci.

Zmarła z moim imieniem na ustach, dokładnie gdy tarcza słoneczna weszła ponad wiosennym krajem, w którym zaczynały już kwitnąć sady...

Co było potem? Dziwnie słabo pamiętam, jeno urwane obrazy, pojedyncze zdarzenia...

Uchodziłem z Polski nader bystro, podejrzewany o mord na dwóch osobach, których ciała odnaleziono w zajeździe. Lustro Twardowskiego zakopałem w kniei podchodzącej aż pod opłotki wsi Grochowo, niedaleko karczmy zwanej Wawer. Wielekroć zamierzałem tam powrócić, wszelako wojny szalejące w Europie ciągle oddalały ten zamysł.

Z wieści dochodzących ze wschodniej Europy dowiedziałem się, iż ograbiony z lustra i narzeczony Piekarski w obłąd popadł, a gdy pojął, że i ja się mu wymknąłem, dwór swój spalił, po czem *de novo* do wieży szaleńców trafił. Wypuszczony po latach, zbiedniały, pozbawiony przyjaciół i protektorów, nie zapomniał o swej nienawiści do Zygmunta III. W roku 1620, 15 listopada, zaczaiwszy się na krytym ganku prowadzącym z warszawskiego zamku do świętojańskiej fary, zaatakował monarchę swym czekanem, uderzając po trzykroć. W wąskim przejściu jednak nie mógł wziąć należytego rozmachu, więc, choć za pierwszym razem uderzał oburącz, trafił jeno całkiem nieszkodliwie w królewskie plecy. Zygmunt obejrzał się, wtedy Piekarski uderzył po raz drugi, raniąc króla od ucha przez policzek i brodę... Monarcha padł na ziemię. Pan Michał zamierzył się po raz trzeci, lecz idący za

królem marszałek nadworny Łukasz Opaliński, uderzywszy go w ramię laską, oręż mu wytrącił. Równocześnie podążający w orszaku królewicz Władysław dobył szabli i pierwszy ciał zamachowca po czerepie, ścinając mu kawał skóry.

Pochwycony przez straż szlachcic, męczon okrutnie, żadnych współspiskowców nie wyjawiał, plótł za to historyje o przyszłych losach Rzeczpospolitej, o jej zatracie, rozbiorach, aż poszło od tych bajan popularne w Polsce powiedzonko – „plecie jak Piekarski na mękach”. Stracono go w tydzień potem. Kaźń miał straszną. Pierw obwożono go na wózku pospołu z oprawcami i narzędziami tortur po rynku i ulicach Warszawy, po czym zaprowadzono go na rusztowanie osiem łokci nad ziemię wzniesione, gdzie kat ów czekał żelazny, którym zbrodzień na majestat się targnął, w rękę mu wsadził i razem z nią w żywy ogień wraził, a po spaleniu całkowitem mieczem odciął. Następnie obcięto mu również lewą kończynę, a później, wzorem wziętym z egzekucji Ravailaca, zabójcy Henryka IV, czterema końmi na cztery części rozerwany został. Szczątki zamachowca zostały spalone, a proch zeń powstały w działo nabity i wystrzałem rozproszony. Jego dwór w Bieńkowicach, częściowo odbudowany po pożarze, teraz został zrównany z ziemią, a warszawska fara, sprofanowana próbą zabójstwa, na dłuższy czas zamknięta. Wielkie plany Piekarskiego umarły jeszcze wcześniej od niego. Świetne zwycięstwo Muszyńskie zostało przez Zygmunta zmarnotrawione. Tron Moskwy zajęli Romanowowie, potomkowie patriarchy Filareta, ongiś gorliwego sługi Samozwańców. Następca Zygmunta III, niedoszły Kremla władca Władysław IV, nie zdołał okiełznać rosnącej samowoli magnaterii i zmarł w chwili, kiedy cała konstrukcja państwa przez dom Jagiellonów wzniesiona chwiać się zaczęła.

Zaś po całej szalonej koncepcji Piekarskiego, o której wiem tylko ja, pozostał jedynie przechowywany w Warszawie płat skóry wielkości talara, ciosem królewicza z głowy zamachowca odłupany. Wyznam jednak, iż nigdy nie zastanawiałem się na serio, co by było, gdybym misję powierzoną mi przez pana Michała wypełnił.

Część V

Lustro i kolumna

Najdziwniejsze było chyba to, że cała zanotowana powyżej retrospektywa, godna serialu lub przynajmniej pełnometrażowego filmu, trwała ledwie mgnienie oka.

Znów znajdowałem się w XXI wieku, w Rosettinie, w rezydencji Aldo Gurbianiego, czyli we własnym domu. Od chwili kiedy zoczyłem Mykołę, trzymającego w pajęczym uścisku Monikę, mogła upłynąć może sekunda.

Trudno mi było to pojąć, a jeszcze bardziej zdumiewającym wydał mi się fakt, że człek ubity przeze mnie w wieku XVII mógł znaleźć się tutaj cały i zdrowy. I bardzo niebezpieczny. Szczęściem brak śmiertelnej aury wokół Moniki upewnił mnie, iż przynajmniej ona ujdzie żywa z tej opresji.

– Czego chcesz? – spytałem Słowianina.

Wzruszył ramionami.

– Lustra! To chyba jasne.

– Myślałem, że cię zabiłem, Mykoła.

Znów rehot.

– Powiadał ci chyba pan Piekarski, że przyszłość to ogród o rozgałęziających się ścieżkach, nie wspomniał jednak, że istnieje nieskończona ilość bytów, w których rzeczy toczą się inną koleją, niż myślimy. W jednym ty zabijasz innie, w drugim ja ciebie, w trzecim jak komilitoni współdziałamy razem.

– Skąd jednak wzięłeś się tutaj, równie młody jak wówczas?

– Rodzinna tajemnica, il Cane. My nie rodzimy się. My się odradzamy, służąc tym, którzy i nam służą.

– Czyżbyś był diabłem?

– Różnie o mnie gadali... W mym rodzinnym Siedmiogrodzie, skąd za Batorego wstąpił żem na służbę do rodu Piekarskich, duby smalone prawią, że odżywiamy się krwią. Za to na Litwie, gdzie przez następny wiek przebywał, twierdzą, że umiemy pod postacią niedźwiedzia egzystować. Niemiaszki znów uważają nas za krzyżówkę człowieka z wilkiem. A Rosjanie? Rosjanie przynajmniej dotrzymują nam placu w picciu, a i w okrucieństwie przewyższyć potrafią.

– A jaka jest prawda?

– Nie prawdę przybyłem ci wyjawiać, lecz po lustro. Tu ścisnął mocniej Monikę, aż jęknęła.

– Cóż mam ci powiedzieć? Derossi zakopał je gdzieś w lesie niedaleko Warszawy...

– Tyle też wiem. I jeszcze więcej – dwieście lat później odkopał ten skarb arendarz miejscowej karczmy, Wawrem zwanej. W jego rodzinie zwierciadło przeżyło po warszawskich mieszkaniach wiele pokoleń. W trakcie ostatniej wojny pozostało w pewnej kamienicy po wysiedleniu jej mieszkańców do getta. Zabierano ze sobą tylko przedmioty uważane za najcenniejsze. Niedługo później jeden włoski dyplomata stojący tam kwaterą zabrał zwierciadło do Włoch. Po jego śmierci lustro przechodziło z rąk do rąk, wreszcie wylądowało na targu staroci w Rosettinie, gdzie przed rokiem nabyła je pewna kolekcjonerka antyków.

– Ja...? – wykrztusiła Monika.

– Wedle mej wiedzy, faktycznie szanowna pani. Zdobycie tych informacji zajęło mi sporo czasu, a gdy przybył tu osobiście, z powodu nieco porywczego charakteru popadłem w konflikt z miejscowym wymiarem sprawiedliwości

– Jeśli chcesz, oddamy ci je – powiedziała Monika, nim zdołałem rzec słowo.

Oszołomiony tym stwierdzeniem Mykoła puścił ją.

– Nie będziesz nas więcej nachodził? – upewniała się moja żona, na miękkich nogach dochodząc do sofy, na którą opadła.

– Parol kawalerski.

Przez galerię pełną szaf, sekreter, obrazów i tkanin Monika zaprowadziła go do małej gotowalni urządzonej w stylu baroku. Zwierciadło w srebrnych ramach wisiało nieco z boku. Zabawne, ale dotąd nigdy nie zwróciłem na nie uwagi.

Mykoła tylko okiem błysnął i przesunął palcem po ornamentach.

– To ono! – stwierdził. – Stokrotne dzięki. Od dziś jestem waszym dłużnikiem. Jeśli zawadza wam jakiś śmiertelnik albo życzyście komuś szybkiej i niespodziewanej śmierci, chętnie dopomogę...

– Dziękujemy, nie skorzystamy!

Patrzyłem, jak zwinnie ściąga obiekt ze ściany, po czym zawija w kilim zdjęty bez pytania z kanapy. Monika milczała, żałując pewnie cennego artefaktu. Postanowiłem zapytać.

– A właściwie, Mykoła, po cóż ci to zwierciadło?

– Po co? Ciekawe pytanie! To naprawdę wielofunkcyjne cudeńko. Posiadając je i odpowiednio uzdolnioną dziewicę, choć w waszych czasach o dziewicę trudniej niż o lamparta jarosza, wiele można z nim zwojować. Stanowi klucz do wiedzy, a także wytrych do

bram poza czasem i przestrzenią, których moi obecni mocodawcy pilnie potrzebują... A zresztą, za dużo chcielibyście wiedzieć.

Nie podtrzymywałem rozmowy. Z jego aury nie potrafiłem dociec, komu aktualnie służy, Arabom, aktualnym rosyjskim władcom, a może jakiejś postępowej organizacji alterglobalistów. Zobaczyłem jednak coś ciekawego i aby podtrzymać rozmowę, zadałem pytanie:

– A wtedy czemu chciałeś mnie zabić? Margareta chyba słusznie twierdziła, że martwy na nic Piekarskiemu bym się nie nadał.

Uśmiechnął się szatańsko.

– Cóż, w niektórych kwestiach mieliśmy z panem Michałem interesy lekko rozbieżne. Póki chodziło o pomnażanie anarchii w Polsce, pomagałem mu, jak mogłem, ale gdy pojawiła się szansa realizacji jego planów, nie mogłem do niej dopuścić...

– Moskwa ci płaciła?

– Zaraz płaciła! A czy nie mogłem uczynić niczego z własnej inicjatywy? – To mówiąc, zaśmiał się raz jeszcze i na swych pałkowatych nogach chyżo podążył na taras. Poszliśmy za nim, obserwując, jak bez lęku przesadza balustradę i na podobieństwo muchy bez jakiegokolwiek asekuracji opuszcza się z niesłychaną zręcznością po pionowej skale.

Nim zniknął nam z oczu, sięgnąłem do kieszeni po komórkę. Obywatelski obowiązek nakazywał telefon do karabinierów. Mykoła z lustrem stanowił zagrożenie jeszcze większe niż bez lustra. Przed zadzwonieniem powstrzymała mnie Monika.

– Nim zatelefonujesz, powinieneś coś wiedzieć. Kiedy kupiłam lustro, było w oplakany stanie.

– Wiem, wyczyściłaś ramę...

– I wymieniłam taflę na nową, zamówioną specjalnie w hucie w Murano, pięknie postarzoną... Ale chyba bez magicznych właściwości. Miejmy nadzieję, że ten straszny człowiek brak skuteczności lustra będzie przypisywał nie tafli, lecz kiepskiej jakości współczesnych dziewic.

Uściskałem Monikę, woląc nie myśleć, co będzie, gdy Mykoła zauważy podmianę. Nic tylko zwijać manele i wiać choćby na Karaiby!

– A co się stało z oryginałem? – zapytałem dla porządku.

Zmarszczyła noseć, jak zwykle gdy miała jakiś problem.

– Muszę pomyśleć. Jeśli nie wyrzuciłam, pewnie poniewiera się gdzieś na strychu.

Wyciągnąłem komórkę, lecz nim uzyskałem połączenie z policją, dobiegło mnie echo strzału. Wychyliłem się z tarasu i zobaczyłem dziwny widok: oto Mykoła, który, jak myślałem, opuścił się już na dół, pełził po pionowej skale. Tym razem w górę.

Na placyku na dole w świetle latarni tworzącej świetlistą aureolę stał kapitan Raffaello Serafini, mierząc do potwora z wielkiego staromodnego rewolweru lśniącego żywym srebrem. Zbrodzień prawdopodobnie by mu uszedł, jednak zgubiła go rzetelność zawodowa – za nic nie chciał wypuścić z rąk lustra.

Kapitan strzelił po raz drugi, a oko miał rewelacyjne, na miarę medalu olimpijskiego w konkurencji strzelania do rzutków. Mykoła, lubo trafiony w pierś, lustra dalej nie wypuścił, jednak odpadł od ściany i runął w dół.

Padł prosto pod stopy kapitana, ten położył na nim nogę obutą w połyskliwy sandał. Rozległ się trzask przypominający miażdżenie karalucha, jakby dodatkowo zmultiplikowany dźwiękowo i puszczonego przez gigantofon. Potem zaś ciało Mykoły zmieniło się w kałużę czarnego błota, które ściekło kratką odpływową, a Serafini pochylił się i ją zbierał okruchy lustra.

Wróciliśmy do domu. Łykaliśmy z Moniką po lampce koniaku, bo z nadmiaru emocji spać mi się nie chciało, kiedy rozległ się dzwonek, ale nim zdążyłem podejść do panelu z podglądem i otworzyć drzwi, Raffaello Serafini, jakimś sposobem już był w salonie. Wydał mi się nieprawdopodobnie piękny; znikł gdzieś ukruszony ząb, a jego wąsik nad górną wargą zrobił się płowy, niemal kobiecy.

– Jeszcze raz dziękuję za współpracę – oznajmił pogodnie. – Pragnę poinformować państwa, że żadna wzmianka o tym incydencie nie pojawi się w mediach. Ale muszę, niestety, poprosić państwa o zwrot lustra.

– Przecież się rozbiło – wypaliła Monika.

Oficer uśmiechnął się z politowaniem.

– Mówię o oryginale, *signora*, siła nieszczęść przez nie się wydarzyła, toteż powinno znaleźć na stałe bezpieczniejsze schronienie. *Signore* Aldo wie, że znajomość przyszłości może być cennym dniem, ale przeważnie okazuje się zgubnym brzemieniem.

Monika chciała, kobiecym zwyczajem, jeszcze się chandryczyć, ale pomyślałem o podobieństwach don Camilla do pana Piekarskiego i przyznałem Serafiniemu rację. W dodatku widziałem więcej niż ona – świetlisty krąg wokół głowy oficera, jaki pojawia się na bizantyjskich ikonach, oraz dwie jasne smugi wyrastające z jego ramion.

Monika podreptała na strych i po chwili wręczyliśmy mu szklaną płytę, bardzo podrapaną i zmatowiałą. Na pierwszy rzut oka nic ciekawego. Kapitan zasalutował, cmoknął

Monikę w rękę, a potem wręczył kopertę z prośbą, abyśmy zajrzeli do niej dopiero rano. Czyżby to była gratyfikacja?

Potem się oddalił, jeśli można nazwać oddaleniem nagłe, niewytłumaczalne zniknięcie, po którym pozostaje jedynie odrobina poświaty w powietrzu i zapach jakichś niezidentyfikowanych bliskowschodnich kadzideł.

Z wrażenia oniemieliśmy i w takim zadziwionym milczeniu poszliśmy spać. Intuicja podpowiadała mi, że czeka mnie daleka podróż.

Sługa wymienił świece w lichtarzach i postawił przed nami dodatkowy dzban wina. Pan Piekarski umilkł na chwilę, zbierając myśli, co czynią ludzie zawsze wtedy, gdy pragną powiedzieć coś naprawdę istotnego. Ja zaś nie odzywałem się, czując, jak gdybym przeżywał jeszcze raz tę samą scenę.

– Wiem, że się wahasz, mości Derossi. Wiem, że plan mój przyjmujesz z obrzydzeniem, a sprawa Rzeczypospolitej, jej bytu czy niebytu, jest dla ciebie, Europejczyka, sprawą obojętną. Dla mnie jednak los ojczyzny jest droższy niż życie, niż miłosne chucie, nawet niż zbawienie duszy mojej. Wiem, że podoba ci się Małgorzata. Tedy bierz ją!

– C-c-co? – wyjąkałem.

– Jeśli to ma być cena za twe usługi, dam ci ją i tuzin innych Małgorzat. Bierz ją, żeń się i płódź dzieciaki, których wiele potrzebnych będzie w nowym świecie, który stworzymy.

Byłem zbyt osłupiały, żeby powiedzieć cokolwiek, wyksztusiłem jedynie:

– A co z jej darem, jakże będzie odczytywać przyszłość z lustra, ostawszy mężatką?

– To akurat nie stanowi problemu. Znalezione już dla mnie na Krymie dziewicę cudną, trzynastie wiosen liczącą, która zdolnościami profetycznymi dorównuje Margoście, a nawet ją przewyższa.

Tu wyciągnął srebrny dzwonek i zaczął nim potrząsać; wpierrw pobudzona przybiegła służba z Jagnieszką, Kacprem i Błażejem, potem ze swej wieży spłynęła moja cudna księżniczka. Do kompletu brakowało jedynie Mykoły.

Pan Piekarski podbiegł do panny Hausner i zawołał, wskazując na mnie.

– Miłujesz ty jego?

Margareta gwałtownie pobladła, nie wiedząc, czy odpowiedź zgodna z prawdą nie spowoduje jakichś straszliwych konsekwencji. Ale do tchórzliwych nie należała.

– Tak – powiedziała, spuszczając skromnie oczy.

– A ty, panie Derossi, którego zwać będę il Cane, bo mi tak wielce pasuje, mów szczerze, czujesz miętę do onej panny?

– Tak – odrzekłem niczym echo.

– Tedy bierz ją za żonę, a gdy tylko post minie, odwiedzi nas ksiądz pleban, iżby przed wyruszeniem w drogę przyklepać wasz związek. A teraz – rozejrzał się dookoła, nie zostawiając nam czasu na podziękowanie – wszyscy spać! I ostawcie mnie samego.

Podszedł do dzbana, przechylił go i pił, pił, jakby chcąc winem zalać cały ból i gorycz, które niewątpliwie odczuwał.

Przeминаł Wielki Post i wszyscy świętowali Zmartwychwstanie Pańskie. Ostatnie śniegi spłynęły, a po długiej i mroźnej zimie kwiecień nastał wręcz gorący, co ludzie poczytywali sobie za korzystną wróżbę. Widując przez ten czas co dzień Margaretę, rozkochałem się w niej coraz bardziej i liczyłem dni do sakramentu, który w dniu Wielkiej Nocy zawrzeć mieliśmy. Nic naszemu afektowi nie przeszkodziło. Piekarski lubo okrutnie gryzł się w sobie, słowa dotrzymał.

Przez ten czas w całym dworze ani w okolicy, bom pełną swobodą się cieszył, nie postrzegłem śladu Mykoły. A zapytawszy o niego pana Michała, uzyskałem odpowiedź, że zdemaskowany z pomocą Małgorzaty jako szpieg na usługach Moskwy ludzi swych utracił, a sam raniony uszedł w panice i nieprędko w granicach Rzeczypospolitej się pojawi.

Ślub wzięliśmy w Wielkanoc, weselisko było wspaniałe, pan Piekarski jako pierwszy drużba występował i tańczył bez opamiętania, pragnąc ukryć niewątpliwą smutek, który czuł, bo sądzę, iż wprzódy własne plany z panną Hausner wiązał, lecz postanowił je poświęcić. A co było potem... Wiela by mówić, ale skromność nie pozwala zdradzać tajemnic małżeńskiej alkowy.

Jednak nasz miodowy miesiąc trwał ledwie około tygodnia. Otrzymałszy wiadomość, iż dziewczica wykupiona z Krymu jest już w Zamościu, pan Michał zdecydował, aby wspólnie z nieodstępny Kacprem odprowadzić mnie aż tam, skąd wspólnie z posiłkami ziemi sandomierskiej pod Smoleńsk dążącymi miałem zabrać się aż do Wilna i zostać przedstawiony na dworze królowej Konstancji. Już wcześniej wymieniliśmy listy z panem Skirgiełłą, który bardzo cieszył się na nasze spotkanie po latach i obiecywał w miarę swych sił pomagać mi przy zawieraniu znajomości i zdobywaniu kontraktów twórczych.

Mnóstwo się teraz w Polsce pałaców wznosi, stare przebudowuje i dekoruje, toteż człowiek sławny jak pan (to było zdanie zdecydowanie na wyrost) przed robotą nie zdoła się opędzić – pisał. Jadąc, myślałem wiele o roli, jaką pan Piekarski mi wyszykował, zastanawiałem się nad perspektywami, chociaż mając zwierciadło, można powiedzieć – graliśmy w otwarte karty.

W Zamościu dołączyła do nas wspomniana Żydóweczka, wróżbitka. Niebrzydka, choć daleko jej było do uroku Margarety. Pan Piekarski odbył z nią seans próbny przed lustrem, w alkierzyku ustawionym. Szczegółów mi nie zdradził, ale wyglądał na mocno ukontentowanego. Jakież miraż przed nim roztoczyła? Że zostanie papieżem?

Z Zamościa podążyliśmy do Lublina, dalej zaś jechaliśmy na Brześć i Drohiczyn, po czym skręciliśmy ku Grodnu, skąd do Troków i Wilna nie było już daleko. Pora była piękna, kwietna i nikt oglądający ową ziemię, lud krzątający się na polach, dwory szlacheckie i magnackie rezydencje, które mijaliśmy, nie rzekłby, że toczy się jakaś wojna, że opodal w państwie moskiewskim ludzie umierają z głodu, a bywa, żrą się nawzajem. Witano nas wszędzie przychylnie, Mazurzy pana Piekarskiego snadź nie znali, a mnie przyjmowali z ciekawością, jakby nigdy w życiu cudzoziemca nie widzieli. W każdym z odwiedzanych domów czy klasztorów moglibyśmy ostać długo i ucztować, gościnność Polaków była bowiem niezwykła i jedyny kłopot polegał na tym, jak taktownie wymówić się z dalszej gościny, tłumacząc, że wzywają nas obowiązki, ojczyzna i osobiście król jegomość.

Sądzę, że właśnie tak w podróży poznaje się kraj najlepiej.

Można by, parafrazując Cezara, napisać: *Polonia est omnis divisa in partes tres...* gdyby nie to, że sami Polacy dzielą swą Rzeczpospolitą na dwie części – Litwę i Koronę, zapominając o trzeciej, największej – Rusi, która mocą unii lubelskiej od Litwy odłączona, do Korony została inkorporowana. Paradoksów takich jest w Polsce więcej – choćby nazwy dwóch krain, z których Małopolska jest większa od Wielkopolski, co zresztą nikomu nie wadzi. Inna sprawa – ten akurat błąd wynikł, moim zdaniem, z mylnego tłumaczenia słów *Polonia Maior* i *Polonia Minor*, co wprawdzie miało Polskę młodszą i starszą, czyli ową Starszopolskę, gdzie zaczęło się państwo Mieczysławów i Bolesławów i dopotąd znajduje się stolica kościelna – Gniezno, siedziba prymasa, w czasach bezkrólewia *interrexem* nazywanego. Nie sposób nie napisać też o czwartej części, którą stanowią Prusy, lenno Korony, nie wiedzieć czemu nigdy do Polski nie włączone, choć sposobność parokroć była, chyba tylko po to, by Niemiaszki, dziś słabe i podzielone, uczyniły kiedyś Polakom przykrą siurpryzę.

Co do piątej części, powinienem specjalną księgę dodać, bo takiej masy żydostwa jak w Litwie i na Rusi nie masz nigdzie na świecie i, co ważniejsze, nasi „starsi bracia w wierze” swobód zażywają tam takich, jakie bywały może w Iberii za czasów mauretańskich albo w Egipcie, póki Józef był doradcą faraona. Mają swoje świątynie, szkoły, uniwersytety, swoich rabinów i cadyków, swoje sądy, swój sejm. I jeśli nie mają czego, co normalnie atrybutem państwa bywa, to własnej monety, ale po co im, skoro lepiej od innych wszelaką walutą śmiało obracają. Z pewnością los ich lepszy od losu chłopów, których kondycja stale się pogarsza, albowiem nękaną są pańszczyzną, ową ciężką powinnością, której próżno by szukać na zachód od Łaby.

O Polsce jako kraju paradoksów można by jeszcze długo opowiadać. Nie masz bowiem drugiej krainy, która, królestwem będąc, mieni się Republiką, król sam jeden jest jednym stanem, choć prócz posiadania tronu i tytułu ma mniej władzy niż niejeden gubernator tureckiej prowincji.

W Grodnie pożegnał nas pan Piekarski, nie chcąc, aby ktoś bystry połączył naszą znajomość ze zdarzeniami, które miały nastąpić. Pojawić się miał dopiero później w Wilnie, zapewne ze zmienioną tożsamością.

Dwór królowej Konstancji znaleźliśmy na zamku w Trokach, obszernej, jeszcze średniowiecznej budowli, pięknie położonej między jeziorami. Tamże przebywał też jej syn, oddając się ulubionej rozrywce, jaką było polowanie w pobliskiej kniei. Pierwszą osobą, którą tam napotkaliśmy, był pan Skirgiełło. Na mój widok porwał mnie w ramiona, wołając, że w niczym się nie zmienił. O nim nie mogłem powiedzieć tego samego, włos na głowie mu się przerzedził i posiwiiał, nawet w brodzie pojawiły się srebrne pasemka.

Opowiadać począł, że mówił już na mój temat z królową i mają wobec mnie większe zakusy, niż napisał w liście. Jako że *inter arma silent Musae* i są ważniejsze rzeczy niż pałaców upiększanie.

– Królewicz Władysław – kontynuował Skirgiełło – liczący sobie ledwie piętnaście wiosen, bystry jest, świata ciekawy, ale nie miał dotąd właściwych preceptorów, prócz roju dwórek, które go rozpieszczały, i paru księży, którzy potrafili nauczyć go jeno zasad wiary i nieco języków. Świetny jest w fechtunku, jeździe konnej i tańcu, aliści przydałoby mu się trochę umiejętności z zakresu sztuk wyzwolonych...

– I myśli pan, że ja mógłbym podolać...:

– Bez dwóch zdań, jako że sprzyja panu nacja cudzoziemska. W tym kraju najtrudniej uznać autorytet rodaka.

Królowa udzieliła mi posłuchania po obiedzie. Wydała mi się osobą zgoła nieciekawą, pozbawioną urody i wyższych intelektualnych aspiracji, ot, typową wiedenką, jakich tysiące siedzi w kuchni, gotując strawę mężom i cerując pludry. O małżeństwie z królem Zygmuntem zdecydowały dwory i sam papież, który udzielił dyspensy królowi wdowcowi na poślubienie siostry swej zmarłej żony.

Podczas spotkania mówił głównie Skirgiełło, a ja, przedstawiony jako szlachetnie urodzony Alfredo Derossi il Cane, grzecznie potwierdzałem jego słowa, starając się sprawić na królowej dobre wrażenie. Dłużej wypowiedziałem się raz, gdy indagowała mnie o eksperyencję alchemiczną, pytając, czy są to czary. Odparłem, że z całą pewnością nie, powołując się tu zresztą na autorytet cesarza Rudolfa, który wielce w tego typu eksperymentach jest rozmiłowany. Opowiedziałem jej o widzianym procesie transmutacji (przemilczawszy wprawdzie kryjący się w nim szwindel).

Królowa zapytała mnie jeszcze, co wiem o kamieniu filozoficznym zapewniającym wieczną młodość. Odparłem, że tylko słyszałem o nim, natomiast, tu się ukloniłem, są osoby; które z pewnością go nie potrzebują. Wiedząc o jej migrenach, wspomniałem o leku przywiezionym ongiś z Egiptu, który likwiduje wszelkie bóle głowy jak ręką odjął, a którego niewielki zapas przypadkowo mam przy sobie. Wypróbowaliśmy medykament na jednej dwórcie, która bardzo cierpiała, a efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Królowa więc była następna...

Na koniec audiencji królewska małżonka podała mi rękę do ucałowania, Skirgiełło zaś szepnął mi na ucho, że wszystko idzie świetnie, lepiej, niż mniemał, i zarządził, aby dać mi kwaterę w samym zamku.

Królewicz Władysław nadjechał pod wieczór, zadowolony, choć zmęczony, w trakcie łowów ubił bowiem sarnę i dzika i chwalił się tym, jakby pokonał całą bisurmańską armię.

Wydał mi się młodszy, niż myślałem, o twarzy wręcz dziecinnej i raczej przystojnej, choć szpeciła ją nieco warga po Habsburgach odziedziczona, za to rozjaśniały oczy świadczące o żywej inteligencji.

Następne dni, kiedym oficjalnie uzyskał nominację na jego preceptora, potwierdziły pierwsze wrażenie. Przy okazji miejscowy heraldyk wywiódł mi genealogię od jednego z rybaków z Kany Galilejskiej, który jedynie z powodu, że był już komplet dwunastu apostołów, do historii nie przeszedł.

Młody królewicz polubił mnie i zauważyłem, że chętnie spędza ze mną czas czy to w Trokach, czy po powrocie do Wilna. Sam prosił, abym opowiadał mu jak najwięcej o szerokim świecie, choć, jak zauważyłem, szybko się nudził. Ze swej strony też wy badałem

go trochę. Znał żywoty sławnych mężów. Plutarcha, czytał Cezara, imponował mu Aleksander Wielki, choć wydawał się bardzo odległy od myśli, że sam mógłby prędko pójść w jego ślady. Zaobserwowałem też, że czuje wielki mores przed ojcem i pomyśl, że kiedykolwiek mu się sprzeciwi, wydawał się niewyobrażalny.

Od najmłodszych lat zaprawiany do rzemiosła wojennego, umiał rozmawiać z żołnierzami, znał się na broni, przyswoił też sobie podstaw taktyki i dowodzenia. Zdrowia nie miał za mocnego, cierpiał na dolegliwości nerkowe, które dzięki jeszcze jednej miksturze odziedziczonej od *il dottore* przegoniłem w ciągu tygodnia, czym zdobyłem nadzwyczajne poważanie, i tak już spore od chwili uzdrowienia królowej Konstancji z dokuczliwych migren.

Do kanonu lektur obowiązkowych podsunąłem królewiczowi Makiawela, którego pochłonał z wielkim zapalem, uzupełniając ten szybki kurs *Realpolitik* biografiami angielskiego Henryka VIII, jego córki Elżbiety Wielkiej, Filipa II Hiszpańskiego, a także Iwana Groźnego. W trakcie studiowania życiorysu Henryka IV Burbona z Navarry nadeszła wiadomość o tem, iż 14 maja nóż François Ravaillaca położył kres jego niezwykle żywotowi. Wieść ta wstrząsnęła młodym królewiczem.

– Jakże to, są ludzie, którzy ważą się podnieść rękę na bożego pomazańca?! – zawołał.

Odparłem, że w dziejach jest to rzecz wcale częsta, a są kraje, jak Moskwa, gdzie, odwrotnie do Polski, będącej w świecie oazą spokoju, naturalna śmierć władcy jest czymś ekstraordynaryjnym, zaś ludzie przywykli, że tron, krom gronostajów i złotogłowa, moszczon musi być krwią.

Przy okazji wyszła na jaw całkowita nieświadomość następcy tronu, jeśli idzie o politykę bieżącą. Trochę trwało, zanim nadwątlilem jego wiarę, że historię kreuje Bóg za pośrednictwem własnych pomazańców. Pokazywałem mu, że w istocie jest to gra rozmaitych sił, mocarstw, partykularyzmów rodów, emocji wywoływanych przez religię i działań nacisku grup społecznych. Ukazywałem, jak tragiczną rolę odgrywały głupota, urażona ambicja czy zaciętrzewienie. Mówiłem o strategii i taktyce – opowiadałem (sam świeżo po lekturze *Kronik* Długosza) o Kazimierzu Wielkim, który wojen nie toczył, a jako młodzian z pola bitwy pod Płowcami po prostu uciekł, ale paktami, układami, czasem ustępstwami, położył podwaliny pod potęgę Polski.

Wspólnie przeanalizowaliśmy jeszcze raz historię wielkiej smuty rosyjskiej, od szaleństw Iwana Groźnego poczynając, po smutną rejteradę wtórego Samozwańca z Tuszyń, w którym najpierw był jeńcem domowym polskich najemników, pod dowództwem pana Różańskiego, a 6 stycznia tego roku salwował się ucieczką do Kaługi.

W ciągu następnego pół roku jego żołnierze i oficyjerowie przechodzili masowo na stronę króla Zygmunta. Był wśród nich zagończyk zawołany, Aleksander Józef Lisowski herbu Jeż, człowiek brawury niesłychanej, lecz równie bystrego umysłu. Jak opowiadał pan Skirgiełło: „Odnosił on zwycięstwa w wielu bitwach, nękał całą prawie krainę moskiewską ciągłymi wycieczkami; przenikał ich zamiary, miejscowości, rzeczy jawne i tajemne, i umiał wszystko, co nieprzyjaciele czynili, wykorzystywać na ich własną zgubę. Nauczył się bowiem, przewidując w porę i czyniąc wszelkie możliwe po temu wysiłki, udaremniać zamiary Moskali, przedziwnymi fortelami krzyżować najsprytniejsze nawet poczynania ich wodzów”. Poznałem tego pułkownika, człeka już niemłodego, któren prosto z Tuszyna do króla przybył, opowiadając o ucieczce carycy Maryny do Kaługi i zamieszaniu powstałem po nagłej śmierci kniazia Romana Różyńskiego.

Pan Piekarski, któren pod koniec czerwca stanął w Wilnie u jakiegoś swego dalekiego krewnego, usilnie nalegał, iżby przedstawić go królewiczowi, wiązał bowiem z pułkownikiem dalekosiężne plany. Przyszło mi to tem łatwiej, iż tylem o nim opowiadał, iż Władysław sam zapragnął poznać tego bohatera.

Nam przydał się szczególnie jako przewodnik po elicie rosyjskiej, którą znał bardzo dobrze od metropolity Filareta z rodu Romanowych po chana Uraz-Machmeta, gorliwego zwolennika króla Zygmunta. Sam król niezbyt uważnie go słuchał, ja natomiast skłoniłem królewicza, aby jako potencjalny car rosyjski wsłuchiwał się pilnie w jego opowieści.

Tu zaznaczyć muszę, że pan Michał po swym przybyciu kontaktów szczególnych ze mną nie zacieśniał, ledwo dwa razy żeśmy się u pana Skirgiełły niby przypadkiem spotkali, wymieniając jedynie uprzejmości, a raz czy dwa przez Kacpra liściki sobie posyłałiśmy, paląc je niezwłocznie po przeczytaniu.

Piekarski wydawał się być w stanie euforii – jego Żydóweczka co noc raczyła go wspaniałymi prognozami, a on święcie przekonany był co do ich realności.

Tymczasem w owo carowanie, które zaproponowała Władysławowi część bojarów, niezbyt na Litwie wierzone. Sam król uważał, że jego syn jest zbyt młody, aby samodzielnie o Moskwę walczyć. Co wielu pojmowało jako osobistą chęć Wazy dodania Czapki Monomacha do posiadanych już koron polskiej i szwedzkiej. Entuzjastów projektu cara Władysława było niewiele – Lew Sapieha, marszałek Trybunału Litewskiego, Piotr Skarga, rektor Uniwersytetu Wileńskiego, kaznodzieja znakomity, pan Skirgiełło. Obaj hetmani: wielki litewski Karol Chodkiewicz i polny koronny Stanisław Żółkiewski, po zostawali w polu i do polityki rzadko się mieszały. Choć hetman polny od dawna powiadał, iż obleganie Smoleńska jest jedynie stratą czasu, albowiem trzeba na Moskwę iść i fakty dokonane

stwarzać. Królewicz zrazu zapalony do pomysłu objęcia carskiego tronu, też w miarę upływu czasu tracił wiarę w rychły moment koronacji, na szczęście pilnie studiował to, com mu podsuwał.

Wszystko odmienić miał ów pamiętny 4 lipca, przewidziany jeszcze przez Margaretę, a potwierdzony orężem pana Żółkiewskiego.

Z końcem czerwca dotarły do Wilna wieści, że oto książę Dymitr Szujski, brat cara Wasyla IV, ruszył na odsiecz Smoleńska, polskimi siłami obleganego i coraz bardziej rozpaczliwie przez wojewodę Michała Szejna bronionego. A szła z nim cała potencja moskiewska, tudzież posiłki szwedzkie pod dowództwem Jakuba de la Gardie i generała Horna.

Początkowo dowództwo wziąć miał Jan Potocki, generał wojsk podolskich, wojewoda braclawski, atoli uchylił się, woląc nadwątlony Smoleńsk oblegać, niż na niepewną bitwę z liczebniejszym wrogiem się wydawać. Tedy ostatecznie wszystko wziął na swe barki Żółkiewski, otrzymawszy od króla mniejsze siły, niż Potockiemu dać zamierzano, i ruszył z tą garścią, zbierając po drodze mniejsze oddziały polskie: z Wiaźmy pułk Marana Kazanowskiego, a z Szujaska rotmistrza Aleksandra Zborowskiego, syna Samuela, owego nieszczęsnego banity straconego z rozkazu kanclerza Zamoyskiego. W tym czasie Polacy starli się w Carowym Zajmiszczu z oddziałami Grigorija Wałujewa, tegoż samego chwata, którego strzałem z rusznicy Dymitra I Samozwańca ubił. Ów, próbując licznych zasadzek, dzięki mostowi pontonowemu zbudowanemu przez ludzi hetmana łącno uległ szarzy polskiej husarii i uciekł za wały.

Polacy jednak nie zamierzali łamać zębów na miejscowych fortyfikacjach ni czasu mitrzyć, obrócili się ku głównym siłom rosyjskim podle Kłuszyna obozującym, co wiedzieli już od licznych dezertarów. Równocześnie pismo po łacinie nakreślone wysłane przez Żółkiewskiego do zaciężnych oddziałów cudzoziemskich, obiecujące przyjaźń i żołd, mocno nadwątlilo ich morale.

Tak więc pozostawiając pod Carowym Zajmiszczem ledwie nikłą część swych sił, głównie Kozaków, ruszył hetman polny z całą swą siłą uderzeniową przeciw Szujskiemu. A szło z nim 5556 husarzy, 679 pancernych i 290 petyhorców.

Posuwali się puszczą, po ciemku, fatalną drogą, nie widząc wroga, i tylko sygnał pobudki grany świtem dla cudzoziemców naprowadził ich wprost na obóz.

Mogliby zaatakować śpiących, ale na przeszkodzie stały liczne płoty, które wprzód trzeba było rozebrać. Wojsko ustawiło się w szyku – na prawym skrzydle Zborowski, gotów dawne animozje z hetmanem w niepamięć puścić, na lewym starosta chmielnicki Mikołaj Struś, z tyłu jako posiłki Kaznowski, Dunikowski, Porycki. Wspomniana zwłoka spowodowała, że i nieprzyjaciół udało się przygotować.

Tymczasem Żółkiewski objechał wojska, zagrzewając je do walki słowami: „Potrzeba w miejscu, nadzieja w męstwie, zbawienie w zwycięstwie!”. A szli za nim księża, błogosławiąc wojaków i udzielając absencji w obliczu śmierci. Wreszcie hetman buławą skinął, zagrzmięły trąby, z tysięcy gardeł ozwała się *Bogurodzica* i husaria, pochyliwszy lance, ruszyła ku nieprzyjaciołom, którzy wedle świadków byli jako morze.

Wąskie luki między płotami nie pozwalały na rozwinięcie ataku ławą, toteż Żółkiewski wypuszczał chorągwie pojedynczo, te wpadały w moskiewską cizbę i znikwały niczym w kamień w wodzie, choć zaraz rozlegał się wielki krzyk i szczęk oręża. Husarze zaś, siekąc na prawo i lewo szablami i kłując koncerzami, wyrąbywali sobie drogę powrotu, by pojawić się na pozycjach wyjściowych. W ich miejsce ruszały nowe rotty, a stare po chwili wytchnienia ponownie rzucały się w odmet.

Przewaga liczebna Rosjan sprawiała, że taka taktyka nie przynosiła widocznego rezultatu. Na dobitkę szwedzka piechota rozpoczęła morderczy ostrzał od strony płotów. Był moment, kiedy obawa pojawiła się w sercach polskiego dowództwa. Krańcowo zmęczeni jeźdźcy z coraz większym trudem powracali do walki. Jednak po stronie rosyjskiej, snadź nie mającej pomysłu kontrnatarcia, wola walki zaczęła wyraźnie słabnąć. W tym momencie ruszyły w bój wypoczęte chorągwie Marcina Kaznowskiego, a szedł za nim Wasicyński i Mikołaj Firlej, i Samuel Dunikowski, i Kopyciński... Gwałtowność ataku zaskoczyła wroga i po pierwszej kiepsko celnej nie oddał nawet drugiej salwy z muszkietów. Wnet w obozie moskiewskim pojawiła się panika, padały kolejne płoty, a żołnierze bardziej niż walką zajęli się ratowaniem dobytku. Dowódca Szwedów Jakub de la Gardie wraz z generałem Hornem salwowali się ucieczką. Pozostał wszelako obóz główny z kniazem Szujskim, a Żółkiewski nie chciał zbytnio szafować krwią żołnierską. Także zaczęły się pertraktacje z wojakami zaciężnymi.

Polscy rotmistrze podjeżdżali pod ich szyki, wołając: *Kum, kum, kum*, co odniosło ten efekt, że w parę godzin większość wojsk najemnych przeszła na żołd Rzeczypospolitej. Tymczasem zaczął się zacieśniać krąg polskich chorągwi wokół rosyjskiego obozu. Dymitrowi nie marzyła się bohaterska śmierć, toteż wnet bosy, na chudej szkapinie aż pod Możajsk uszedł, a Polacy zagarnęli tabory.

Żółkiewski czasu nie tracił na świętowanie, szybko zawarł układ z Wałujewem, iżby nie mieć wroga na zapleczu, ostawił go wolnym za uznanie carem królewicza Władysława, a sam ku Moskwie ruszył.

Tam też działy się rzeczy zdumiewające – 26 lipca dotarł do miasta Dymitr Samozwaniec II, a przerażony Wasyl IV bał się nosa z Kremla wyściubić, rychło zresztą został przez bojarstwo pod wodzą kniazia Golicyna zdetronizowany i odesłany do monasteru.

Nieraz myślałem o tym dziwnym mieście, ni to europejskim, ni to azjatyckim, o którym pradawna legenda mówi, że kto je mieć będzie i dłużej niż dwa lata utrzyma, panować nad światem będzie. Nie chce mi się w to wierzyć, jako że Mongołowie trzymali je blisko trzysta lat, a nigdy całego świata nie zdobyli, a i to, co dzierżyli porozpadało się na dziesiątki krain. Inna sprawa, że sami Tatarowie nigdy w nim nie siedzieli jako hegemoni, zadowolając się praktyką *jarłykiem* nazywaną, to znaczy wyznaczali sobie miejscowego władcy, a ten rządził za nich, lud uciskał, haracze ściągał, kogo trzeba mordował i co jakiś czas hołd wielkiemu chanowi składał. Praktyka ta dobrze wzała się w sam charakter narodowy Moskwiczinów, którzy mimo szczerych zapewnień żadnymi Słowianami nie są, tylko język i pismo z kijowskiej Rusi przejęli, będąc przedziwną mieszaniną ludów Północy, po trosze Węgom i Finom podobnych, którzy wiarę wyznają bizantyjską, państwo mają po Normanach, a w duszy ich siedzi skośnooki diabeł, który od maleńkości uczy ich uciskania słabych, a czapkowania możnym. Inna sprawa, wróg zewnętrzny szczęścia do miasta rozłożonego wokół miejscowego *Akropolis*, Kreml w Rusi nazwanego, nie miał. O krok od Moskwy był litewski Witold, ale nie zdzierzył, a w lustrze Piekarskiego pojawiło się jeszcze dwóch mocarzy ostrzących zęby na stolicę Rosji, ale skutkiem owej ekspedycji obaj podle mieli skończyć, jeden, jak opowiadała Hawa, mały z przetłuszczonym loczkiem do czoła przyklejonym, drugi z grzywką zaczesaną na bok i wąsikiem przypominającym psie łajno, o którym mówiąc, Żydóweczka trzęsa się strasznie, ale powodu onej trzęsawki wyjawić nie umiała.

3 sierpnia stanął Żółkiewski pod Moskwą, rozpoczynając rokowania z bojarami i śląc listy do króla Zygmunta błagające o osobiste przybycie. Prośby okazały się daremne. Król nie kwapił się do działania. Ożywiła się natomiast w jego kręgu opozycja antyhetmańska, zaczęto podważać talenta Żółkiewskiego, wielkość odniesionego dopiero co sukcesu, oskarżać go o ambicje nadmierne, o łagodność wobec wroga i zbytnią spolegliwość w rokowaniach...

Wszystko działo się tak, jak przewidział Piekarski. Jeśli wcześniej miałem jakoweś wątpliwości wobec jego planów, teraz przemawiał przeciw nim jedynie zamysł haniebnej zbrodni. Ale przecież nie ja miałem jej dokonać.

13 sierpnia pan Michał stawiał się u mnie na wileńskiej kwaterze, mówiąc: – Nadszedł czas!

Wiedziałem, że daremnie byłoby go powstrzymywać. Wypytywać o szczegóły też nie chciałem.

Rzuciłem tedy krótkie:

– Kiedy?

– Pojutrze – odparł.

Tu nadmienię, że tego dnia nie występował pod swoją własną postacią, lecz jako ormiański kupiec spode Lwowa, których mnóstwo kręciło się w mieście, gdy dwór w nim przebywał. Ci, którzy liczyli, że król polski stawi się w obozie pod Moskwą, gdzie pan Żółkiewski osobiście w monasterze Nowodziewiczym rokowania z bojarami prowadził, mylili się srodze, Zygmunt III przebywał podówczas w Wilnie, gdzie zamierzał uczestniczyć we mszy dziękczynnej w dniu Matki Boskiej w katedrze wileńskiej.

Co miałem robić? Targany sprzecznymi uczuciami poszedłem pod Ostrą Bramę, gdzie mieści się święty wizerunek Bożej Rodzicielki. I modliłem się, czekając znaku, ale w panującym tam tłoku tylko jakiś sprawny obwieś mieszek mi obrzezał. Cud kiepski, a i sens jego niejasny!

15 kwietnia wokół świątyni położonej pomiędzy starym miastem a górą zamkową narodu zgromadziło się wiele. I ja tam byłem, drżąc podwójnie, co będzie, jeśli zamysł Piekarskiego się nie uda, i niemniej strwożony na myśl o tym, co się może zdarzyć, gdy się uda. Zali mogliśmy zdać się całkowicie na lustro?

Czy ktoś prócz mnie wiedział o spisku Piekarskiego? Nie sędzę. A i ja nie wiedziałem o nim nic zgoła. Podczas bezsennej nocy w wigilię planowanej zbrodni puszczałem więc wodze fantazji, zastanawiając się, jak ja bym to przeprowadził, gdybym musiał. Sztyletowanie, sprawdzone we Francji przez Ravallaca i Jacques'a Clémenta, nie wchodziło w grę, po pierwsze z racji świty otaczającej Zygmunta ciasnym kręgiem, po drugie wymagało wysłania desperata gotowego na śmierć, albowiem szanse na ucieczkę miał mniejsze niż żadne. Poważylby się na to może i sam pan Michał, ale kto poza nim? Również wzory ze spisku prochowego z Anglii, kędy niejaki Guy Fawkes omal nie wysadził w powietrze całej Izby Lordów, wydawały mi się nie do akceptowania w Polsce, gdzie lud miłosierny, a wobec kobiet i dzieci szczególnie delikatny. Już bardziej prawdopodobna mogła być machina piekielna zainstalowana w karecie królewskiej. Rzecz w tym, że wespół z królem i królową Konstancją, podróżował niespełna roczny Jan Kazimierz, a kto wykluczy, że nie wsiądzie do niej także królewicz Władysław, przewidywany na beneficjenta spisku. Pozostawała broń

palna. Aliści jej celność przy odległości większej niż parę kroków pozostawiała wiele do życzenia. Czegóż zatem jeszcze użyć można było? Trucizny?

W południe 14 sierpnia, kiedym pana Skirgiełłę wizytował, pojawił się Piekarski, mówiąc, iż opuszcza Wilno, albowiem obowiązki rodzinne wzywają go do rodzinnych pieleszy, gdzie kuzyn jego bliski bardzo zachorzał i musi udać się przy jego łożu czuwać.

Pytany, kiedy wróci, dawał wymijające informacje, ale serdecznie zapraszał do swego dworu w Bieńkowicach. Ode mnie wziął listy do żony, obiecując, że gdy wojna się skończy, wyśle ją do mnie, kończąc rozłąkę.

Miałem na końcu języka prośbę, aby już teraz Margaretę w drogę wyprawił, alem w język się ugryzł. Sprawy, w które brnęliśmy, wielce niebezpieczne były, i po com miał mą ukochaną narażać.

Zresztą wyjazd, jak się okazało, był jedynie dla pozorów, bo jeszcze tego wieczora spotkałem się z Piekarskim w wersji ormiańskiej. Był wielce podniecony, ale dobrej myśli. I prosił, abym cały czas trwał przy królewiczu i panu Osowskim, któren dzięki moim staraniom od dwóch tygodni był dowódcą „małej gwardii”, kompanii znakomitych żołnierzy dla zabawy i ćwiczeń Władysława powołanej. Tworzyły ją zuchy niezrównane, zdolne jeśli trzeba stawić czoło całej armii, z których każdy sprawdził się w najtrudniejszych zadaniach na owym rozległym niżu od morza do morza Rzeczpospolitą zwanym.

Zapytałem tylko pan Michała, czy nie przewiduje jakichś komplikacji, mając nadzieję, że zdradzi mi metodę działania. Odparł, że nie, po czym dodał zdanie, które wielce mnie zastanowiło, tak że całą noc się z nim gryzłem:

– Wykorzystałem pomysł z pańskiej opowieści, il Cane.

Nie miałem pojęcia, cóż to może oznaczać.

Powinienem pojąć rzecz całą, gdym ujrzał grupę włoskich orkiestrantów, wchodzących na chór z boku prezbiterium pomieszczony, którzy mieli ceremonię uświetnić, a szczególnie idącego między niemi flecistę, młodziuteńkiego, ogromnej urody, który, jak później powiadali, był jeno bawidełkiem dyrygenta, i w ostatniej chwili kolegę, który zachorzał, musiał zastąpić. Jego twarz wydała mi się znajoma, choć za nic nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy i gdzie go mógł wprzód widzieć?

Msze sprawowało trzech biskupów, kazanie zaś miał wygłosić ksiądz Piotr Skarga, któren, jak mawiano, łączył talent retoryczny Cycerona z natchnieniem Kasandry. Ale tak długo msza nie potrwała. Normalny tor nabożeństwa biegł do chwili, aż huknął *Magnificat*, a młodżian, z którego oczu nie spuszczałem, flet do ust uniósł, lecz miast dmuchnąć weń poprzecznie, zadał niczym w pasterską fujarkę, celując w dół.

Później miało się okazać, iż miał w futerale dwa flety. Ten drugi tylko do jednego zagrania potrzebny.

Siedząc niedaleko królewicza, ujrzałem jedynie, że król Zygmunt drgnął jak przez osę ukąszony. Ci, którzy siedzieli bliżej, twierdzili, że najpierw jakby podskoczył, potem z jego ust dobył się charkot krótki, po czym nogi mu się wprzód wysunęły, a głowa opadła.

Zauważyła to królowa, ale jej krzyk zrazu utonął w potężnym śpiewie wypełniającym kościół i dopiero po chwili tumult się uczynił wielki, medyka poczęto wzywać, królowa omdlała, chór zamilkł, orkiestra także, a tłum jął z katedry uchodzić, traktując się wzajemnie.

Dopiero po dłuższej chwili ujrzano strzałkę z szyi Zygmunta Wazy tuż ponad kryzą wystającą.

Pojąłem wszystko. Nie tylko że Piekarski wykorzystał concept dmuchawki indiańskiej Alonsa Ibaneza, o której mu opowiedziałem, ale jeszcze, że zaangażował do roli Brutusa onego Sylvia – słodkiego chłopczyka, któregośmy pospołu z il *dottore z rąk* pana Hiacyntusa wyrwali, a który wyrósł na młodzieńca pięknego, lecz okrutnego, zdolnego do każdej zbrodni. W Austrii ścigano go za zabójstwo, na Śląsku pojmano za truciicielstwo. Jak znalazł go Piekarski i czym skłonił do popełnienia królobójstwa nie wiem. Pan Michał nigdy gadać o tym nie chciał, a sam Sylvio, cóż... Choć miał obiecaną ucieczkę, bezpieczną kryjówkę i nagrodę sowitą, uszedł ledwie parę kroków. Znalezione go na krętych, tajnych schodkach biegnących z chóru ku piwnicom katedry. Młodzian twarz miał całkiem siwą, obrzmiała, a wargi osobliwie czarne, albowiem ustnik fletu dmuchawki nasączono piekielną trucizną powodującą zgon prawie natychmiastowy.

Śledztwo nie ujawniło współników, choć kapelmistrza dla przykładu skrócono o głowę. Mówiono, że zbrodniec flecista przystał do kapeli przed miesiącem, wykorzystując grzeszny afekt, jakim dyrygent zapłonął do jego młodego ciała. Kto go ze Śląska, gdzie był aresztowań, do Polski ściągnął, w broń wyposażył i używania dmuchawki wyuczył, nie ustalono nigdy. Mówiono, że miał kontakty z jakimś prawosławnym popem, który przez tydzień bawił w Wilnie, po czym zniknął jak kamfora, podobnie jak pewien kupiec ormiański, który niedaleko klasztoru Bazyliańców stanął.

Ani chybi tropy wskazywały na Moskwę, gdzie sztuka truciicielska kwitła, czego najlepszym dowodem był skon w kwietniu podczas uczty księcia Skopin Szujskiego, jednego z najzdolniejszych rosyjskich dowódców, uznanego wszakże przez cara Wasyla za rywala.

W całym tym tumultie głowy nie stracił jeno pan Lisowski, który wyrósł w katedrze jak spod ziemi, oszołomionego królewicza swemi ludźmi niczym murem otoczył i bezpiecznie na

pobliski zamek doprowadził. Zaraz zjawił się przy nich pan Skirgiełło i ksiądz Skarga i Lew Sapieha, wielki brania korony carskiej orędownik i hetman Chodkiewicz, i ja.

Tej zaimprovizowanej radzie usiłowała przeszkodzić pani Meierin, wciąż traktująca Władysława jako dziecko. Ale ten jeno wyprostował się i, uniósłszy rękę, rzucił jedno krótkie:

– Precz!

I ujrzeliśmy nagle władcę prawdziwego, realnego następcę Bolesławów i Kazimierzów, który byle komu nie pozwolił sobą kręcić! Chyba że umiejętnie...

Sprzyjały nam okoliczności. Prymas, automatycznie obejmujący funkcję interreksa, był w Warszawie, królowa omdlała w świątyni, przez kilka dni była na wpół błędna, w czym, nie chwaląc się, pomagały leki, którym jej ordynował. Toteż cała władza skupiła się wokół tego, którego wszyscy, nie oglądając się na procedury elekcyjne, okrzyknęli Władysławem IV.

Powiadają dziejopisarze, że w każdym spisku, zamachu czy insurekcji najważniejsze są pierwsze 24 godziny, których wykorzystanie lub zmarnowanie decyduje o powodzeniu przedsięwzięcia.

Tej nocy młody król przy naszej pomocy podjął kilka decyzji na miarę Aleksandra Wielkiego. Nie myśląc zgoła o ceremoniach pogrzebowych czy gonieniu do Warszawy, gdzie, wedle porządku konstytucyjnego, konwokację musiano zorganizować, rzekł, że jedzie do Moskwy koronę obiecaną wziąć i z panem Żółkiewskim się połączyć.

– Na Boga, panie! – zakrzyknął hetman Chodkiewicz. – Toż dla niepewnej Czapki Monomacha gotów jesteś zaryzykować utratę korony Piastów i Jagiellonów.

– A sądzisz waść, że obiorą kogoś inszego niż ja? – rzekł mój uczeń.

I zwycięzca spod Kircholmu zamilkł.

Drugą podjętą tej nocy decyzją była całkowita reorientacja polityki względem Szwecji. W odróżnieniu od ojca, który nie wiedzieć czemu przedkładał Uppsalę i Sztokholm ponad Warszawę i Kraków, mimo że zaznał tam głównie niewoli w twierdzy i ustawicznego lęku przed szaleństwami Eryka XIV, Władysław onej północnej krainy nie znał w ogóle i obchodziła go tyle co zeszłoroczny śnieg, który na północy w Laponii jeszcze tam leżał.

– Jeśli mym umiłowanym Szwedom droższa jest heretycka wiara, po której jedynie piekło ich czeka, niż z zasobną Rzeczypospolitą sojusz, ja ich nie będę od tego na siłę

odwodził. Może kiedyś sami zmądrzeją! – powiedział nasz piętnastoletni monarcha, nie myląc ni słowa w wypracowanym przeze mnie bon motcie.

Nazajutrz senatorowie z Litwy, zebrawszy się pod przewodnictwem Lwa Sapiehy, obwołali Władysława wielkim księciem litewskim. Zrazu bardzo oponował przeciw takowej procedurze Janusz Radziwiłł, krzycząc okrutnie o tyranii i łamaniu praw...

– O jakichż prawach, książę, mówisz? – zapytał (moim tekstem) młodzieńki władca, wszedłszy do sali, w której obradowano. – I czemu robisz to właśnie ty, wiarołomca i zdrajca, któryś ojca mego zdradzał, na majestat rękę podnosił, z wrogami ojczyzny się sprzymierzał i integralności Rzeczypospolitej zagrażał. – W zapadłej nagle kompletnej ciszy zwrócił się do Lisowskiego: – Zajmij się waść nim.

– Protestuję, protestuję! – wrzeszczał kasztelan wileński. – Nie możecie uczynić mi nic bez wyroku sądu.

– Jako marszałek Trybunału Litewskiego nakładam na waszmości areszt domowy! – zawołał Lew Sapieha. – A sąd zajmie się resztą.

Po wyprowadzeniu Radziwiłła przez lisowczyków wszelkie decyzje zapadały już jednogłośnie, a wola Władysława, aby z wojskami hetmańskimi pod Moskwą się połączyć, wywołała wielką owację. Jeszcze większe wrażenie wywarło zobowiązanie do zachowania tolerancji wyznaniowej (gęsto było jeszcze w Litwie od heretyków), a także plan dogadania się ze Szwedami, nawet za cenę uznania Karola Sudermańskiego prawowitym królem północnym w zamian za pokój wieczysty, ustępstwa w Inflantach i pomoc zbrojną.

– Nie można równocześnie walczyć na wszystkich frontach! – oznajmił stanowczo następca tronu.

Moje słowa!

Podobnie uchwalono jednogłośnie apel do braci Polaków o cierpliwość w przeprowadzeniu elekcji, w chwili gdy obecność Władysława w Moskwie decyduje o sprawach wagi państwowej. Zaraz pchnięto posłów do Sztokholmu, a także do cesarza, papieża, króla Francji, a także sułtana, oznajmiając im w listach, co się w Polsce stało, i deklarując wolę dobrych stosunków i utrzymania pokoju. Skirgiełło jako tymczasowy podkanclerzy zajął się tym z ochotą i energią.

W tym czasie hetman Żółkiewski, zrazu wspólnie ze starostą Aleksandrem Gosiewskim, wojownikiem równie znamienitym, atoli wrychle powalonym przez ciężką chorobę, ciężkie

negocjacje z Moskwą prowadził. Za przeciwników miał graczy wielce sprytnych – księcia Wasyla Golicyna, wiecznego spiskowca i demiurga wyniesienia, a następnie obalenia Szujskich, który marzył o koronie dla siebie, oraz patriarchę Moskwy Filareta Romanowa, mianowanego na tę funkcję przez Dymitra Samozwańca i usilnie zwalczanego przez Hermogenesa, przywódcę antypolskiego stronnictwa. Jeśli powiadają, że w każdym Moskwicinie tkwi Mongoł, to w onych panach siedziało tych Azjatów po dwóch. W dodatku, krom interesu państw, rozgrywali swoje prywatne partie – Filaret nie tylko o umocnieniu swej funkcji zamyślał, ale mierzył wyżej, każda ze zdrad umacniała jego pozycję, aż zaczął śnić, żeby swego syna Michała, nieomal równolatka Władysława, na cara wykreować.

Żółkiewski, lubo uznawany za lepszego wodza niż dyplomatę, negocjował twardo i czynił wszystko, aby za wszelką cenę przypieczętować wynegocjowany układ z Moskwą.

27 sierpnia 1610 roku w połowie drogi między Kremlem a obozem polskim stanęły namioty, w których bojarzy mieli zaprzysięgać poddaństwo królewiczowi Władysławowi. Jednak kiedy w przeddzień ugody gruchnęła wieść o śmierci Zygmunta III, tak Filaret, jak i Golicyn próbowali wycofać się z podjętych zobowiązań aż do czasu, kiedy sytuacja w Rzeczypospolitej się wyjaśni. Wszelako zagrożeni przez hetmana zerwaniem rozmów i natychmiastowym marszem wojsk polskich na Moskwę przybyli o czasie. I padli na twarz. Dosłownie! Albowiem w namiocie oczekiwał ich osobiście Władysław, w purpurze, otoczony przez swych doradców, gdzie i ja byłem...

Całe kunktatorstwo bojarские na nic się zdało. A charyzma i majestat prawdopodobnego następcy polskiego tronu sprawiły, że wieść o przybyciu nowego hospodara rozniosła się lotem błyskawicy. Resztki stronników opuściły Samozwańca, który zbiegł, powiadają, na Sybir, pozostawiając carycę Marynę z maleńkim synkiem przy piersi.

Po bojarach zaprzysięgał, kładąc rękę na Piśmie Świętym, i Żółkiewski, i pułkownicy, i rotmistrze.

Nim jednak ceremonia dobiegła końca, koncept nowy huknął niczym rozrywający się kartacz. Oto ledwo do Moskwy dotarły zdumiewające wieści i zaczęto tam bić w dzwony, Władysław oznajmił, że rusza ku miastu. Próżno wojskowi błagali go, by tego nie czynił i nie wystawiał majestatu na zagrożenie. Upór był chyba jedyną cechą, którą odziedziczył po swym ojcu.

Posunięcie rzeczywiście było ryzykowne, ale nie aż tak, jak się w pierwszej chwili mogło wydawać – lisowczycy stanowili znamienitą eskortę, a za moją radą pomiędzy nimi umieszczono na białym koniu pewnego młodzianka będącego sobowtórem królewicza, jego samego wioząc w kolasie z Żółkiewskim i dopiero na Kremlu dokonując podmiany. Okazało

się to niepotrzebne. Nijakiego oporu nie znaleźliśmy, a przeciwnie – lud moskiewski zbiegał się z najodleglejszych dzielnic, klękając przy drodze i całując nogi Władysławowego konia. Pułki gotowe jeszcze wczoraj bić się do ostatniego obozowego ciury, zgłaszały się pod naszą komendę, a Kreml otworzył swoje podwoje bez wystrzału, a nawet jednego wrogiego okrzyku. Czyż można było sobie kilka dni wcześniej wyobrazić chór cerkiewny śpiewający w Soborze Uspienskim łacińskie *Te Deum*?

I rozpoczęło się całonocne ucztowanie, albowiem przywieziono z polskich taborów wiele jadła i picia, jakiego w wygłodniałej Moskwie od dawna nie widziano.

Owe odważne posunięcia, wraz z obietnicami amnestii i awansów, ukazały w Polakach nie ciemiężców i okupantów, ale posłańców nadziei. Nadziei na spokój dobrobyt i rządy prawa, którego w Rosji od czasów zniszczenia przez Iwana IV Nowogrodu Wielkiego ani chwili nie było.

A że sukces miał swoje ciemne strony, cóż – postępując zgodnie z prorocstwami lustra, zleciłem Lisowskiemu czyn wielce niegodziwy. W sprowokowanej bitwie w Kitaj-Gorodzie zginął jedyny syn Filareta Michał. I tym sposobem Romanowowie nigdy nie mieli rządzić Rosją.

Władysław spędził w Moskwie dwa lata. Ożenił się z córką Golicyna, piękną Ksenią, odesłał Filareta do klasztoru, wybierając na patriarchę świątobliwego człeka z niskiego rodu. Samego Glicyna po paru miesiącach wyprawił z długim poselstwem do krajów Europy...

Przyszły i owszem, ciężkie terminy, jak bunty poniekórych wojsk czy rebelia Kuźmy Minina i księcia Pożarskiego wzniecone zimą, kiedy wydawało się, że polska załoga na Kremlu nie będzie w stanie obronić ni cara, ni naszych pozycji. Wszelako posiłki Chodkiewicza zgmiotły oną ruchawkę, a pokój ze Szwedami zapobiegł konieczności rozdzielania sił.

Przez cały ten czas pozostawałem u boku Najjaśniejszego Pana, raz tylko wyjeżdżając na dłużej do Kijowa, gdzie spotkał się z moją małżonką Magraretą wytęsknioną bardzo, albowiem nawet najczulsza korespondencja nie zastąpi rozkoszy wspólnego stołu i łoża. Czekala mnie niespodzianka w postaci małego Władzia, na cześć króla tak nazwanego, owocu naszego krótkiego miodowego okresu. Margareta bardzo nalegała, iżby towarzyszyć mi stale na dworze w Moskwie, ale opierałem się, twierdząc, iż to niebezpieczne, zabrałem ją

w końcu na tydzień na Kreml, carowi naszemu przedstawiłem, a potem do majątku otrzymanego podle Możajska zawiozłem.

Nie powiem, doznawałem wobec mej połowicy uczuć mieszanych. Zauroczenie, którym przeżywał w Bieńkowicach, minęło. Póki Margosia była tajemną wróżką, dziewczicą idealną, mój afekt płonął jak krzak gorejący. Aliści jako kobieta powszednia, matka Polka, z ogromną tendencją do otyłości (po porożu nie powróciła już do swych dawnych kształtów), przestała być przedmiotem mych snów i westchnień. Nadto w Moskwie dość miałem panien cudnych, krasawic nadzwyczajnie pięknych, jak to jedynie dobrze urodzonym Rosjankom się zdarza, gotowych na moje skinienie obdarować mnie wszystkim, co posiadały. I nie powiem, żebym odmawiał. Brałem owe żony, córki i kochanice jako łapówkę od bojarzynów protekcji łaknących, brałem je na europejski błysk i odtrutkę od ich mężczyzn, brodatych, cuchnących i wiecznie pijanych, choć ostatnio powszechny ruski obyczaj zaczął się nieco odmieniać. Dziś nie pamiętam już twarzy ni nazwiska tych Nastii, Swietłan, Katuszy, ale – com powiedział jednemu spowiednikowi, wielce go gorsząc – trudno mi tych występków żałować!

Tymczasem owocem wizyty Margosi był jej kolejny stan błogosławiony, w którego efekcie pojawiła się mała czarnobrewa istotka, której nadałem imię Beatrycze, nie mówiąc nikomu dlaczego.

Zresztą kobiety, wobec ogromu innych spraw, którymi musiałem się zajmować, stanowiły jedynie wąski bardzo margines mych zainteresowań. Nasz car postępował roztropnie i jak dotąd nie popełnił w Moskwie żadnych błędów. Przeważnie łaskawy, jeśli trzeba karał srogo, uruchamiając lisowczyków, żołnierzy wiernych, lecz bezwzględnych, choć i tak daleko im było do osławionych opryczników Maluty Skuratowa.

Koronowany w obrządku prawosławnym (dostał na to osobisty odpust od księdza Skargi), w głębi ducha pozostał katolikiem, a w prywatnym gronie lubił powtarzać parafrazę powiedzonka Henryka z Nawarry: „Moskwa jest warta mszy”. W niedzielę na dwóch mszach bywał, co może i drażniło Polaków, ale podobało się Rosjanom, którzy mniej protestowali przeciw konwentom jezuickim i szkołom przez nich w całej domenie moskiewskiej tłumnie zakładanym.

W panowaniu nad sytuacją sprzyjała nam ta okoliczność, że car był głową Kościoła prawosławnego, a cała hierarchia przywykła od wieków wypełniać wolę zwierzchności i zapewne gdyby pewnego dnia ogłosił przejście na bisurmanizm, cały aparat zaczęłby wiernie powtarzać słowa Proroka.

Jedynym większym problemem pozostawała sukcesja w Polsce i Sejm Rzeczypospolitej, który celem wybrania monarchy zebrał się w Warszawie Jeszcze w roku 1611 i obradował

nieomal permanentnie, wzywając Władysława IV do osobistego stawiennictwa, to błagając, to znów grożąc, choć nie ośmielając się wysunąć żadnego innego kandydata.

Wreszcie, wiosną 1612 roku, sprawy w Rosji ustabilizowały się na tyle, że pozostawiając na Kremlu Lwa Sapiechę i podniesionego do godności hetmańskiej ozdrowiałego Gosiewskiego (Żółkiewski otrzymał wreszcie buławę wielką, *vacat* od śmierci Zamoyskiego) mogliśmy ruszyć ku Warszawie i Krakowowi, gdzie miał czekać Władysława IV tryumf, a następnie koronacja.

Lubo pozostawałem u jego boku cały czas, widziałem, jak bardzo się zmienił przez te lata, zmęźniał, nabrał pewności siebie, choć, co trzeba mu przyznać, pozostał lojalny wobec swych „doradców pierwszej godziny”.

Jeśli idzie o mnie, dostałem polski indygenat, przyjęto mnie do starego herbu Krzywda i uczyniono mnie tytułarnym starostą możajskim. Pozostał mi wszelako jeden problem – pan Piekarski. W Rosji trzymał się w pewnym dystansie, jako wolontariusz u pana Skirgiełły, gdy tylko mógł, rad mi udzielał, jednak im bliżej Warszawy, jego apetyty rosły i nie wyglądało, żeby kontentował się stanowiskiem stolnika tarnowskiego, którym dla niego u króla wyjednał. Natarczywość, z jaką domagał się posady na dworze, i ambicja współdecydowania w każdej sprawie zaczynały mnie drażnić, a z drugiej strony, jak miałem mu odmówić – informacje pochodzące z lustra okazywały się bezcenne. Czasem strach mnie zdejmował, że w którymś momencie Władysław nie zechce korzystać z moich porad lub że pan Piekarski zechce sam wyjść na plan pierwszy.

1 maja 1612 roku cała Warszawa wyległa na Krakowskie Przedmieście.

Od strony mostu zbudowanego na Wiśle, u wylotu ulicy Karowej, pojawił się orszak, jakiego miasto dawno nie widziało. Szlak od Wisły aż, do zamku ozdabiało pięć bram tryumfalnych. Przodem jechała doborowa gwardia lisowczyków, a między nimi sam młody car Wszechrosji pewnie siedzący na koniu. Potem w karetach wybitych kurdybanami ze znakami królewskimi jechali hetmani Żółkiewski i Chodkiewicz w otoczeniu pół setki senatorów, dalej drugie pół setki dowódców dawnych, zasłużonych z tabliczkami, na których każdy, kto piśmienny, mógł czytać nazwy zwycięskich bitew i miast zdobytych. Niesiono też chorągwie zdobyczne, lecz nie rzucano ich w pohańbieniu na ziemię, jeno do katedry oddano, iżby poddanych nowego cara zbędnie nie upokarzać. Dalej jechała kareta w stylu bizantyjskim, w której siedział sam zdetronizowany car Wasyl IV w złotogłowej białej szacie

i czapie ze srebrnego lisa, o twarzy okrągłej, śniadej, z podstrzyżoną krótko brodą, w połowie siwą.

Nos miał nieco garbaty, usta zacięte, a wzrok niespokojny. Obok niego siedzieli dwaj jego bracia – książęta Szujscy. Powiadają, że miała im towarzyszyć również Maryna Mniszchówna, ale pozostała w jakimś odległym klasztorze, a odebrane jej dziecię oddano na wychowanie mnichom. Przynajmniej oboje uszli z życiem, co w Moskwie było przypadkiem dość rzadkim.

Dalej przejechały dwie chorągwie niskie i wraz z oddziałami polskimi skręciły w ulicę Miodową, kierując się ku kwaterom. Hołd byłych carów złożony królowi odbył się już wewnątrz zamku i miał znaczenie bardziej symboliczne niż realne, które wyznaczały wierne nam garnizony od Archangielska po Astrachań.

Dużo ważniejszy, moim zdaniem, hołd miał się odbyć rok później, ostatni hołd księcia pruskiego im rynku krakowskim, po którym lenno powinno oficjalnie wrócić do Korony, czemu miało towarzyszyć wprowadzenie do Królewca i inszych miast polskich garnizonów.

Świadkowie tych zdarzeń mieli o nich długo opowiadać dzieciom i wnukom, którzy wszelako nie widzieli w tym nic nadzwyczajnego, aktualny stan kraju uznając za oczywisty.

Nazajutrz po tryumfie na polach Woli zebrały się nieprzebrane rzesze szlachty, przeważnie mazowieckiej, podlaskiej, kujawskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, często zbiedniałej, z drewnianymi szabelkami i w pożyczonych butach, ale świadomej swej roli wyborców. Pyszne poczty magnackie utonęły w tym szarym demokratycznym morzu, przekonanym o swej ważności i zakochanym w królewiczu Władysławie, który przypominał im dawną świetność czasów króla Stefana.

Tymczasem Władysław znowu uczynił wszystkim niespodziankę.

Pojawiwszy się z rana, miał od razu pośpieszyć do siedziby Sejmu i Senatu, przez pięć godzin objeżdża konno pole, witając się nieomal z każdym szlachciurą, a dzięki ściągawce, którą przygotowało dla niego tuzin sekretarzy, mógł zaskakiwać ludzi, wymieniając ich zasługi, wspominając rodziców, których choćby z racji młodego wieku znać nie mógł. Ale nikt nie zwracał na to uwagi – było za to mnóstwo łez wzruszeń i dowodów uwielbienia.

Nie muszę mówić, że wzbudziło to wściekłość wielu senatorów i niecierpliwość wśród czekających posłów.

Wreszcie zjawił się w izbie, z pół godziny słuchał przydługiej łacińskiej laudacji marszałka, ale gdy ten zaczął mówić o powinnościach królewskich i przywilejach zapisywanych w ciągu wieków, gwałtownie mu przerwał:

– Nie będzie podpisywania żadnych artykułów henrycjańskich ni *pacta conventa* – rzekł po polsku. – Albo obierzecie mnie królem, takim jakim jestem, i dacie mi sposobność skutecznego rządzenia, albo szukajcie sobie inszego.

Ktoś chciał krzyknąć, ale umilkł porażony ciszą, która się uczyniła, a Władysław mówił dalej:

– Wiele się musi zmienić w Rzeczypospolitej, jeśli chcemy, aby przodowała wśród narodów świata. Nade wszystko musi mieć władzę silną, armię wielką, podatki zbierane i prawo przestrzegane. Nie mogą mieć miejsca samowola i anarchia, które są drogą do zatracenia. Dlatego jeszcze na tym Sejmie projekt nowej konstytucji przedłożę, który jest warunkiem rozpoczęcia mego panowania.

Ciszę, która nastała, przeciął mocny głos z tyłu:

– A nasze wolności?

– Będą zagwarantowane, jeno musimy zdecydować, co ma iść przed czym: wolność narodu czy przywileje i samowola?

Wystąpienie nie było długie, ale znalazł się tam katalog reform, nad którym pracowaliśmy z monarchą od roku.

Wprowadzenie zasady decydowania większością głosów na sejmach.

Odwoływanie ze stanowisk wedle woli króla lub na wniosek sejmu, konfiskata dóbr zdrajców i banitów.

Natychmiastowa egzekucja wyroków sądowych, której brak był zmorą Rzeczypospolitej.

Reforma i powszechność podatków.

Ułatwienie drogi do stanu szlacheckiego wybitnym jednostkom, szczególnie żołnierzom w polu zasłużonym.

Podwojenie wojska kwarcianego...

Wysłuchiwano tych propozycji w ciszy, widziałem zrozumienie w pojedynczych oczach i gniew w pozostałych. I wzmagało się szemranie z tyłu... Pomyślałem o lisowczykach i o dwóch chorągwiach moskiewskich, które przybyły na defiladę i stały teraz na Mokotowie, gotowe iść w sukurs... Wszelako zabezpieczenia te okazały się zbędne. Oto skądś rozległ się głos ostry jak brzęk szkła:

– *Vivat Ladislaus rex!*

Podchwyciły go inne głosy za mną w polu. Potem jeszcze inne. I wnet kilkadziesiąt, a może kilkaset tysięcy gardel darło się wniebogłosy, aż trzęsło się szare mazowieckie sklepienie niebios.

– *Vivat Ladislaus rex!*

I zdali sobie sprawę panowie w izbie, że sprzeciwić się tej woli braci szlacheckiej to jakby iść między szable i wnet utracić życie, majątek i cześć.

Najlepiej w tej sytuacji znalazł się *interrex* prymas Wojciech Baranowski. Miły mól książkowy bez większych osobistych ambicji, któren zaintonował *Te Deum*.

Dziwnie zaiste dokonała się ta największa z polskich rewolucji.

Nie znaczyło to, że wszystkie bitwy były już wygrane. Opozycja wzięta z zaskoczenia nie zaprzestała knucia z dnia na dzień. Przeciwnie – wzmogła działania. Dobry był każdy sojusznik – szwedzki Gustaw Adolf, który w 1611 roku po ojcu Karolu Sudermańskim tron objął. Maciej Habsburg, który władzę swemu bratu Rudolfowi wydarł i do śmierci w roku

1612 go doprowadził, a nawet Wysoka Porta Ottomańska. Wszelako czas dla spisków był niekorzystny, wszędy u sąsiadów władza była dość świeża i niestabilna, aby wdawać się w awantury, sułtan Achmed I nader był Polsce przyjazny, a polityka, którą stosował Władysław, przynosiła sukcesy. Zresztą, nie mając doświadczenia w tajnym spiskowaniu, błędy czyniono wielkie, a rzekomi stronnicy rychło meldowali się u królewskich starostów, których wymieniliśmy prawie wszystkich, przeważnie na weteranów wojennych.

Kilkunastu spiskowców, którym udowodniono faktyczną zdradę ojczyzny, dało gardło (w tem marszałek wielki koronny Mikołaj Zebrzydowski), parę rodów znikło na dobre z arystokratycznej elity, a pojawiły się nowe, Rzeczypospolitej oddane, chętką do zdrady i samowoli niezarażone. Nawet w Rosji, jeśli wybuchały bunty, to były to jedynie lokalne ruchawki, niezagrażające samej Moskwie.

Tymczasem pan Piekarski mnożył obraz zagrożeń, domagając się, abym wyjednał mu u króla patent na tworzenie tajnej służby inwigilacją się zajmującej. Był to prekursorski pomysł, wyprzedzający koncepty kardynała Richelieu, ale w ceniącej sobie wolność Polsce trudny do przeprowadzenia. Nic dziw więc, że moje rozmowy z Piekarskim stawały się coraz trudniejsze.

Wreszcie doszło do prawdziwego konfliktu, w Krakowie, gdzieśmy się znaleźli w roku 1613, za przyczyną hołdu pruskiego, jaki składał regent Jan Zygmunt Hohenzollern, elektor brandenburski sprawujący władzę w Prusiech w zastępstwie chorego umysłowo Albrechta Hohenzollerna.

Ów berliński książę był już dogadany z nieboszczykiem królem na temat przejęcia lenna po śmierci aktualnego księcia, który nie miał męskiego dziedzica, bo obaj synowie odumarli

go w dzieciństwie. Zgadzałem się z Piekarskim, że wprowadzenie Brandenburczyków do Królewca oznaczać będzie wzięcie w kleszcze Wielkopolski i zagrozi Gdańskowi, nadto służyć może wspieraniu protestanckiej herezji.

Król łaskawie skorzystał z moich sugestii. W wigilię ceremonii mającej odbyć się na rynku krakowskim król zaprosił Hohenzollerna na Wawel, a tam poinformował, iż jego hołd nie zostanie przyjęty, a regencja nie będzie prolongowana.

Pyszny Niemiec osłupiał na takie *dictum*, wołając, iż jest to złamanie umów, czego nikt w Europie tolerować nie będzie.

– Nie Europa rządzi w Rzeczypospolitej – odparł spokojnie Władysław IV.

Tu Jan Zygmunt zupełnie się zatracił, wołać zaczął o działach i regimentach... Na co oświadczone mu, że został już wyznaczony inny regent Prus Książęcych i że po śmierci ostatniego księcia zajmie się on włączeniem tych ziem do Korony.

Wcześniej wiedziałem, iż delegowano na tę funkcję starostę puckiego Jana Wejhera. Był to jeden z bohaterów wojen ze Szwecją i Rosją, a zarazem umysł tęgi i polityk przenikliwy. Protestującego bardzo księcia zatrzymano w Krakowie na dwa miesiące „w gościnie” na Wawelu, a przez ten czas wojska pana Wejhera przy współpracy mieszczan pruskich „luzowały” Brandenburczyków na terenach ongiś Bałtom wydartych.

Zdarzenie wywołało mniejszy szum na świecie, niż można było się spodziewać, a papież, cesarz austriacki i regentka Francji wyrazili swą aprobatę.

Wróćmy jednak do Piekarskiego.

Któregoś dnia upiwszy się, gdym po raz kolejny tłumaczył mu ograniczone możliwości mojej protekcji u króla, zaczął mi niewdzięczność wytykać i na koniec do gróźb się uciekł:

– Zapominasz, il Cane, kim byłbyś beze mnie! – zawołał.

– Nie zapominam, ale pamiętam, o co mnie prosiłeś, panie Michale, gdyśmy zaczynali całe przedsięwzięcie. Chodziło o pomyślność Rzeczypospolitej, jej bezpieczny byt i przyszłą potęgę, a nie o twe apanaże.

– Coś mi się chyba należy – burknął.

– Tedy czynię, co mogę, by cię ukontentować.

– Za mało!

Próbowałem apelować do jego rozsądku, mówiąc:

– Mości Piekarski, niemało jest języków niezyczliwych i ludzi wściubiających nos w nie swoje sprawy. Nie znaleziono żadnych dowodów, jakoby Moskał stał za zamachem na nieboszczyka króla, tedy w myśl łacińskiej zasady *cui prodest* marszałek Koniecpolski,

mający nadzór nad śledztwem, przygląda się bacznie wszystkim tym, którzy przy nowym królu zrobili karierę.

– Ja nie zrobiłem! – zawołał. – A co do podejrzeń... Jeśli stanę na czele tajnej służby, każdej plotce gardło ukreczę, a oszczercy język wydrę. Zresztą – tu ujął się pod boki – gdyby miał się ów rosół wylać, nie ja pierwszy się poparzę...

– A niby kto?

– Pan, panie Derossi!

– A to dlaczego? – Zaśmiałem się, ale nie był to śmiech ani szczery, ani beztroski.

– Mogę być wariatem, ale nie durniem, i przewidziałem wszystko, nawet twój bunt niewczesny, il Cane. Mam listy od Alonso Ibaneza, który przysłała ci na twą wyraźną prośbę tak zwaną „dmuchawkę” z zapasem trucizny. Mam spisane zeznania z sądu w Brzegu, gdzie zatrzymany flecista Sylwio zeznał, iż był ongiś pod twoją pieczęcią i teraz oczekuje, iż go z celi uwolnisz. Dodam, że jeśli śledztwo sięgnie odpowiednio daleko, wszystko będzie wskazywać, iż go uwolniłeś...

– Panie Piekarski! – zawołałem z trudem panując nad sobą.

Teraz on się zaśmiał.

– Przyjacielu! – to są jeno środki bezpieczeństwa przeze mnie przedsięwzięte, które, tuszę, nigdy nie zostaną użyte. – To mówiąc wstał i wtedy dostrzegłem, że cały czas swój czekan na kolanach trzymał. – Daję wam trzy miesiące, mości Derossi, na spełnienie moich życzeń, a potem... Nie uratuje was nawet Matka Boska Częstochowska. I pamiętaj: Nie próbuj jakichkolwiek kroków przeciw mnie czynić. Lustro mam, Hawa co dzień w nie poziera i jeśli będziesz cokolwiek knuć, wcześniej poznam twe plany, niż rozpoczniesz ich realizację.

Tu wyszedł, pozostawiając mnie w wielkiej konsternacji. Nie miałem złudzeń. Nawet jeśli mu wymarzony awans załatwię, swego karku nie ochronię. Jeśli stanie na czele wymarzonej służby, będę mu zbędny. Co gorsza – szkodliwy. A on w bliskości króla i cara będzie mógł wcielać w życie swe coraz bardziej szalone zamysły, zwłaszcza gdy jego wariactwo wyrwie się spod wszelkiej kontroli.

Co robić, na Boga?!

Sprawy pruskie postępowały pomyślnie, a ja nie miałem sił, aby się w nie mocniej angażować. Słowa Piekarskiego odebrały mi spokojny sen i zdrowy stolec. Nawet król zauważył, że wyglądam niezdrowo, i pytał, czy nie potrzebuję odpoczynku.

Znów czułem się jak w niewoli u don Camilla, i choć mądrzejszy o lata doświadczeń, byłem jeszcze bardzo bezbronny, bo bezwzględny Sycylińczyk nie mógł przynajmniej odgadywać moich myśli.

Aż którejś bezsennej nocy znalazłem sposób tak prosty, że aż zachciało mi się śmiać. Była jedna rzecz, której w lustrze nie mogli zobaczyć – przyszłość wróżbitki Hawy. W tym upatrywałem szansy na ratunek.

Król jegomość, jak już pisałem, był wielkim zwolennikiem polowań, dał się tedy bez trudu namówić na krótki wypad do Puszczy Niepołomickiej, gdzie wytropiono dwa niedźwiedzie, snadź z borów karpackich przybyłe. Dalej zaaranżowałem sprawy tak, że monarcha zgodził się na nocleg we dworze w Bieńkowicach. Piekarski szalał z radości, przecz nie ma nic przyjemniejszego dla ambicjonata niż zaspokojona miłość własna. Właśnie ukończył przebudowę dworu, który stał się właściwie rezydencją magnacką. To, że obłowił się na wyprawie moskiewskiej, nikogo nie dziwiło, choć panujący tam przepych był rzeczywiście zastanawiający.

Wiedziałem, że nie trzyma Hawy w głównym pałacu, jeno w ogrodowym pawilonie, któremu nadał formę baszty obwiedzionej zewnętrznymi schodkami.

Sprzyjało to moim kalkulacjom.

Po wieczery król udał się na spoczynek, a my z panem Skirgiełłą, pijąc z Piekarskim, postanowiliśmy upić go do nieprzytomności, co w normalnej sytuacji nie było łatwe. Piliśmy więc, przepijając do niego na zmianę tak, żeby on złopał dwakroć więcej niż my. Pycha wywołana goszczeniem monarchy osłabiła jego normalną czujność. W pewnym momencie, sugerując ból brzucha, oddaliłem się i zwróciłem w krzaki wszystko, co wypilem. Wcześniej pochłonałem pół litra oliwy, ergo alkohol nie znalazł dostępu do mego organizmu. Kiedym wrócił, Piekarski spał na stole, a Skirgiełło pod nim. Pobiegnę do pawilonu. Hawa już spała, ale otworzyła mi, gotowa wprowadzić się w trans. Tym razem w wywarze, którym jej podałem, był silny napój miłosny, który wedle *ildottore jest w mocy* dokonywać cudów.

I dokonał.

Nie minęło pięć pacierzy, a w Hawę zda się diabeł wstąpił. Naraz przestała zachowywać się jak grzeczna panna i nietknięta dziewica... Chwilę tylko łąsiła się do mnie, ale wkrótce wręcz rzuciła się na mnie, żądając *expresis verbis*, żebym ją zdeflorował.

– Natychmiast! Już!

Nie sprawiło mi to większej przyjemności, ale jeśli tylko w ten sposób mogłem odebrać jej dar wieszczenia i przewagę, jaką dawało Piekarskiemu zwierciadło...

Miednicę miała na mój gust zbyt szeroką, a piersi duże, blade. Krzyknęła ostro, gdym w nią wchodził, i trochę zapłakała, ale zaraz opłotła mnie nogami, wołając, bym nie przestawał! A potem, gdy było po wszystkim, usnęła. Miałem nadzieję, że rano nie będzie pamiętać o

niczym. Zamierzałem jeszcze ją umyć i szybko do domu wrócić, kiedy drzwi się rozwarły i w progu stanął Piekarski.

Jeden rzut oka wystarczył mi za wszystko.

– Tu jesteś, zdrajco! – ryknął.

Teraz dostrzegłem, że trzyma w ręku swój czekan, w którego ostrzu odbił się blask miecza. Zamachnął się nim i rzucił we mnie. Padłem na ziemię, a za mną rozległ się brzęk przejmujący, jakby pękały wszystkie lustra świata.

– Nie! – ryknął Piekarski. – Tylko nie to!!!

Kompletnie pijany, stracił równowagę i osunął się w tył, ciężar własny dokonał reszty i pan Michał skoziłkował po schodach aż na murawę. Gdzieś po drodze skręcił sobie kark

Skończył się sen, choć nawet nie wiem, czy był to sen, wspomnienie, czy jeszcze jedna niezwykła wycieczka w tamte czasy. W każdym razie odczułem coś na kształt żalu, że nie poznam końca tej historii, która wprawdzie istniała jedynie jako fantasmagoria i nigdy w świecie realnym się nie wydarzyła, chociaż... Są ludzie wierzący, że w każdej chwili powstają inne światy w innych przestrzeniach zawierające nasze alternatywy. Może więc...

Budząc się, zadawałem sobie pytanie, czy po incydencie z Piekarskim il Cane uciekł z Polski, czy może pozostał w Rzeczypospolitej, robiąc urzędniczą karierę i towarzysząc Władysławowi IV w coraz bardziej niezwykłych przedsięwzięciach, tym razem już bez pomocy lustra czynionych. Być może był też świadkiem jego upadku i klęski wzniosłych marzeń?

Bo choć można sobie wyobrazić, iż wspólnie poili konie w Bajkale, zapobiegli wojnie trzydziestoletniej, załatwili Janowi Kazimierzowi tiarę papieską, to najbardziej prawdopodobne wydawało mi się zakończenie – wedle zasady, że dla Polaków można zrobić wiele, z Polakami nic – iż utracili wszystko.

Któż to wie?

Przebudziłem się ostatecznie. Monika poszła zrobić mi kawę, a ja zastanawiałem się, jakie jeszcze obłędne mirażę gotuje dla mnie mój chory mózg, kiedy dostrzegłem na nocnej szafce kopertę ofiarowaną mi zeszłego wieczoru przez kapitana Raffaella Serafiniego. Rozerwałem papier.

W Środku znajdowała się typowa składanka pocztówek, wydana, sądząc po metryczce, w Warszawie w roku 2009.

Byłem tam całkiem niedawno w sprawie ewentualnego zakupu pewnej stacji telewizyjnej, ale nie przypomiąłem sobie jednak takiej mnogości wieżowców, mostów, rozjazdów i pałaców. Na zdjęciach wszystko wydawało mi się nieporównanie większe, wspanialsze... Znajomych wydało mi się tylko parę zdjęć Starego Miasta, a szczególnie kolumna górująca nad placem koło Zamku Królewskiego. Wszystko tam wydawało się znajdować na swoim miejscu, wszelako z drugiej strony... Jeśli dobrze pamiętałem, jeszcze w lipcu stał tam król Zygmunt III Waza z szablą i krzyżem, a tu...

Pochwyciłem lupę.

Mąż na pomniku miał dłonie puste, jedną skierowaną ku wschodowi, drugą ku górze. Nie zgadzała się również data umieszczona na cokole. Ten z pocztówki postawiono dopiero w roku 1685. Zapewne wkrótce po śmierci przedstawionego na nim bohatera. Wryty na płycie napis głosił:

NAJWIĘKSZEMU I NAJLEPSZEMU Z KANCLERZY RZECZPOSPOLITEJ –
WŁADYSŁAW V, Z BOŻEJ ŁASKI KRÓL POLSKI, MOSKIEWSKI, RUSKI, PRUSKI,
LITEWSKI, SZWEDZKI, CZESKI, WĘGIERSKI, GROBU CHRYSZTUSA OPIEKUN,
CIEŚNIN KONSTANTYNOPOLITAŃSKICH PROTEKTOR, LIGI WSZECHEUROPY
HONOROWY PRZEWODNICZĄCY.

Powróciłem wzrokiem ku twarzy pomnikowego herosa. Dziwnie jakoś znajomej.

– To ty? – zapytała, zabierając mi lupę, żona. – Nieźle wyszedłeś. Tylko co takiego zrobiłeś, że aż tak cię uhonorowano?

Oślupiały, przeczytałem dwuwiersz jakiegoś anonimowego staroświeckiego poety widniejący pod tą na wskroś współczesną fotografią:

Co nam zdrady! – Jest u nas kolumna w Warszawie, Na której usiadają podróżne żurawie...